

W NUMERZE: „Nie jesteśmy hermetyczni” — rozmowa z rektorem WAM, prof. Władysławem Tkaczewskim ■ „Zaczekaj chwilę, muszę się ożenić” — korespondencja Andrzeja Makowieckiego z Afryki Zachodniej ■ Czy sól jest wrogiem

człowieka? ■ Wspomnienia Adama Ochockiego z pierwszych lat powojennego dziennikarstwa ZA TYDZIEŃ: Wiersze dla dzieci Ludwika Jerzego Kerna i Igora Sikiryckiego ■ Polemika z artykułem „Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego”

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 7 (1260) ROK XXV

23 MAJA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

XXVI LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE IM. MAŁGORZATY FORNAŁSKIEJ W ŁODZI. Klasa maturalna, 5 maja 1982 roku. Kilka dni przed maturą. Część klasy uczy się, przygotowuje się do matury, kilkoro uczniów zgodziło się wziąć udział w dyskusji, wypowiedzieć się na aktualne tematy. Są to: EWA, KATARZYNA, MACIEJ, MAŁGORZATA, PIOTR, PIOTR DRUGI, TOMASZ.

Jacy są? Tyle się mówi o młodym pokoleniu. Niektórzy nawet nazywają ich „straconym pokoleniem”. Inni mówią, że to pokolenie bez ideałów, że tylko brałoby, nic z siebie dla innych nie dając. Czy tak jest istotnie? I co oni o tym sądzą?

Zdają maturę. Jesienią zaczną studiować. Pójdą na studia, choć wiedzą, że dziś trudno o pracę. Za pięć lat będą tej pracy szukać, a może już nie. Może już zawocuje reforma i nie zabraknie pracy dla ludzi z wyższym wykształceniem. To będzie za pięć lat. Wejdą w dorosłe życie, a później — po latach — zaczną tym życiem kierować. Następna zmiana. Jak dziś widzą siebie

Maturzyści 82

w tym przyszłym, dorosłym życiu? Jak dziś oceniają świat ludzi dorosłych?

Redakcję „Odgłosów” w dyskusji tej reprezentowali: **BOGDA MADEJ i KAROL JÓZEF STRYJSKI.**

Dyskusję nagraliśmy na magnetofon. Z zapisu magnetofonowego prezentujemy obecnie fragmenty ciekawszych wypowiedzi, jako że całości przedstawić nie jesteśmy w stanie ze względów technicznych — zajęłoby ona zbyt dużo miejsca.

CZY BEZIDEOWE POKOLENIE?

PIOTR: — Jest chyba różnica, czy pokolenie jest bezideowe, czy bez ideałów. Poza tym trzeba chyba byłoby rozróżnić, czy chodzi o ideały związane z życiem człowieka w ogóle, czy z życiem naszego kraju? Na przykład, czy chodzi o to, jak my sobie wyobrażamy ten kraj w przyszłości?

„ODGŁOSY”: — No dobrze, oddzielmy problem samych ideałów, od życia ideowego. Jakże więc macie ideały?

KATARZYNA: — To, że nie tworzymy programów, jak to bywało w romantyzmie czy pozytywizmie, nie znaczy, że jesteśmy pokoleniem bezideowym. U nas wytworzyło się takie przekonanie, że liczą się programy, a nie działania. A powinno być inaczej: powinny się liczyć i programy i działania. Działanie powinno sprawdzać realność programów. A my słyszymy piękne hasła i widzimy rzeczywistość, która do tych hasel nie pasuje. Więc nawet, jak mamy jakieś ideały, to wolimy o tym nie mówić.

„ODGŁOSY”: — Ale macie te ideały?

PIOTR: — Przyszłe pokolenia ocenią, czy mieliśmy ideały, czy ich nie mieliśmy.

„ODGŁOSY”: — A teraz nie można by było tego ustalić?

PIOTR: — Wszelkie programy powstają w oparciu o konkretne działania, są wynikiem tego, co się wokół człowieka dzieje. Teraz dzieje się bardzo dużo. Trudno, abyśmy tego nie widzieli, nie mieli na ten temat jakiegoś zdania i o czymś nie myśleli na przyszłość, czegoś nie chcieli.

KATARZYNA: — Czy nas nie traktuje się jak ludzi bez własnego zdania? W relacjach z ostatnimi zdarzeniami, jakie miały miejsce na początku maja, przedstawia się młodzież jako bezrozumnych smarkaczy. To chyba nie jest prawda do końca. Mnie denerwuje takie ustawianie nas wszystkich pod jeden schemat.

PIOTR DRUGI: — Młodzież zawsze bierze udział w takich wydarzeniach i zawsze najłatwiej się przejechać po niej.

TOMASZ: — Kiedy traktuje się nas jako element łatwo poddający się manipulowaniu, to dlaczego wymaga się od nas, abyśmy mieli jeszcze jakieś ideały? Przecież ideały powinny wpływać na nasz stosunek do świata, wpływać na to, co robimy, określać cel naszego działania. Jeśli się natomiast z góry zakłada, że my ideałów nie mamy, że nie mamy żadnego celu, to po co mamy o tym mówić?

„ODGŁOSY”: — Każde pokolenie ma swój męt, swoją prawdę. Jaki będzie męt waszego pokolenia?

PIOTR: — Życie weryfikuje wszelkie poczynania. Ono też zwerifikuje nasz męt.

„ODGŁOSY”: — A wasz stosunek do tradycji? Przecież musimy się jakoś określić w stosunku do przeszłości.

KATARZYNA: — Nie możemy odrzucić tradycji, bo staniemy się tylko drobniomieszczanami myślącymi o zaspokajaniu własnych potrzeb.

MACIEJ: — Tradycji nie można odrzucać. Trzeba z niej wybierać wartości najwyższe. Na przykład patriotyzm. Ale trzeba też mieć aktywny stosunek do rzeczywistości. Ona powinna określać nasze działania. Powinniśmy się umieć dostosowywać do rzeczywistości, nie nie

Na swoim

RYSZARD BINKOWSKI

Las należy do Sieradza, poła do gminy Pabianice, a droga do nikogo, toteż jest nie do przebycia. Radny Andrzej Baran od pięciu lat walczy, żeby chociaż szlaką zasypać, bo z Terenina do szpitala i GS w Pabianicach tędy właśnie najkrócej, a tak trzeba jeździć przez Bylew nadrabiając sześć kilometrów.

Na skraju Terenina stercza żaloszna szczytka gajówki, ponieważ nie zdążyła zbudować pałacyku myśliwskiego. Legenda o wielkich łowach skończyła się zorganizowaną nagonką dla strzelca dewizowego, z wyciągniętą z Terenina resorką na balonach, którą chłop wozził gości po chaszczach. Strzelec kropnął ze sztucera scherliatą sarenkę. Potem był chwilowy i lokalny zakaz wstępu do lasu, co nie przeszkodziło chłopom wykupić nawet gałęzie, po 380 zł za metr, bo węgiel drogi i mimo restrykcji dostaw wciąż go za mało. W lesie jest za to dużo ambon, z których nie ma kto strzelać do mnożących się na potęgę dzików, w związku z czym co roku Karolew, Hermanów, Terenin i Pawlikowice mają „dziczą mellorację” zbierając zaledwie 60-70 protract, a innych upraw prawie wcale. Rolnicy zasypują „me-

llorację” niczym Szyfowie, bo w noc dziki ryją na akord, gdyż w użyźnionej krowim łajnem ziemi na łakach aż się roi od dżdżownic i pędraków

— W zeszłym roku uprawiałem hektar ziemi — mówi Andrzej Baran — nawiozłem obozniczkami, podsypałem nawozami i obsiałem drogą kukurydzą. Jeszcze nie puściła kiełków, a już wszystko wyżarzy. Byłoby ze trzydzieści ton kiszonki, a tak nie mam peszy i parę groszy odszkodowania za tę ciekłą pracę. Teraz wiąże na polu psy. Wczoraj zaprowadziłem za późno dzik już był.

Za zniszczoną kukurydzą dostał 26 tys. złotych, za co może sobie dziś kupić 10 litrów wódki w potajemce dla kłusowników. Ale ci całkiem przycichli. Dlatego rolnicy mają prośbę do wojska, aby zrobiło wreszcie porządek z tą plagą, bo nie wiadomo dla kogo przechowuje się dziki w lasach.

Przed czterema laty u chłop-robotnika Andrzeja Barana stały gnijące szopy, walcą się stodoła i obora, przeciekająca, zadymiona chałupa. Przyszli tutaj pięć lat wcześniej, aż spod Garwolina, gdzie było trudno o ziemię, a on chciał koniecznie osiąść na swoim. Przyjechał z żoną (byłą urzędniczką), półroczną córeczką i lichą krowiną. Przez trzy lata wywoził perz z pola, a obronnik woził na pole w taczkach. Sąsiedzi mówili, że jak chce zostać „bauerem”, to niech zapieprza. Potem zaczęli go podziwiać. Bo oni wszyscy mają coś wspólnego, to pragnienie niezależności i bycia na swoim, bez względu na kłopoty. Miał kawałek ziemi, od tej między do tego lasu, czuł pod stopami ten swój kawałek Polski, i żeby tego nikt nie ruszył.

Przed czterema laty Andrzej Baran odgrażał się, że rzuci pracę kierowniczą, osiadnie na swoim i zostanie pierwszym gospodarzem we wsi. No i stał wielką białą stodołą, obora ze strychem użytkowym z cegły silikatowej, taki sam budynek gospodarczy, w którym miesi się mieszkanie, garaż, piwnica z parnikiem i mały chlew. A obok sterczy polówka starej chałupy. Baran trafił na czajlanowania gospodarstw specjalistycznych i tworzenia w gminie „piersienią” mlecznego. Nie dał się jednak zwariować na fermę-gigant, bo miał za mało ziemi. Teraz ma 15 ha, w oborze 11 krów dojnych a do zlewni odstawa co dnia 90 litrów mleka. Ponieważ wszystkie ceny poszły w górę więc siedzi jeszcze na długach.

— W budowie trochę pomógł sąsiad — mówi. Ościec kupił mi pod Garwolinem krutownik,



Foto: Paweł Edelman

EWA PANKIEWICZ

Bezdomne dziecko Terpsychory

Terpsychora doczekała się swojego święta. Pierwszy Międzynarodowy Dzień Tańca przyniósł artystom baletu szczególne, bo goręcej niż zwykle wyrażane słowa uznania dla ich wspaniałej sztuki.

Piękno, gracia i wdzięk przychodzą nam na myśl ilekroć mówimy o balecie, a świętując dzień tańca podziwiamy tę sztukę w pełni jej urody i blasku. Nam, nie znającym trudów zawodu tancerza wydaje się on tak lekki jak zwłonne sylfidy. Nie wiemy bowiem jak wielu poświęceń wymaga jego uprawianie, ani też nie orientujemy się, ile wysiłku trzeba włożyć w jego zdobycie.

Decyzja podjęcia nauki tego zawodu, decyzja, której dość bezwzględna jak się okazuje Terpsychora wymaga od co najwyżej dziewięcioletnich dzieci, musi być wyborem na tyle dojrzałym i świadomym, by oczywista stała się konieczność rezygnacji z wielu uroków dzieciństwa, by już pierwszym krokiem towarzysząca myśl, że rezygnacja i poświęcenia przypisane są do tego zawodu, nie zgasiła zapału, który rozwijać się musi przez całe artystyczne życie.

Z pięciu działających w kraju szkół kształcących tancerzy łódzka Szkoła Baletowa jest najmłodsza. Dziwnym zrzadzeniem losu ominęły ją jednak przywileje najmłodszego dziecka, a warunki w jakich „dziecko” temu przychodzi rosnąć i żyć każą podejrzewać, iż nazbyt pochopnie podjęto decyzję powołania go na świat.

Państwowa Szkoła Baletowa działa w Łodzi od 1975 roku. Z dziecka bardzo chcianego i długo oczekiwanego stała się dzieckiem kłopotliwym, uciążliwym i drażniącym. Jednym słowem, stała się przybytkiem, od którego jej ojców (tzn. władze miasta, bo to ich starania uwińczyła ośmi odpowiednia decyzja ministra kultury i sztuki) boli głowa już siódmy rok. To upragnione dziecko jest dzieckiem bezdomnym i siódmym właśnie rokiem, niezłym podrzutkiem tuła się po rozmaitych mieszkaniach zastępczych, sprawiając coraz więcej kłopotu i coraz dotkliwiej tę niewygodę odczuwając. Organizm szkoły baletowej, przez swą szczególną specyfikę wymaga wyjątkowej opieki i cieplarnianych, rzec można, warunków. Bezdomność może przysporzyć mu dolegliwości o trwałych następstwach.

Szkoła przez trzy pierwsze lata swojego istnienia pracowała w trzech różnych miejscach. W niewielkim pałacyku u zbiegu ulic Jaracza i Armii Ludowej mieszczące się tam wtedy zrzeszenie taksówkarzy udostępniło jej administracji kilka pomieszczeń. Lekcje przedmiotów ogólnokształcących odbywały się w części klas Szkoły Podstawowej mieszczącej się przy ulicy Narutowicza 58, a zajęcia baletowe w salach Teatru Wielkiego z tym jednakże, iż tylko wtedy, gdy nie ćwiczyli w nich tancerze tego teatru. Niełatwo to były warunki, ale wszyscy godzili się na nie, bo po pierwsze miało to być rozwiązanie tymczasowe, po którym nastąpić miało stworzenie dla tej szkoły warunków odpowiadających



Foto: M. Zajdler

Przeгляд prasy

„SZTANDAR MŁODYCH”

w piątkowo-niedzielnym wydaniu, które zawsze jest starannie przygotowane, przynosi artykuł Czesława Kozłowskiego pt. „Po Kongresie Zjednoczeniowym”. Pismo od dawna wiele uwagi poświęca historii, a w tym historii ruchu robotniczego. Artykuł Czesława Kozłowskiego jest jednym z serii poświęconej historii polskich partii robotniczych.

Autor omawia zmiany personalne, jakie nastąpiły po Kongresie Zjednoczeniowym, a także sytuację gospodarczą, która się wówczas kształtowała, a czego skutki mamy do dziś

Od 1 stycznia 1949 roku został zniesiony w Polsce system kartkowy sprzedaży artykułów pierwszej potrzeby. Wcześniej zniesiono sprzedaż chleba i mąki na kartki. Polska była wówczas drugim państwem w Europie, które zniosło system kartkowy. Ale...

„Podjęta z inicjatywy H. Minca decyzja była, jak należy sądzić — pisze Cz. Kozłowski — nie przemysłowa i przedwczesna, bowiem już 28 stycznia 1949 roku Rada Ministrów musiała podejmować specjalną uchwałę w sprawie podniesienia produkcji hodowlanej.”

Autor przedstawia cały ciąg różnych czynności, które wówczas podjęto dla ratowania sytuacji. Odbity — jak to zwykle u nas — cały szereg konferencji, narad, dyskusji. „Konferencje te — pisze Cz. Kozłowski — nie przyniosły, bo nie mogły przynieść, spodziewanych rezultatów (...). Jesienią sytuacja aprowizacyjna nie uległa poprawie, nadal występowały braki mięsa, jaj, mąki i cukru, a nawet mąki pszennej.”

Tenże sam „Sztandar Młodych” publikuje rozmowę, jaką w redakcji przeprowadzono na temat działalności kontrolnej Wojska Polskiego z przewodniczącym Komisji Inspekcyjnej, szefem Inspekcji Sił Zbrojnych, gen. dyw. dr hab. Władysławem Mrozem, zastępcą przewodniczącego Komisji Inspekcyjnej, płk. dypl. Stanisławem Kąckim i przewodniczącym podkomisji do spraw Kierowania Działalnością Służbową, płk. dypl. Władysławem Sochockim. Celem tej działalności — jak to stwierdza Władysław Mroz — „jest pomoc organom administracji terenowej w usprawnieniu kierowania podległymi im ogniwami, całą gospodarką na ich terenie”. A że kontroli nikt nie lubi, że kontroli ludzie się boją, to już inna sprawa, niejako produkt uboczny działania inspekcyjnego wojska. Jednakże z działalności tej wynika kilka ciekawych spostrzeżeń i wniosków.

Po pierwsze, że wiele zależy od ludzi. „Stwierdziłbym np. mówi dalej W. Mroz — że jednostki administracyjne działające w tych samych warunkach, dysponujące tymi samymi środkami — uzyskują bardzo różne wyniki.” A skoro tak, to jaką dysponujemy kadrami?

Po drugie, że „planowanie nie było i nie jest mocną stroną kadry kierowniczej” — to opinia W. Sochockiego. Plany tworzy się sobie, a życie idzie swoją drogą. Dotyczy to również planowania pracy administracyjnej.

Po trzecie, że u nas dawno już zaniechano kształcenia urzędników. W. Sochocki przypomina, że w Zespole Szkół Zawodowych w Grudziądzu był kierunek administracyjny, który przygotowywał pracowników administracji terenowej,

ale go zlikwidowano. Uznano, że nie jest potrzebny. A spotkani przez kontrolujących absolwenci tej szkoły potwierdzają swoją wielką przydatność, a także potrzebę przywrócenia takiego kierunku kształcenia. Co więcej — jak to powiedział W. Mroz — „naczelników czy prezydentów miast także nikt nie przygotowuje”.

Jak wynika z przeprowadzonej kontroli — o czym mówili goście „Sztandaru Młodych” — „Musiałoby do jasnego ustalenia kompetencji w gminie. Wszyscy muszą jasno wiedzieć, co należy do rady narodowej, co do naczelnika i co — wreszcie — może sekretarz komitetu gminnego.”

Musi bowiem panować taka zasada pracy: „każdy robi swoje, każdy robi dobrze, każdy melduje o wykonaniu, każdy jest kontrolowany i rozliczany. To powinno dotyczyć i naczelnika, i sekretarza, i komendanta milicji, i prezesa miejscowych, dyrektorów...”

„TYGODNIK KULTURALNY”

będzie miał w czerwcu 25 lat. Z tej okazji pismo postanowiło rozpiszć ankietę: „Jak nas widzisz Czytelniku?” A we wstępie do tej анкiety takie między innymi stwierdzenie:

„Czas, w którym tę ankietę ogłaszamy, nie jest z różnych względów — dla prasy, a zwłaszcza wszystkich periodyków okresem najszcześniejszym. Czy tylko wysokie ceny stanowią przeszkodę w ich docieraniu do Czytelnika?”

Na pytanie to mają odpowiedzieć czytelnicy. Ale „Tygodnik Kulturalny” nie przestaje tylko na zadawaniu pytań. Skoro dla periodyków, dla prasy w ogóle nie jest teraz czas najszcześniejszy, to jakie przyczyny na to się składają. Próba wyjaśnienia jest artykuł Michała Szulczewskiego pt. „Pytania — początek drogi”.

„Warunki państwa socjalistycznego — pisze M. Szulczewski — w pewnym stopniu ujednolaczają społeczną sytuację prasy i dziennikarstwa. Dotyczy to jednak głównie pryncypiów, celów ideowych i zasad organizacyjnych. Jeżeli bowiem główny sens działalności prasy upatrywać we wszechstronnym, żywotnym i aktywnym kontrakcie ze współczesnością, by umożliwić człowiekowi świadomy, własny stosunek do tego, co go otacza, to oczywiście być musi, że intelektualne i emocjonalne reagowanie na ważne przejawy aktualności powoduje także przemiany w samej prasie, w formach i treściach jej stałego dialogu z czytelnikiem.”

W ustroju socjalistycznym instytucje informacyjne traktuje się jako element systemu politycznego danego państwa. System ten jest czymś żywym, przeobrażającym się, dostosowującym się lepiej czy gorzej do potrzeb społecznych i możliwości ich zaspokajania.”

W modelu tym zwykle miarą sprawności jest krytyka. Dziennikarz postawiony jest między dwoma stronami: władzą i społeczeństwem. Jeśli zechce zadowalać tylko władzę, budzić i pomagać utrwalać jej dobre samopoczucie, a społeczeństwo będzie nastawione do władzy krytycznie, to dziennikarz i jego cały wysiłek, nawet najlepszy warsztatowo, będzie niewiarygodny. Jeśli natomiast zechce tylko służyć społeczeństwu, a więc być ponad miarę krytyczny wobec władzy, to spotka się z jej niechęcią, a w końcu sankcjami organizacyjnymi — administracyjnymi. Dziennikarze łatwo taki stan mogą odczuć, gdyż — jak pisze M. Szulczewski — spolkają ich różnego rodzaju „obawy nęchące, okazywane im w trakcie wykonywania obowiązków zawodowych, np. przy próbach uzyskania źródeł informacji”. Władza w ten sposób po prostu broni się przed krytyką, a że w jej ręku leży informacja, może wywierać odpowiedni nacisk na dziennikarzy — udzielać informacje tyl-

ko tym zaufanym, innych „bojkotować”.

Są to zasady ogólniejszej natury. Nas bardziej interesuje działanie prasy w aktualnej sytuacji. M. Szulczewski ujawnia, że w niektórych kręgach sugeruje się następująca periodyzacja działania prasy:

- „prasa okresu propagandy sukcesu,
- prasa okresu przemian i chaosu,
- prasa okresu stanu wojennego.”

Jest to próba periodyzacji nie do przyjęcia. Można jeszcze mówić o prasie okresu propagandy sukcesu, chociaż i tu nie ma jednorodności w ocenie. Inna była przecież prasa na początku lat siedemdziesiątych, a inna w drugiej połowie tego okresu. Podobnie wygląda sprawa z prasą z drugiej połowy roku 1980 i całego roku 1981. Ale tu jeszcze trudniej o jednolitość kryteriów. Trzeba pamiętać, że obok prasy oficjalnej masowo były produkowane wydawnictwa praso-podobne, które z dziennikarstwem nie miały nic wspólnego, ale do miana dziennikarstwa krzykliwe pretendowały. Żadne wzorce z tego okresu nie są do bezkrytycznego naśladowania. Jest to okres, który wymaga wnikliwej analizy, skrupulatnej oceny, krytycznego przeanalizowania. Czego nikt do tej pory nie zrobił.

Również nie można mówić o prasie okresu wojennego. Przed wszystkim różnicowana sytuacja w środowisku dziennikarskim, wysokie ceny na periodyki, nastroje sceptycyzmu i niechęci u odbiorców, jak również powolny sposób odbudowywania systemu prasowego składają się na prasę czasu obecnego. Ale musi upłynąć jeszcze sporo czasu, aby można było powiedzieć, jaka jest wzajemna relacja między nimi. A relacje tę trzeba będzie prześledzić czy później zbadać, aby wiedzieć na ile skutecznie docieramy z informacjami i różnymi treściami do odbiorcy. Z tym, że nie można wzmawiać ludziom tymczasowości działania prasy, robić wrażenia, że tak jak jest teraz, to jest do zmiany, że kiedyś wszystko wróci do normy. Do jakiej normy? Co ma być tą normą? Czy nie powinniśmy teraz pracować nad normalnym modelem prasy i informacji funkcjonującej sprawnie w naszym socjalistycznym społeczeństwie?

Nim jednak się na to zdecydujemy, a będziemy musieli, chciałbym odnotować — jako przyczynek do sytuacji prasy w 1982 roku — stały sukces prasy lokalnej. „Życie Pabianic” — tygodnik o charakterze wyraźnie miejskim, z dużymi tradycjami i przywiązaniem czytelników — nie tylko, że nie ma kłopotów ze zbytem, ale jeszcze podnosi nakład, podczas, gdy inne pisma, nakłady zmniejszają. Nie należy z tego wyciągać zbyt pochopnych wniosków, potwierdza to tylko obserwacja, że ludzie bardziej interesują się sprawami ich bezpośrednio dotyczącymi niż natury ogólniejszej.

M. Szulczewski zwraca jeszcze uwagę na skomplikowaną sytuację prasy zakładowej, która bardzo powoli odbudowuje się, a proces ten hamuje z jednej strony pamięć o wpływach, jakie w tej prasie miały skrajnie nastawione grupy „Solidarności”, a z drugiej niechęć do założenia na tę prasę przez przedsiębiorstwa. Otóż w tym miejscu mogą zakomunikować, że zaczęły ukazywać się

„TYDZIEŃ W UNIONTEXIE”

— Biuletyn społeczno-ekonomiczny ŁZPB im. Obrońców Pokoju. We wstępie do 1 numeru zespół redakcyjny tak pisze: „Nowe pismo nosi skromny podtytuł „biuletyn społeczno-ekonomiczny”, bo więcej w nim będzie zakładawych informacji, tych oficjalnych i tych praktycznych, a siłą rzeczy mniej miejsca pozostanie na publicystykę, ale oczywiście

jest, że dołożymy w zespole redakcyjnym wszelkich starań, by było to pismo na wysokim poziomie...”

„Tydzień w Uniontexie” jest pierwszym w Łodzi piśmie z zakładowym. Drugie być może powstanie w ZPB im. J. Marchlewskiego.

LUCJAN BOGUSZ

FRANCJA MA TAKŻE SVOJE MALWINY

Paryski dziennik LE FIGARO w numerze z 23 kwietnia zamieszcza artykuł Edmonda Berghauda, który pisze o drobnych posiadłościach francuskich rozsiągniętych na oceanach. W artykule tym czytamy:

Udając się do Kanady premier Pierre Mauroy zatrzymał się na wyspach Saint Pierre et Miquelon, przy czym pobyt ten nie miał tylko charakteru formalnego postoju w tej odległej francuskiej posiadłości. Wilczyta szefa rządu nabrała znacznie głębszego znaczenia. Chodziło bowiem o zaznaczenie, że Francja stawia czoło wszelkim próbom zagarnięcia jej terytorium, że nie zgodzi się na żadne porozumienia, które dopuszczałyby ingerencję z zewnątrz. Nie jest tajemnicą dla nikogo, że Kanada spogląda łakomie na Saint Pierre et Miquelon, przy czym chodzi tu nie tyle o interesy polityczne, co gospodarcze. Nie ulega wątpliwości, że sprawa ta była jednym z tematów rozmów Francois Mitteranda z kanadyjskim premierem Pierre Elliott Trudeau podczas spotkania w Vancouverze.

Mamy tu do czynienia ze sprawą podobną do sporu o Malwinę. Nie ma to znaczenia, że Brytyjczycy nazywają ów archipelag Falklandami. Przeprowadzona z powodzeniem wojskowa operacja argentyńska może rozbudzić ambicje innych krajów. Dlatego właśnie Francja czuje się zagrożona. Posiada bowiem sporo posiadłości zamorskich rozsiągniętych na Oceanie Indyjskim, Pacyfiku i Atlantyku.

Wszystko to może wzbudzić pożądaną inność państw. Dla przykładu, chociażby terytoria Antarktyki, wyspy Kerguelen, Crozet, Amsterdam, Saint Paul i Ziemia Adeli. Oficjalnie do tej pory nikt nie wysuwał tu swych pretensji terytorialnych. W przyszłości jednak nie można wykluczyć, że uczyni to Australia albo Republika Południowej Afryki. Już ponad 20 lat temu RPA zajęła bez żadnych uprzedzeń wyspę Marion, która teoretycznie znajdowała się we władaniu francuskim, ale nie było tam żadnego mieszkańca. RPA może też wysunąć pretensje terytorialne do wysp Kerguelen.

Mając do czynienia z tego rodzaju formą zaboru, Paryż ostro zareagował w latach 60-tych. Francuzi umieścili na swych południowych wyspach niewielkie garnizony, z których żaden nie przekracza 150 ludzi. Co pewien czas wyspy te odwiedza też francuski okręt wojenny patrolujący na Oceanie Indyjskim.

Nieco bardziej na północ znajdują się wyspy Juan de Nova, Europa, Tromelin i Bassos de India. Są to posiadłości tym cenniejsze, że znajdują się w kanale Mozambickim. Chociaż powierzchnia wysp nie przekracza 50 km kwadratów, to przecież posiadłości te oznaczają dla Francji prawo do terytorium „wyłącznych praw ekonomicznych” o powierzchni 730 tys. km kwadratów. Oto dlaczego od roku 1973 na zagubionych wyspach stacjonują żołnierze piechoty morskiej wymieniani co dwa miesiące z garnizonu na wyspie Reunion.

Na orbicie

W Związku Radzieckim wystartował kolejny statek kosmiczny „Sojuz T-5”, który w miniony piątek 14. maja o godz. 15.36 czasu moskiewskiego połączył się ze stacją orbitalną „Salut — 7”.

Kosmonaut Anatolij Bierieziow i Walentin Lebediew przeszli do pomieszczeń stacji, dokonali prac konserwacyjnych i przystąpili do czynności mających na celu przestawienie stacji na program lotu załogowego.

W programie badawczym znajdują się m. in.:
● badanie powierzchni Ziemi i jej atmosfery,
● eksperymenty astrofizyczne, medycyno-biologiczne i techniczne.

Statek „Sojuz T-5” jest doskonalszy niż poprzednie statki tego typu, a pokładowy zespół obliczeniowy nie tylko przetwarza informacje i kieruje ruchem statku, lecz także kontroluje na bieżąco najróżniejsze procesy.

Rozczarowanie na Zachodzie

Zapowiadana przez wszystkie rozgłoszenie zachodnie z „Wolną Europą” na czele oraz propagowana w nielegalnych biuletynach wielka akcja protestacyjna połączona z 15-minutowym strajkiem w dniu 13 maja — w gruncie rzeczy, mimo lokalnych incydentów o małej skali, spaliła na panewce. Jest to ocena nie tylko polskich dziennikarzy, którzy odwiedzili w tym dniu wszystkie niemal większe zakłady pracy w kraju, ale również poważniejszych agencji zachodnich.

„Associated Press” pisze np., że „zarówno oficjalni jak i nieoficjalni obserwatorzy z całej Polski donieśli, że próby powstrzymania ruchu drogowego, włączenia klaksonów itp. zakończyły się fiaskiem”.

„Wezwanie przywódców podziemnej „Solidarności” — donosi Reuter — skierowane do kierowców, by w południe zatrzymali pojazdy i włączyli na minutę klaksony, nie spotkało się z jednomyślnym poparciem”.

Podobnie skromne oceny dotyczą akcji strajkowej, z danych PAP wynika np., że w wielotysięcznym „Ursusie” strajkowało 20 osób, w Kasprzaku — 15, gdzie indziej podobnie. Nie inaczej wyglądała sytuacja w Łodzi i w innych wielkich miastach Polski.

Biuro Prasowe Rządu przekazało informację z posiedzenia Prezydium Rządu, w której stwierdza m. in.:

„Zdecydowana większość społeczeństwa, a zwłaszcza klasa robotnicza, kierując się politycznym rozsądkiem, reagując spokojnie i z godnością na nawoływanie do demonstracji, wykazała dużą obywatelską mądrość i dojrzałość. Ludzie pracy jednoznacznie opowiedzieli się za spokojem i porządkiem w kraju, za niezakłóceniem produkcji. Świadczy to dobitnie o coraz szerszym w społeczeństwie przekonaniu, że jedyną drogą wyjścia z kryzysu gospodarczego, przezwyciężenia wielu nabrzmiałych problemów i dotkniętych jeszcze trudności życia, jest praca i ład w państwie”.

Zapowiadając wyciągnięcie konsekwencji wobec sprawców zakłóceń w dniu 13 maja, Prezydium Rządu stwierdza jednocześnie: „Ze zdecydowaniem rugowane będą nadal przypadki nadużyć, nieprawidłowych decyzji, czy zwykłej nieudolności w działaniu aparatu państwa. Zło jest bowiem niepodzielne, trzeba je tępić wszędzie, gdziekolwiek występuje. A zatem wszystko, co utrudnia wypracowanie kraju z kryzysu, co przeszkadza Polsce w spokojnej pracy i życiu, musi być i będzie systematycznie eliminowane”.

Sytuacja gospodarcza kraju

W kwietniu — jak informuje GUS w swoim comiesięcznym sprawozdaniu — sytuacja gospodarcza kraju była zbliżona do tej, jaka utrzymywała się w I kwartale br.

W PRZEMYSLE dalszy wzrost odnotowały przemysły wydobywcze, w kwietniu wydobycie np. 15,7 mln ton węgla kamiennego, tj. o 13,6 proc. więcej niż w tym samym miesiącu przed rokiem. Pewien wzrost produkcji odnotował też przemysł drobnny, nastąpił natomiast dalszy spadek produkcji w przemysłach przetwórczych, co jest przede wszystkim rezultatem niedoborów zaopatrzeniowych.

Zmalało budownictwo, oddano też mniej mieszkań niż w czterech pierwszych miesiącach roku poprzedniego.

W ROLNICTWIE wzrosło pogłowienie bydła i trzody, obniżył się jednak skup żywca. Odnotowano pewne opóźnienie prac polowych, niższa niż przed rokiem była sprzedaż nawozów i pasz treściwych.

Nastąpiło zmniejszenie przyrostu ZASOBÓW PIENIĘŻNYCH LUDNOSCI. Mimo tego odnotowywano braki na rynku towarów żywnościowych i przemysłowych, choć pokrycie na towary objęte reglamentacją było w zasadzie pełne. Ocenia się, że dochody realne rodzin pracowników gospodarki uspołecznionej były o 23 proc. niższe niż w tym samym okresie roku ubiegłego.

EKSPORT w kwietniu był o 0,8 proc. wyższy niż w kwietniu roku ubiegłego. IMPORT — niższy o 23,8 proc. Średnie ceny w imporcie wzrastały niestety w nieco wyższym stopniu niż średnie ceny w eksporcie.

To się nadaje do „Szpilek”

Po pięciomiesięcznej przerwie z datą 13 maja, ukazał się pierwszy w tym roku numer „Szpilek”, w nieco większym niż uprzednio formacie, mniej poręczny w czytaniu, niż to drzewiej bywało, lecz utrzymujący znaczną część tradycyjnych rubryk i publikujący teksty wielu znanych autorów. W artykule wstępnym czytamy m. in.:

„Cieszy nas, że będziemy mogli w naszej pracy liczyć na czynne poparcie twórców, z którymi współdziałaliśmy przed dniem 13 grudnia. No, jest kilka antraków. Jeden czujemy się tu zwłaszcza w obowiązku wyjaśnić, bo zdążył obrósnąć w różne legendy: nasz redakcyjny kolega, Jan Pietrzak — bawi na rozpoczętym w listopadzie rocznym bezpłatnym urlopie poza granicami kraju. Czekamy na niego...”

W zabawnym numerze najzabawniejsza jednak jest cena; dokładnie 17 złotych, ciut drożej niż łódzka „Karuzela” (15 zł), a zarazem ciut taniej niż „Polityka” (20 zł). Dlaczego jednak wyszło akurat 17, dociec trudno, pewno były targi, wydawca zaliczył jakieś 25, redakcja skromnie ze 12, potem jeden umował, drugi dodawał po złotówce, no i dlatego trwało to tak długo. Rzecz stanowczo nadaje się do „Szpilek” i wierzymy, że nasz koledy kiedyś ją szczerze opisał. (jp)

Dokończenie ze strony 1

kracząc z tego, co pozostawia nam tradycja. Trzeba uczyć się wpływać na rzeczywistość, aby ją zmieniać, a nie występować przeciw rzeczywistości.

TOMASZ: — Przeciwnie. Tylko nieustanną walką można coś osiągnąć.

A poza tym, uważam, że ludzie młodzi, którzy mają własne poglądy, powinni mieć możliwość ich przedstawienia. Na forum organizacji młodzieżowej, w szkole, na uczelni. Młodzi mają głowę pełną pomysłów. Niech sami decydują o sobie, a nie żeby robili to za nas inni, którzy mają dwa razy tyle lat, co my, albo i jeszcze więcej. Nie mamy pewności, że zrobią to w sposób nas zadowalający.

CZYJA ORGANIZACJA?

„ODGŁOSY”: — W szkole są przecież organizacje, które powinny temu sprzyjać. Czy nie są to wasze organizacje?

MAŁGORZATA: — Czy są nasze? Opowiem to na swoim przykładzie. Jestem instruktorką ZHP. Ostatnio zrodziło się wśród nas nowe nurt. Wrócił do początków ZHP. Część instruktorów nie uważa, że harcerstwo musi być organizacją masową, że raczej powinno ono dążyć do tego, aby mieć warunki do kształtowania osobowości każdego harcerza. Dyskutowaliśmy o tym. Na Zjeździe ZHP też się o tym mówiło. Ale urzędnicy harcerscy uznali te poglądy za herezję. Tylko że w tym brak logiki. Wbijano nam do głowy, że przed wojną było Czerwone Harcerstwo i ono jest prototypem dzisiejszego. Ale to był przecież tylko odłam ówczesnego harcerstwa. Skoro więc wzorujemy się na odłamie z tamtych czasów, dlaczego dziś negujemy odłamy, które usiłują poszukiwać własnej drogi? Czy to sprzyja dyskusjom, prezentowaniu swoich — może i błędnych — poglądów?

PIOTR DRUGI: — Problem w tym, jak tworzy się organizacje młodzieżowe. Czy odpowiada ona potrzebom młodzieży i od tych potrzeb wychodzi, czy też odpowiada wyobrażeniom o młodzieży ludzi, którzy o tej młodzieży mało wiedzą.

TOMASZ: — Po sierpniu 1980 roku powstała taka szansa, że można było myśleć, że ma się wpływ na to, co wokół nas się dzieje. I to już było duże osiągnięcie. To mogło ożywić ruch młodzieżowy.

„ODGŁOSY”: — Czy teraz ta szansa zniknęła? Teraz, gdy porządkujemy nasze sprawy, można będzie powrócić do tych wartościowszych doświadczeń.

TOMASZ: — Ale kto ma zdecydować o tym, co było dobre, a co było złe?

MACIEJ: — Najpierw trzeba rozstrzygnąć, czy będzie jedna organizacja obejmująca całą młodzież, czy będą różne organizacje. Młodzi mają różne poglądy. Byłoby więc dobrze, gdyby nie wszyscy należeli do jednej organizacji młodzieżowej.

PIOTR: — Kilka organizacji — to konkurencja. A ja nie wiem, czy to byłoby dobre.

MAŁGORZATA: — A dlaczego miałyby być złe? Że jedna straci członków na rzecz drugiej?

MACIEJ: — Każda organizacja będzie miała swoich członków, mniej albo więcej. To nie jest istotne.

„ODGŁOSY”: — A co jest istotne?

EWA: — Istotne jest to, czy nas traktuje się serio, czy nie. Opowiem wam pewną historię. Byłam na obozie studenckim dla chemików. Kierownik ośrodka, w którym mieszkaliśmy ganiał nas co noc do pobierania próbek wody i robienia jej analiz chemicznych. Kiedy już mieliśmy tego dość, ktoś zapytał, po co to robimy, do czego to służy, jaki to ma sens? Myśleliśmy, że potrzebne to jest naukowcom, którzy w tym ośrodku będą robili jesienią jakieś badania naukowe. Ale kierownik wysmiał nas. Powiedział, że ośrodek będzie prowadził badania za jakieś 4-5 lat, a nas ganiał po nocy, żeby nam się nie nudziło i żeby nam głupie myśli w głowach się nie legły. Przyszanam się, że nabrałam niechęci do ruchu studenckiego kół naukowych. I jak pójść na studia, to nikt mnie do czegoś takiego nie namówi.

Istotne więc jest to, czy nasza robota ma jakiś praktyczny sens, czy tylko jest markowaniem działania, czymś pozornym. Czy to, co robimy ma rzeczywistości sens i jest komuś potrzebne, czy to tylko tak sobie, abyśmy się nie nudzili.

KATARZYNA: — Każde pokolenie stawia sobie jakieś cele. Chodzi o to, aby te cele nie były nam narzucone, ale byśmy mogli brać udział w ich kształtowaniu.

PIOTR: — Nie możemy odrzucać doświadczeń poprzednich pokoleń, bo nawet, kiedy je odrzucimy i wszystko sami zrobimy, to okaże się, że doszliśmy do wspólnych doświadczeń. I straciliśmy czas, bo nie skorzystaliśmy z gotowych przykładów.

TOMASZ: — Nie można wszystkiego jednak za nas robić, trzeba nam dać jakąś samodzielność.

MACIEJ: — Organizacje młodzieżowe muszą wyjść od rzeczywistości. Masowe organizacje nie mają dziś powodzenia. Ale młodzież lubi być i działać w grupie. Takie grupy funkcjonują. Łąca je najczęściej wspólne zainteresowania. Od tego trzeba wychodzić.

PIOTR: — To prawda. Przykładem Akademicki Klub Żeńdzicki, Akademicki Klub Żeglarski. Działają. Łąca młodych o wspólnych zainteresowaniach. I to ma szansę dalszego powodzenia.

MACIEJ: — Wolę pójść do AKJ czy do AKZ niż na zebranie i słuchać referatu.

PIOTR: — Bo już z góry wiesz, co tam usłyszysz!

SZKOŁA ŚREDNIA, CZY SZKOŁA PRZECIĘTNOŚCI?

MAŁGORZATA: — To prawda, że żyjemy w grupie. A każda grupa ma jakieś wzorce, sposób bycia, styl, często nie aprobowane przez dorosłych. Żyjemy pod nieustanną presją przeciętności. Szkoła też nas tego uczy.

KATARZYNA: — Ciągłe ma się do nas pretensje, że dajemy się wciągać w różne awantury, ale jeśli przez 12 lat stwarza się nam pewne ramy i nie pozwala za nie wyjść, a później nadarzy się okazja, aby zrobić coś innego, to młodzi mają z tego nie skorzystać? W końcu młodzi nie są ludźmi w pełni dojrzałymi. Dlaczego wini się nas, a nie tych, którzy nas wychowują i uczą?

PIOTR DRUGI: — Czy ty nie przeceniasz szkoły? Szkoła jest dziś maszyną do uczenia. Większą rolę w wychowaniu odgrywa dom. Uważam, że 80 procent, jeśli nie więcej, wszystkich wpły-

wów na nas pochodzi z domu. Nie ma co czeptać się nauczycielem. Nauczyciel robi swoje, za to mu płacą i nie ma większego wpływu na wychowanie. Chodź powinien mieć.

TOMASZ: — Nauczyciel jawi się nam jako urzędnik państwowym.

„ODGŁOSY”: — A kim powinien być?

TOMASZ: — Powinien być przede wszystkim człowiekiem, który chce się dogadać z tym młodszym człowiekiem, wpłynąć na niego, ukształtować go.

PIOTR: — Czy nie może?

TOMASZ: — Powinien nawet. Ale tego nie robi. A jak ma robić, kiedy w klasie jest 43 uczniów?

KATARZYNA: — Kiedy czytam książki Jana Parandowskiego, wspomnienia Melchiora Wańkowicza, widzę z nich jasno, jak silnie więzy łączyły ich ze szkołą. Inny był kiedyś stosunek nauczycieli do uczniów.

MAŁGORZATA: — Podstawowy brak dzisiejszego szkolnictwa — to fakt, że nauczyciele nie są dla nas wzorami, jak to dawniej bywało. Nauczyciel przede wszystkim musi być osobowością, a dopiero później wykonawcą swego zawodu.

KATARZYNA: — Nasi nauczyciele idą często na łatwiznę. Łatwiej jest wymagać od ucznia wypowiedzi schematycznej, zgodnej z podręcznikiem, niż podjąć z nim dyskusję. Na to potrzeba odwagi.

TOMASZ: — Ale są i tacy, którzy z nami dyskutują.

KATARZYNA: — Szkoła nakłada na nas rygory. Większość dla nas jest pozytywna, ale są i negatywne. Oczek z nich ma sens, ponieważ kształtuje nasze pozytywne cechy, nawyki, ale niektóre budzą tylko protest. Efekt jest taki, że negujemy wszystko.

PIOTR: — Szkoła staje się przez to miejscem urzeczywistnienia się swobodnego paradoksu. Jest to miejsce, gdzie człowiek ma ukształtować swoją osobowość, stać się pełnowartościowym oby-

Maturzyści 82

wwatem. Ale ta sama szkoła narzuca także, czy inne rygory, które kładą rozwój tej osobowości.

PIOTR DRUGI: — Patriotyzm szkolny powinien wnieść z domu, w szkole powinien on być tylko ugruntowany. Patriotyczne wychowanie — to obowiązek domu, rodziny.

TOMASZ: — Jeśli tata mi powie, jak jestem mały, że przy hymnie trzeba stać na baczność i zdjąć czapkę, że trzeba szanować flagę narodową, to ja się tego nauczę i będzie to dla mnie normalne. Ale, jak mi to powiedzą dopiero w szkole, kiedy już mam 12 lat, to przyjmę to zupełnie inaczej.

„ODGŁOSY”: — Szkoła jest miejscem, gdzie młody człowiek dowiaduje się o życiu społeczeństwa, w którym istnieją rygory, obowiązki, ograniczenia większe niż w domu. Tu musi się tego nauczyć. Musi się nauczyć życia w społeczeństwie. A to znaczy nie tylko brać, ale i dawać z siebie.

KATARZYNA: — My nie sprzeciwiamy się rygorom. My sprzeciwiamy się sprowadzaniu nas do średniego poziomu. Sprzeciwiamy się ubieraniu nas w jednokolorowe „mundurki” i uczeniu nas, abyśmy wszyscy jednakowo myśleli.

MAŁGORZATA: — Czy to ma sprzyjać kształtowaniu osobowości? Robi się przesłuchanie i zapada wyrok: ty idziesz do chóru, ty do orkiestry! A gdzie prawo wyboru? Po takim nakazie człowiek będzie robił wszystko, aby takich zajęć uniknąć.

KATARZYNA: — Kiedy nasz chór zajął trzecie miejsce w kraju, powinnam się cieszyć, a ja myślałam: jak szkoda, że było to efektem nie spontaniczności, ale przymusu.

PIOTR: — Jestem członkiem chóru od pierwszej klasy i chór polubiłam. Gdyby nie było selekcji, to może bym nie trafił do chóru. A ty Kasju z orkiestry wystąpiłaś, choć poszłaś tam z własnej woli, a nie z przymusu.

JAKA PRZYSZŁOŚĆ?

„ODGŁOSY”: — Szkoła ma was przygotować do życia. Za kilka dni matura. Później egzaminy na studia. Rzeczywistość mamy taką, jak mamy. Nic wam nie można obiecać. Żadnej „drugiej Polski”, żadnej „drugiej Japonii”. Musimy nauczyć się pracować, sami pokonać trudności, wyjść z kryzysu. Za 5 lat, kiedy skończycie studia, staniecie znów przed kolejną decyzją. Ale to przyszłość. Wy o tej przyszłości — tak sądzimy — już dziś myślicie. Jak ją widzicie? Czego się obawiacie? I jakie macie nadzieje?

PIOTR: — To może będzie rozczarowanie, moja wypowiedź, ale my tej przyszłości nie widzimy. Idziemy na studia nie dlatego, że coś chcemy później robić, bo dziś nie wiemy, jak to będzie z pracą, ale dlatego, że coś nas interesuje, że chcemy mimo wszystko rozwijać się.

I może to zabrzmi jak paradoks, co teraz powiem, ale kryzys wpłynął korzystnie na wybór studiów, na nasze życiowe decyzje. Idziemy na studia z wewnętrznego przekonania, nie mając gwarancji, że po 5 latach będzie na nas czekała praca. Po prostu dlatego, że chcemy się uczyć.

KATARZYNA: — Powiem więcej. Włożyliśmy już pewien wysiłek w zdobycie wiedzy i włożymy go jeszcze więcej, mając świadomość, że u nas wiedzy się nie ceni.



Foto: M. Zajdler

„ODGŁOSY”: — Skąd ten pesymizm?

KATARZYNA: — Z życia. Mój ojciec po tylu latach pracy konstruktorskiej, po odznaczeniach, dyplomach i nagrodach nie wie, co będzie robił za 3 miesiące, bo jego biuro już likwiduje się, a on dostał 3-miesięczne wypowiedzenie.

MAŁGORZATA: — Moja mama jest pracownikiem nauki. Prowadzi badania, ale wyniki tych badań albo idą do szuflady, albo publikowane są z opóźnieniem. Jaki sens ma jej praca?

PIOTR: — Kolekty wybierają się na studia politechniczne. Mają ambicje coś w tej technice zrobić, ale jak są zamykane biura projektowe, to co oni będą mogli zrobić?

MACIEJ: — Znaleźliśmy się w szczególnie trudnej sytuacji — my absolwenci liceów ogólnokształcących. Zawodu nie mamy. Do pracy nie ma gdzie iść. Trzeba więc studiować, ale co będzie po studiach — nie wiemy.

„ODGŁOSY”: — To nie jest zupełnie tak. Podejmuje się teraz starania o uporządkowanie gospodarki, więc kiedy ukończycie studia, sytuacja będzie już pewnie inna.

MAŁGORZATA: — Pięciu lat nie wystarczy, żeby to wszystko uporządkować.

„ODGŁOSY”: — Mamy takie wrażenie, jakby was rzeczywistość nie interesowała, jak byście przestali wierzyć, że cokolwiek można zmienić na lepsze.

TOMASZ: — Jak mamy w to wierzyć? Była szansa, ale nam ją odebrano. Teraz ludzie szybko nie uwierzą, że coś będą mogli zrobić.

MACIEJ: — Mnie forma, w jakiej dostaliśmy tę szansę nieco przeraża. Bo ja lubię spokój.

TOMASZ: — Spokojem niczego się nie załatwi.

MACIEJ: — A ja po prostu chciałbym mieć spokojne, zmierzalzone życie.

PIOTR DRUGI: — Ja chciałbym żyć tak — a to nie jest chyba absolutny komfort — żeby móc zajmować się sprawami nieco wznioślejszymi niż... stanie w kolejce, staranie się o buty, masło. Ostatnio cudem dostałem... majonez. Ale była radość.

KATARZYNA: — Wyobrażam sobie to tak. Kiedy skończą studia, to będą walczyli o zmiany na lepsze. Nie mogą się przecież ograniczyć tylko do zdobycia małego fiata i kolorowego telewizora.

„ODGŁOSY”: — Wielu młodych marzy, aby wyemigrować za granicę, osiąść gdzieś i czegoś się dorobić. Już nie małego fiata.

PIOTR: — W Jugosławii zgodzono się z koniecznością emigracji zarobkowej.

„ODGŁOSY”: — Trudno jednak godzić się z tym, że my tu będziemy kształcić ludzi, a oni wezmą dyplomy pod pachę i wyjadą za granicę...

KATARZYNA: — ...gdzie będą myć samochody, albo nacznymia w barze.

MAŁGORZATA: — To wynika z wpaiania nam przekonania, że pieniądź jest rzeczą bardzo ważną. Niektórzy jadą na Zachód, aby tam dorobić się, wrócić do Polski i żyć tu spokojnie, imponując innym poziomem swego życia.

PIOTR: — Niekiedy za cenę poniżenia własnej godności.

KATARZYNA: — Jestem przeciwna emigracji tylko dla zarobku. Ale przyznacie, że na Zachodzie wyżej ceni się ludzi z dyplomem. Jeśli więc nie mogę swoich umiejętności wykorzystać tu, to mam chyba prawo wyjechać, aby dać coś z siebie innym.

PIOTR: — U nas nie ceni się ludzi z dyplomami. Dlatego magister czy inżynier zaraz po studiach musi tylko o tym, gdzie by się tu zalać w prywatnej inżynierii. A podnoszenie kwalifikacji powinno obowiązywać wszystkich i zdobyć dyplomu powinno być zaszczytem.

KATARZYNA: — Podam przykład, jak jest u nas. Moja znajoma, po dwóch latach — historia sztuki i matematyka — sprzedawała latem bilety na „Fall”. Ma małe dziecko i nie może sobie poradzić finansowo. Teraz jeszcze wszystko podorażało.

„ODGŁOSY”: — Mówicie o rzeczywistości w ten sposób, jakby w ogóle nie od was nie zależało. A to przecież nieprawda. Już choćby na studiach jest się czym zająć po zajęciach. Można przecież wnieść coś nowego, świeżego do życia akademickiej społeczności.

KATARZYNA: — Chcę studia traktować jako okres wchodzenia w dorosłe życie. Ale zastanawiam się, czy na studiach będzie czas na życie prawdziwie studenckie? Spotkałam znajomego studenta, który powiedział mi, że ma tyle materiału do opanowania, że po zajęciach wraca do domu i nie już mu się nie chce. Jeszcze w akademiku coś się czasem dzieje.

PIOTR: — Chciałbym, aby w przyszłości pierwszoplanowym problemem było nie to, czy uda mi się kupić pół kilo, żółtego sera, czy nie. Po skończeniu studiów chciałbym pracować w zawodzie, którego się nauczę. I w tym zawodzie nie być przeciętnym. Chciałbym, aby moje życie nie było monotonne. I żeby mi mogli przekazać moim dzieciom tę prawdę, że każdy Polak powinien czuć się Polakiem.

KATARZYNA: — Jeśli mam później spojrzeć na przebytą drogę bez pretensji do siebie, to nie mogę swego działania sprowadzić jedynie do spraw egzystencjalnych. Wokół nas jest jeszcze tyle niesprawiedliwości, tyle zła, że jest z czym i o co walczyć. Nie wolno tylko stracić zapachu. Nie wolno godzić się tylko na pracę dla zarobku, jeśli chce się coś dać z siebie, ma się jakieś aspiracje, ambicje. Nie chciałabym godzić się tylko na walkę o komfort dla siebie i jedynie o zaspokajanie potrzeb ciała.

PIOTR DRUGI: — Mówi się o nas, że tylko wymagamy, że wołamy o wszystko, bo to się nam należy. Uważam, że należy się nam ustabilizowana gospodarka, bo wtedy będziemy mogli coś zrobić, coś osiągnąć, coś dać z siebie. Jeśli każde pokolenie będzie musiało stabilizować gospodarkę od nowa, to nie nigdy nie osiągniemy.

TOMASZ: — A ja uważam, że dorosłe pokolenie nie jest już w stanie ustabilizować gospodarki, że czy tego chcemy, czy nie — my to będziemy musieli zrobić.

PIOTR: — Najważniejsze, aby być wiernym sobie, aby chronić własne ideały nawet za cenę niedogodności życiowych.

A więc, jacy są? Czy odpowiedzieli na wszystkie postawione na wstępie pytania? Czy nie przypominają trochę nas z odległej przeszłości? Nie mają łatwego życia, nie mają jasnej przyszłości. Trudno im się dziwić, że patrzą w nią bez ufności, z niepokojem, zwątpieniem. I trudno dziwić się, że nie mają do nas, dorosłych zaufania, że oceniają nas krytycznie. To my przecież ponosimy winę za ich teraźniejszość i przyszłość, to my ich próbowałam kształtować. I widać robiłmy to źle.

Pytanie zadane w tytule można powtórzyć w innej wersji: I co dalej panie inżynierze? Jest to pytanie bardzo aktualne. Chodzi bowiem o pracę dla absolwentów wyższych uczelni.

1

Otwieram „Życie Warszawy” z 7 maja 1982 roku i znajduję ogłoszenie:

„Poszukuje inżyniera lub technika ogrodnika z praktyką do specjalistycznego gospodarstwa ogrodniczego...”

A dalej:
„Murarza-glazurnika zatrudnię...”
„Kuchniarza, stażystę przyjmę...”

„Młodego z samochodem zatrudnię...”
„Emerytki, rencistki zatrudnię w pełni...”
„Blacharza samochodowego i ucznia przyjmę...”

„Życie Warszawy” z 11 maja 1982 roku, kolumna ogłoszeń:
„Absolwent SGGW, technolog żywności, znajomość francuskiego, angielskiego, prawo jazdy, 2-letnia praktyka w handlu zagranicznym podejmie pracę...”

I zaraz dalej:
„Bardzo dobre wynagrodzenie dla doświadczonych wykonawców sztucznej biżuterii ręcznie wykonywanej z metali...”
„Cyklinta, posadzkarza zatrudnię...”

„Dam dobrą pracę mężczyźnie...”
„Natychniam młodego do przyuczenia zawodu...”
„Potrzebna emerytka do sprzątania...”
„Zatrudnię tokarza, ślusarza...”

„Dziennik „Łódzki” z 11 maja 1982 roku:
„Robotnicy potrzebni Dziadziarom...”
„Potrzebny ogrodnik do produkcji kwiatarskiej...”
„Potrzebna pomoc w kuchni...”

„Potrzebna kobieta do sprzątania...”
„Młody elektryk przyjmie życie w domu...”
„Zatrudnię szwaczki na dobrych warunkach...”

Ogłoszeń tego typu jest wiele. Nie wymaga się na ogół żadnych kwalifikacji. Potrzebni są młodzi, zdolni, do przyuczenia, ale poszukuje się też fachowców, ogrodników, blacharzy, tokarzy, murarzy specjalistów i tak dalej. Wyższe wykształcenie się nie liczy. Czasem lepiej się nie przyznać do niego, można więcej zarobić i nie mieć kłopotów. Do jednej z instytucji przyszła pani magister inżynier, absolwentka Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej, która poszukuje pracy i chętnie zostałaby urzędniczką.

— To dla pani nie ma pracy w zawodzie? — zdziwiono się w instytucji.

— Nie ma.

— A przecież mamy rozwijając gospodarke żywnościową, przemysł spożywczy... Wciąż, jak to?

— Może w przyszłości. Teraz takiej pracy nie ma.

Pani magister inżynier od chemii spożywczej urzędniczką nie została, bo ktoś się przestraszył, że jak znajdzie pracę w zawodzie, to... ucieknie. I słusznie robi. Ja bym też tak zrobił.

Ale dla absolwentów Wydziału Chemii Spożywczej PL wolnych miejsc pracy nie ma, co niedługo w Czytelników może wydać się niepojętym, a co jest faktem. Oto dane:

Wydział Chemii Spożywczej wypuszcza 135 absolwentów. Jest dla nich 60 miejsc, w tym 11 w miejskim województwie łódzkim.

2

Niedawno Jadwiga Oleradzka pokazała w „Faktach” (24.04.82 r.) w artykule pod tytułem „Mam dyplom — oczekuję propozycji”, jak sytuacja absolwentów wygląda na przykład w Toruniu, który — jak wiadomo — jest też miastem uniwersyteckim.

Olicza się, że w tym roku o etaty będzie się ubiegać 307 absolwentów zamieszkujących w Toruniu bądź w pobliskich wsiach i miasteczkach, a miejsc pracy jest tylko 152 i to poszukuje się ekonomistów, ewentualnie prawników i nau-

czycieli. Tych ostatnich będzie 73, ekonomistów 54, a reszta? Co z pracą dla reszty?

A oto dane z Łodzi. Przewiduje się brak ofert dla około 1500 absolwentów łódzkich wyższych uczelni. Z tym zastrzeżeniem, że są to głównie absolwenci Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej. Dla absolwentów Politechniki Łódzkiej wpłynęło 221 ofert, a UL — 29. Studenci szkół artystycznych, którzy stanowią tylko 5 procent ogółu studentów Łodzi, od dawna sami szukają sobie pracy i właściwie nikt dobrze nie wie, czy ją znajdują. Nie oni stanowią bowiem o problemie, nad którym lamie sobie dziś głowę wiele różnych osób. Bo problem zaczyna nabierać rangi społecznej, i nikt dobrze nie wie, jak się dalej będzie kształtował.

Weszliśmy przecież w czas reformy gospodarczej, przedsiębiorstwa uzyskują samodzielność, mogą kształtować wielkość i strukturę zatrudnienia tak, jak im to będzie się opłacało. A gdyby jeszcze

profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, a później czytamy w gazecie długą listę mało mi znanych nazwisk, to zastanawiam się, ku czemu zmierzamy? Czy taka „nadprodukcja” ludzi z tytułami naukowymi jest równoznaczna z poziomem i rangą naszej nauki? Czy pojęcie „pracownik naukowy” równoznaczne jest z pojęciem „uczony”? Dla mnie — nieestety — nie!

— Ale — powiedział mi ktoś nie bez racji — spróbuj teraz zabrać wyższą uczelnię Radomowi, Kielcom, Rzeszowowi i tak dalej. Taka próba może wywołać „świętą wojnę”.

A przecież trzeba będzie i na ten problem spojrzeć realnie, w ramach możliwości i potrzeb kraju. Trzeba będzie odpowiedzieć na pytanie: czy dla prawidłowego rozwoju nauki, kształcenia potrzeba nam brnąć dalej w rozdrabnianie szkolnictwa wyższego, obniżać jego poziom, czy też dążyć do koncentracji sił, do podnoszenia rangi wyższych uczelni, do budowania silnych, dobrze osadzonych w tradycji ośrodków akademickich?

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

przyszło do tego, że zakłady pracy musiałyby zwracać szkołom wyższym koszty wykształcenia ich przyszłych pracowników, to sytuacja może być „bardzo interesująca” i niepokojąca zarazem. Tylko że skutki tego, co dziś się u nas dzieje poznamy za lat — powiedzmy — 5, a brak pracy dla absolwentów wyższych uczelni jest skutkiem „radosnej twórczości” sprzed lat również pięciu.

3

Z telewizyjnego sprawozdania z pochodu pierwszomajowego w Piotrkowie Trybunalskim dowiedziałem się, że w pochodzie tym brali udział studenci filii Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Kielc. Skądinąd wiadomo mi, że w tymże Piotrkowie Trybunalskim istnieje filia UL. Być może małuzko, a powstanie tam. Uniwersytet Piotrkowski. Jeszcze jeden, bo posiadamy już 9 uniwersytetów w PRL, z 77 tysiącami studentów na studiach dziennych. Nie mam nie przeciwko aspiracjom Piotrkowa Trybunalskiego, ale mam wiele przeciwko rozdrabnianiu wyższych uczelni, przeciwko obniżaniu ich rangi.

Posiadamy bowiem obok o-wych 9 uniwersytetów, 9 akademii rolniczych z 40 tysiącami studentów, 17 wyższych szkół technicznych, 3 akademie ekonomiczne, 10 akademii medycznych, wyższe szkoły pedagogiczne, technika pomaturalne, choć nie należą one do szkolnictwa wyższego, a są czymś pośrednim między tym szkolnictwem i szkolnictwem średnim, a w rezultacie nie posiadamy spójnego, racjonalnego systemu kształcenia specjalistów z wykształceniem wyższym.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wykładowcy z Łodzi jeżdżą na wykłady do Gdańska i Kielc, wykładowcy z Lublina do Rzeszowa, z Warszawy do Łodzi i tak dalej. Trwa niestanne podróże po Polsce ludzi, którzy powinni w ciszy swoich gabinetów, bibliotek, pracowni zajmować się sprawami nauki, a w salach wykładowych przekazywać swą wiedzę studentom. Nie jestem przekonany, czy taki podróżujący po Polsce wykładowca ma czas na zajmowanie się badaniami, a także czas na zajmowanie się studentami. On tylko „wypełnia swoje obowiązki”. W nauce, w dydaktyce — to mało.

Powolywanie w każdym województwie szkoły wyższej jest działalnością dla rozwoju nauki i kształcenia specjalistów z wyższym wykształceniem szkoda liwą. Po pierwsze — gwałtownie spada ranga wyższych uczelni. Po drugie — gwałtownie spada ranga ludzi z tytułami naukowymi. Gdy patrzeć na szeregi panów i z rzadka pań stojących w salach Belwedera, gdy im prof. Henryk Jabłoński wręcza nominacje na

profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, a później czytamy w gazecie długą listę mało mi znanych nazwisk, to zastanawiam się, ku czemu zmierzamy? Czy taka „nadprodukcja” ludzi z tytułami naukowymi jest równoznaczna z poziomem i rangą naszej nauki? Czy pojęcie „pracownik naukowy” równoznaczne jest z pojęciem „uczony”? Dla mnie — nieestety — nie!

— Ale — powiedział mi ktoś nie bez racji — spróbuj teraz zabrać wyższą uczelnię Radomowi, Kielcom, Rzeszowowi i tak dalej. Taka próba może wywołać „świętą wojnę”.

A przecież trzeba będzie i na ten problem spojrzeć realnie, w ramach możliwości i potrzeb kraju. Trzeba będzie odpowiedzieć na pytanie: czy dla prawidłowego rozwoju nauki, kształcenia potrzeba nam brnąć dalej w rozdrabnianie szkolnictwa wyższego, obniżać jego poziom, czy też dążyć do koncentracji sił, do podnoszenia rangi wyższych uczelni, do budowania silnych, dobrze osadzonych w tradycji ośrodków akademickich?

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Jeszcze raz sięgam do „Życia Warszawy” z 7 maja 1982 roku. Czytam tak na kolumnie ogłoszeń:

„Angielski — nowoczesną dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — specjalną, dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — tłumaczenia...”
„Angielski — nauka, konwersacja...”
„Angielski — tanio...”

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Jeszcze raz sięgam do „Życia Warszawy” z 7 maja 1982 roku. Czytam tak na kolumnie ogłoszeń:

„Angielski — nowoczesną dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — specjalną, dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — tłumaczenia...”
„Angielski — nauka, konwersacja...”
„Angielski — tanio...”

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Jeszcze raz sięgam do „Życia Warszawy” z 7 maja 1982 roku. Czytam tak na kolumnie ogłoszeń:

„Angielski — nowoczesną dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — specjalną, dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — tłumaczenia...”
„Angielski — nauka, konwersacja...”
„Angielski — tanio...”

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Jeszcze raz sięgam do „Życia Warszawy” z 7 maja 1982 roku. Czytam tak na kolumnie ogłoszeń:

„Angielski — nowoczesną dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — specjalną, dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — tłumaczenia...”
„Angielski — nauka, konwersacja...”
„Angielski — tanio...”

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Jeszcze raz sięgam do „Życia Warszawy” z 7 maja 1982 roku. Czytam tak na kolumnie ogłoszeń:

„Angielski — nowoczesną dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — specjalną, dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — tłumaczenia...”
„Angielski — nauka, konwersacja...”
„Angielski — tanio...”

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Jeszcze raz sięgam do „Życia Warszawy” z 7 maja 1982 roku. Czytam tak na kolumnie ogłoszeń:

„Angielski — nowoczesną dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — specjalną, dwutygodniową metodą...”
„Niemiecki — tłumaczenia...”
„Angielski — nauka, konwersacja...”
„Angielski — tanio...”

Wspomniała już Jadwiga Oleradzka z „Faktów” pisze o magister Joannie, która „maluje obrazy i kielki”. Te kielki — oczywiście — sprzedaje. Magister Joanna poza tym, że maluje obrazy i sprzedaje kielki, jest absolwentką filologii polskiej UMK w Toruniu oraz ukończyła college w Anglii, co daje jej prawo nauczania w szkołach języka polskiego i angielskiego.

Kierunek bibliotekarstwa Wydziału Filologicznego UL ukończyła 16 osób, w tym 10 z Łodzi i okolic, a nie ma dla nich ani jednego wolnego miejsca pracy. Czyżby rzeczywiście w bibliotekarstwie nikt nie odchodził na emeryturę? Ani jedna osoba?

Wniosek nasuwa się sam: dokonać przeglądu kadr! Coś takiego robiono zresztą w 1977 roku. Stwierdzono wówczas, że na stanowiskach kierowniczych wymagających wyższego wykształcenia pracowało 12131 osób, wykształcenie wyższe posiadało 9457 osób, uzupełniało je — 313 osób. W tym jednak 19,7 proc. wszystkich pracujących na tych stanowiskach pracowało albo niezgodnie z wyuczonym zawodem (14,2 proc.), albo niezgodnie z poziomem wykształcenia (5,5 proc.). W 1981 roku — jak szacuje Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UML — ilość pracujących niezgodnie z posiadanym zawodem wzrosła o 10—15 proc., a więc wynosi obecnie od 24,2 do 29,2 proc. To oczywiście szacunek, to oczywiście statystyka. Nie można ludzi traktować szablonowo, są wybitnie uzdolnieni ludzie, którzy choć nie mają wyższego wykształcenia potwierzonego dyplomem, to mają i wiedzę i umiejętności na głowie bijące niejednego z kilkoma dyplomami. To wszystko prawda, ale prawdą jest też, że przydałby się przegląd kadr, który objąłby przede wszystkim tzw. stanowiska średniego szczebla kierowania.

W Łodzi — w 1975 roku, kiedy to rozpoczęła się „radosna twórczość” planowania zatrudnienia dla ludzi z wyższym wykształceniem — były 6552 miejsca w domach studenckich. W 1980 roku — kiedy już mieliśmy dobrze zaawansowane kłopoty z absolwentami wyższych studiów — miejsc w domach studenckich było 6702, a więc o 250 więcej. Jak już to wcześniej wykazałem 66 procent studentów mieszka w Łodzi, bądź jej najbliższej okolicy i nie ma zamiaru udać się w Polskę w poszukiwaniu pracy, chociaż być może w Suwałkach czy Ciechanowie znaleźliby ją szybciej i na dodatek jeszcze mieszkanie. Ale niektórzy wolałby wemigrować z Polski i nie uprawiać swego zawodu — nie wszędzie honoruje się dyplomy uzyskane w innym kraju — niż poszukać

pracy w zawodzie, ale gdzieś w Polsce.

A oto kolejne dane. Dla 143 absolwentów Wydziału Filologicznego UL oferuje się 23 miejsca, w tym 20 w województwie miejskim łódzkim, ale tutaj mieszka 86 absolwentów, więc 66 nie znajdzie pracy. W tym 51 absolwentów filologii obcych, bo dla nich w Łodzi jest tylko... jedno miejsce, a dwa w ogóle w kraju. Na 88 absolwentów tego kierunku. Czyżbyśmy już tak wszyscy doskonale mówili i posługiwali się obcymi językami? Czyżby na stanowiskach, gdzie wymagana jest znajomość obcego języka pracowali ludzie znający tę posiadający?

Nadzwyczajnie zwyczajny dzień

JOLANTA WRÓNSKA

prosta, lepiej mniej, ale dobrze. Czasy mechanicznej masówki skończyły się, teraz trzeba ciężko zapracować na dobrą markę.

— Pilnujemy — mówi wiceprzewodniczący zakładowej organizacji ZSMP, Henryk Ciołkowski — przepływu kadrowego. Przychodzą do zakładu przeważnie młodzi, nie tracimy ich z pola widzenia, każdego zapraszamy do siebie — popatrz co robimy i przyłącz się. Jak dotąd — słyszę zapewnienie — wszyscy młodzi rozpoczynający pracę trafili do naszej organizacji.

— Macie extra propozycje, czy dobrą propagandę? — pytam.

— Dobra propaganda — odpowiada Krzysztof Jędrzejczak — to efekty naszej pracy. A poza tym ludzie nie chcą być samotni, nie chcą się bezradnie mijać w tych wszystkich wielkich i małych problemach. Chcą być w gromadzie i czuć się silniejszą siłą zbiorowości. Dlatego chyba nie tylko nie tracimy ludzi z szeregów, ale przeciwnie, powolutku nabieramy ciała. Program działania musi być dopasowany do warunków. Nie maszerować z motyką na słońce, nie łapać się za niemożliwe. Więc znowu konkret. Na liście kilka najbliższych spraw ułożonych wedle ważności. Pierwsza rzecz, to założenie w ELCIE zrzeczenie budowy domków jednorodzinnych. Chętnych jest około 130 osób, chęci jeszcze więcej, ale... Ale golgota owych zrzeczeń, powstających impetem młodych, sama w sobie warta jest memoriału. Użeranie się z urzędowymi harpagonami, walka o miliony papierków, to twarda lekcja aktywności. Tzw. klimat dla sprawy jest, blogosławieństwo czynników najwyższych — też, ale jest też procent bankowy, zabijający całą ideę. Ludziom się mimo wszystko chce. Pewnie, każdemu by się chciało, jeśli ma przed sobą perspektywę 15 lat czekania na mieszkanie. Tyle że wytracanie rozpędu młodych w jałowej walce nie jest z pewnością hasłem odnowy. Krzysztof Jędrzejczak ma propozycje, by każdemu urzędnikowi dać rozkaz przeczytania książki Townsenda „Jak zdobyć szklaną górę organizacji”. Ponadto ZSMP stara się rozładować najpilniejsze potrzeby mieszkaniowe. W tym celu adaptuje były budynek biurowy przy ul. Kopernika, uzyskując w ten sposób 9

mieszkań rotacyjnych dla młodych rodzin. Na oku są jeszcze inne budynki do remontu.

Pytanie o pracę „w umysłach” powoduje namiętną dyskusję o „zawieszonych” obecnie gazetach zakładowej. To było coś. Ludzie nie kupowali pisma, żeby pakować w nie przyszłowiowe śledzie, tylko naprawdę czytali. Bo gazeta żyła sprawami zakładu, była to znakovita platforma pracy z ludźmi, tej ideowej i politycznej, i tej ekonomicznej.

NIE PATRZEĆ Z ŻABIEJ PERSPEKTYWY

W podstawowej organizacji partyjnej skupiają się wszystkie problemy. Dla partii w zakładzie jak twierdzi inż. Mikołajczyk, jest roboty po lokcie. Reforma gospodarcza i stan wojenny narzucają mnóstwo realnych problemów organizacyjnych. To jest sprawa przeprofilowania produkcji, dostosowania jej do wymagań rynku. To sprawa obniżki kosztów własnych i tysiące innych. Ale przede wszystkim jest to wielkie zadanie przeobrażenia świadomości ludzkiej. Mamy przed sobą nagłą kwestię dyscypliny i kultury pracy. Tu nie chodzi tylko o formalną dyscyplinę, chodzi o wykształcenie nawyków niemożliwych do tolerowania w warunkach reformy. O to, żeby o 7 rano ludzie stali już przy swoich warsztatach, a nie podpisali listy obecności. Bo jak tak zacząć liczyć ten czas na przebranie się, na pobranie surowca, na rozruch maszyny — straty idą w godziny, a płaci się za 8 godzin efektywnej pracy, nie za śniadanko, papieroski, itd. Nie dotyczy to jedynie tzw. ludzi z produkcji, lecz także, a może przede wszystkim, administracji wszystkich szczebli. Dlatego nasza organizacja partyjna stara się prowadzić szkolenia, wykłady pogładowe, a wszystko dla podniesienia poziomu edukacji ekonomicznej pracowników.

Reforma gospodarcza zaczyna się — zdaniem sekretarza ekonomicznego POP — w mentalności ludzi. Niestety, przeciętny pracownik nie przyswaja formalno-prawnych czy instytucjonalnych zasad reformy. Dlatego wszystko

trzeba przełożyć na język spraw bliskich i zrozumiałych. Wykazać, co zyska, co straci, jak musi pracować, by zarobić na życie. Jak zwykle, początek bywa trudny, tak i tu są hamulce. Na przykład brak jasnego układu zbiorowego plac powoduje odpływ wysokokwalifikowanych fachowców, bo gdzie indziej więcej zarabia. Partia w fabryce opracowuje raport o stanie zakładu, by uzyskać jasny plan działań na przyszłość.

Sekretarz organizacyjny POP, inż. Stanisław Głowacki, podbudowuje ekonomiczny obraz społecznymi uwarunkowaniami. Przede wszystkim trzeba zdać sprawę z sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju, bo ma ona konkretny wpływ na życie zakładu, na postawy ludzi. Członkowie partii w ELCIE (726 osób), stanowią około 19—20 proc. załogi. Półki działały związki, to w „Solidarności” było 78,5 proc. załogi, a w ZZ Metalowców około 20 proc. Liczby te obrazują punkt odniesienia dla działania partii. Każda decyzja musi być wyważona, a przede wszystkim zrozumiała w swych motywach. Każde pociągnięcie musi zakładać, jeśli nie zyskiwanie entuzjastów, to przynajmniej zmniejszenie liczby niechętnych. Każdy członek partii w zakładzie, gdzie ludzie patrzą mu na ręce, musi samym sobą udowodnić, że legitymacja partyjna to nie pancerz ochronny, lecz glejt uczciwości i prawości. Organizacja partyjna musi się przebić przez mur nieufności konkretem. To z inicjatywy partyjnej powołano komisję socjalną po ogłoszeniu stanu wojennego. W październiku 1981 roku powstała Rada Doradców Robotniczych przy dyrekcji zakładów. Wyłoniony w wyborach samorządowych organ działa nadal. Po ogłoszeniu stanu wojennego udało się uchronić samorząd ELTY przed rozwiązaniem. Dlatego ELTA nie ma problemu przywracania do życia trzeciego „S”. Załazek istnieje i pracuje, a w miarę uchylania ograniczeń będzie mógł coraz pełniej przejmować swe funkcje.

Związki zawodowe, naturalny partner dla partii, nie działają. Poza sferą wszelkiego oddziaływania organizacyjnego pozostała ogromna większość społeczeństwa. Nie jest to dla partii ani wygodna, ani celowa. Związki są partii niezbędne, jako problem skuteczności i możliwości społecznej jej programu. Bez tego luźna łatwo popaść w samowielbienie monopolisty. Co do przyszłości związków, zdania są oczywiście podzielone. Ci, co chodzą na zebrania, są na ogół przeciwni strukturze regionalnej, raczej skłaniają się ku branżowej, i przeważa pogląd, iż w zakładzie powinien działać jeden związek. Tak, ale ci, co na zebrania nie chodzą? To jest bardzo ważki polityczny problem. Coraz częściej można się spotkać z postawą wyrażającą się w opinii: po co związki w ogóle, skoro komisja socjalna i tak załatwi wszelkie sprawy socjalno-bytowe, a składka związkowa zostaje w kieszeni. Nie jest to, niestety, byliby łatwiej, przejść merkantylizmu myślenia. Gorzej, jest to zjawisko pogłębiające się apatię. Zasklepienie się w twierdzy własnego domu, rodziny, wąskiego kręgu znajomych jest ogromnie groźne dla wszelkich budowanych z takim mozołem perspektyw społecznych. Dotkliwe rozczarowanie polityką partii lat ubiegłych przesunęło ciężar nadziei społecznych w drugą stronę — do „Solidarności”. Jest prawidłem życia społecznego, że wynaturzone ekstrema z jednej strony owocują swymi kopiami po drugiej stronie. Klasyczny przypadek przysłówowego „przegięcia pały”. Bardzo wielu ludzi doznało zawrętu i po tej drugiej stronie. Między dwoma biegunami doznanych rozczarowań powiększa się, niestety, obszar apatii, bierności, zupełnego odwrótu od spraw publicznych. Może się przecież zdarzyć tak, że po wznowieniu działalności związków, ile i jakkolwiek by były, bardzo dużo ludzi nie zapisze się do żadnych. Ogranicza się więc tym samym sferą oddziaływania partii. A czy można budować realny socjalizm w oceanie obojętnych?

Właśnie kwestia kontaktu partii ze społeczeństwem najgłębiej porusza aktyw partyjny nie tylko tu, w ELCIE.

Sekretarz propagandy POP, tow. Czesław Wojtasik, dzieli się swymi doświadczeniami z rozmów na zebraniach. Wszędzie powtarza się ten sam element. Otóż partia musi mieć świadomość, że wychodzi ze swym programem do społeczeństwa w przeważającej masie bezpartyjnego. Musi więc tak formułować cele i zasady działania, by chcieli je uznać za swoje ludzie rozmaitych światopoglądów. Przykładem niech będzie projekt deklaracji ideowo-programowej. Powtarzają się zarzuty o zbytnią hasłowość, o fatalny gazetowy język, o pięknie brzmiące ogólniki. To nie może być katalog pobożnych życzeń. Chciejstwa mieliśmy już dość. Potrzebny jest konkret i jeszcze raz konkret. Tym bardziej dotkliwie odczuwają organizacje partyjne brak statutu. Jest wydrukowany w zbyt małym nakładzie, mało kto z szeregowych członków partii zna choćby pobieżnie jego treść. A właśnie rzetelna znajomość statutu może, musi być punktem wyjścia dla formułowania deklaracji ideowo-programowej. I — co podkreślają zgodnie wszyscy moi rozmówcy — nie wolno zapominać o jednym: stan wojenny stanowi dla gospodarki parasol ochronny. Dla partii także jest to ochrona przed próbą rozbięcia jej z zewnątrz. Ale jest też niepowtarzalną okazją do uładzenia się samej z sobą. Jednak stan wojenny może stać się groźną barierą dla reformowania partii i całości życia społecznego, gdyż stwarza, niestety, okazje dla zgubnego powrotu do nadmiernego centralizmu. W gospodarce obecnie obowiązuje jednoosobowe kierownictwo. W partii, na żadnym szczeblu nie może być jednoosobowego kierownictwa. I to jest cała prawda o kierunku działań partii.

Zwieńczeniem wszystkich codziennych problemów ELTY niech będzie marzenie sekretarza Głowackiego:

— Dobrze będzie wtedy, gdy ludzie nie będą się zdumiewać nad ciężką harówką działacza społecznego, w tym i partyjnego, nie nagrodzonej żadną ekstra-gratyfikacją za pełnienie funkcji społecznej.

Jeśli nie będą zadawać pytania: — po co to robisz, skoro nic z tego nie masz?

Jeśli przyjdą i pomogą.

Każda firma w dzisiejszych czasach ma kłopoty. Bardzo duże i bardzo małe. Te duże, to zwykle brak surowców, porwana kooperacja, a do tego jeszcze reforma gospodarcza i stan wojenny. I trzeba sobie radzić samemu. Te małe — to tysiące ludzkich problemów pozornie nieistotnych dla życia dużego zakładu. Mój cicerone, inż. Wojciech Mikołajczyk, przedstawia najpierw siebie. Jest pełnomocnikiem dyrektora do spraw społecznych w zakładzie. Jest także sekretarzem ekonomicznym zakładowej organizacji partyjnej. Następnie robi krótkie „wejście w temat”:

— ELTA, duży, stosunkowo nowy zakład, jak na Łódź nietypowy, bo z branży elektrotechnicznej. I jak na Łódź ma nietypową, bo w trzech czwartych męską załogę. Dużo ludzi — 3.800 osób — więc i dużo kłopotów. Poza tym sytuacja zakładu w obecnych warunkach nie jest najwesejsza. Utrach gospodarczy spowodował częściową utratę rynków, kontrahentów, przyciśnięci biedą, rezygnują z zawartych wcześniej umów, targują się o ceny produktów, słowem — jak wszędzie. W dodatku nie ma z czego robić, a żyć trzeba. Przecież nie zamknięcie się straganu i częste pieśni. Ludzie muszą mieć pracę, maszyny muszą działać, no i w końcu transformatory są i będą nadal potrzebne. Kiedyś — wspomina inż. Mikołajczyk — były piękne czasy. Chętni bili się o produkcję ELTY, zamówienia przerażały możliwości zakładu, brakowało magazynów dla gotowych wyrobów, trwała hossa inwestycyjna. Były też plany, że wspomnę tylko praktyczne ubezwłasnowolnienie fabryki we wpływie na jej własne losy. Co, gdzie, kiedy i za ile inwestować — te decyzje zapadały het, wysoko, i ani było się kłócić, ani odkręcać zakrecone. Ale, poza tym, maszerowało się do przodu. Potem przyszedł regres i firma została sama ze swymi kłopotami. Ktoś gdzieś powiedział, że reforma gospodarcza w naszych warunkach oznacza nie trzy „S”, lecz cztery „S”. To czwarte oznacza samotność, choć niezupełnie. Zjednoczenie MEGAT, do którego przynależy ELTA, nie zdążyło się rozwinąć, a już się zmilitaryzowało (jak i cały resort górnictwa i energetyki). I teoretycznie wszystko jest, jak było. Toteż mamy sytuację cokolwiek niejasną. Z jednej strony instytucjonalne założenia reformy, z samodzielnością i samofinansowaniem, chwilowo bez samorządności, bez jasnej struktury cen i nowoczesności układu zbiorowego plac. Z drugiej — trwająca zależność decyzyjna od zjednoczenia przy jednoczesnym osamotnieniu w załatwianiu elementarnych spraw produkcyjnych.

W TAKIEJ SYTUACJI TRZEBA SIĘ TRZYMAĆ ŻYCIA

Robić to, co można i to, co potrzebne. Stąd Jolanta ELTA wzięła się za bardzo pożyteczną renowację akumulatorów tramwajowych dla łódzkiego MPK. Zwykła rzecz — potrzeba małą wynalazków. Nie znaczy to jednak, że zakład przechodzi przez wszystkie zakrety zupełnie bezproblemowo.

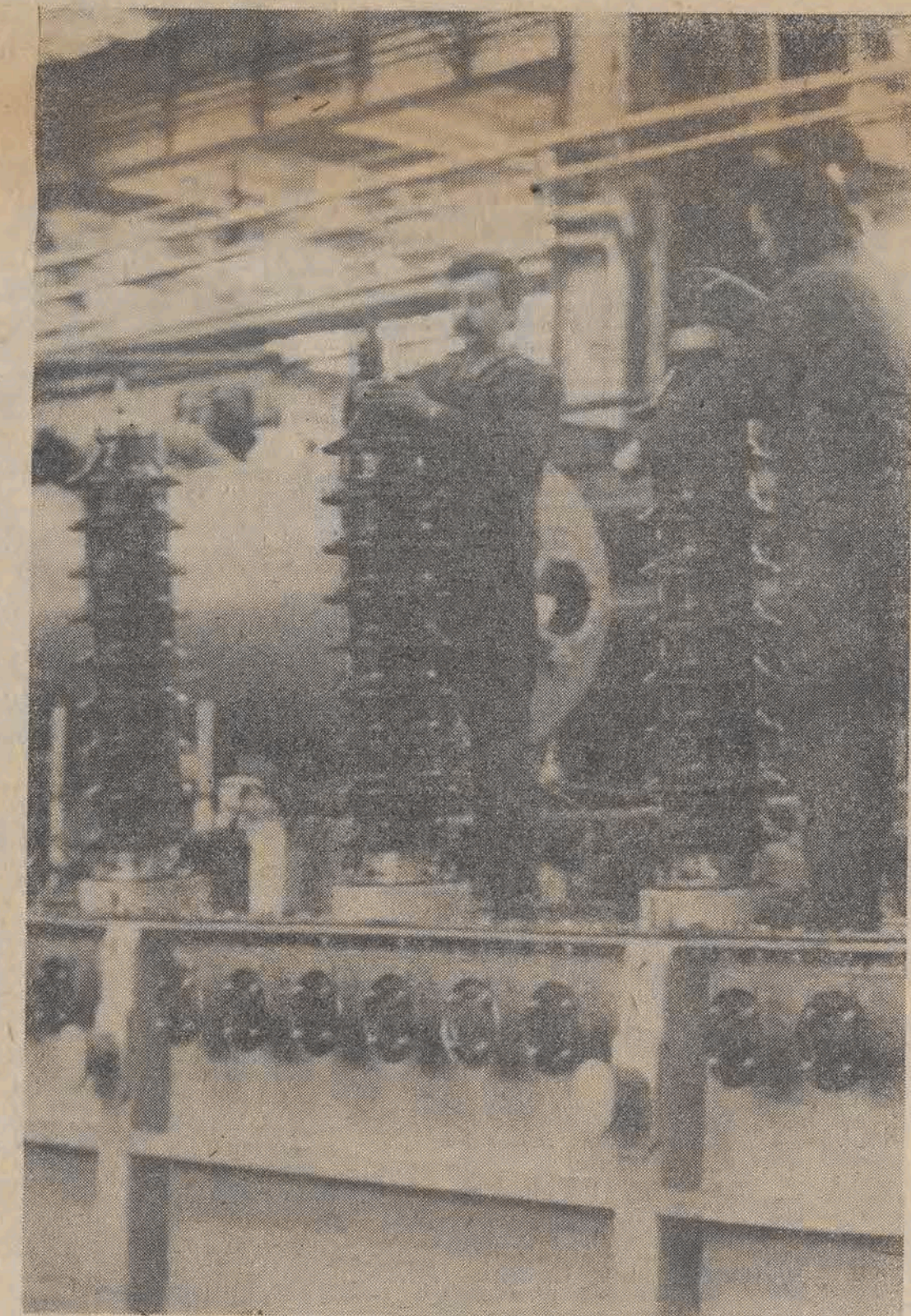
Inż. Mikołajczyk proponuje „rozpoznanie terenu” w piramidce. Będzie to trasa od codziennych kłopotów do syntezy sytuacji społecznej i gospodarczej w ELCIE.

Na posiedzeniu komisji socjalnej jest samo życie. Tu nie ma żadnych „izmów”, są natomiast najbardziej prozaiczne, a przecież najważniejsze ludzkie kłopoty. Szefowa komisji, pani Maria Malachowska, bez zbędnych wstępów przechodzi do sedna. Porządek obrad także, co znamienne, ustawiony jest od konkretnego do spraw ogólnych. Najpierw lista osób zwracających się o bezzwrotną pożyczkę jednorazową. Początek listy ciężkich, czasem gorzkich problemów: emryt „ze starego portfela”, były pracownik ELTY — na utrzymaniu żona rencistka, emerytura niewysoka (3.800 zł) — trzeba pomóc schorowanym, wypracowanym ludziom. Komisja zatwierdza jednogłośnie. Wszystko sprawdzone, policzone, wywiad środowiskowy zrobiony jak należy. Tu niczego nie robi się na piękne oczy, dostaje pomoc ten, kto jej naprawdę potrzebuje. Komisja skrupulatnie podlicza dochody przypadające na jednego członka rodziny (liczy się bez rekompensat, tzw. gołą pensję czy emeryturę), rozpatruje warunki mieszkaniowe, stan zdrowia. Na przykład: młody człowiek, nieuleczalnie chory, ma rentę 3.646 zł, żona zarabia 5.280, jest dwoje dzieci plus dwoje krewnych. Warunki mieszkaniowe średnie, 46 m kw. w bloku dzieli sześć osób. Komisja, po dokładnym rozpatrzeniu wszystkich okoliczności, zwiększa zapomogę z postulowanych 3 do 5 tys. złotych. Trzeba liczyć nie tylko ilość pieniędzy w tej rodzinie, ale też kosztowne leczenie i konieczność zapewnienia godziwych warunków życia choremu człowiekowi. Członkowie komisji szukają każdej możliwej drogi udzielenia pomocy, wsparcia każdego ludzkiego zmartwienia. Czasem potrzebne są nie pieniądze, lecz zwykła życzliwość, zainteresowanie cudzym losem. To nic nie kosztuje, a znaczy tak wiele. Kolejne sprawy to analiza zakładowego funduszu socjalnego za rok ubiegły. Ile i za co płacono, czy było potrzebne, czy nie za drogo, czy można było lepiej. Program wydatków w roku bieżącym także przechodzi przez gęste sito wątpliwości, mozolnego rachowania, ścierania się różnych racji. Tu trzeba zapewnić dzieciom wypoczynek, tam wesprzeć działalność rekreacyjną, ówde zorganizować wczasy i sprzęt dla pracowników. Dobrze, że nie ma polskiego „jakos to będzie”.

Posiedzenie komisji socjalnej najpełniej chyba obrazuje znaczące zjawisko. Sprawy najbardziej przyziemne, samo jądro codziennego życia, nabierają znaczenia niemalże symbolicznego. To efekt głębokiej, psychicznej potrzeby trzymania się konkretnych. Bo konkret to świadomość realnego istnienia. Dotykane sprawy, dające się zmierzyć i zważyć, stają się niezbędnym oparciem w sytuacji, gdy tak wiele zagadnień życia społecznego grozi zaplątaniem się w sprzeczności, wątpliwości, w paradoksy zgola. Wielkie problemy polityczne czy moralne, przemijają, gdy tymczasem ludzkie kłopoty trwają i wcale ich nie ubywa.

TRZYMAĆ SIĘ W GROMADZIE

Kłopotów ma także sporo zakładowa organizacja ZSMP. Na 3.800 osób załogi mają 400 członków. Dużo to czy mało? Odpowiedź jest



Montaż transformatorów o dużej pojemności w „Elcie”.

Fot.: E. Kudał

W ostatnim numerze „Odgłosów”, jaki ukazał się w roku ubiegłym, znalazł się mój artykuł pt. „Samorząd czy menager”.

Odbyte niedawno VIII Plenum KC PZPR w powziętej uchwale przywróciło tematowi samorządu aktualność i dlatego byłoby pożyteczne raz jeszcze powrócić do zasadniczej tezy tamtego artykułu, że sedno sprawy nie tkwi w tym kto ma sprawować funkcje kierownicze, bo to zostało we wspomnianej uchwale rozstrzygnięte, natomiast tkwi w tym, jak te funkcje trzeba wykonywać: czym kto powinien się zajmować, co ma robić samorząd, a co administracja jednostek prowadzących działalność przedsiębiorczą w wytwórczości, handlu i usługach?

Kiedy w 1925 roku staraniem Zrzeszenia Naukowej Organizacji Pracy, kierowanego przez prof. Karola Adamieckiego, ukazała się książka amerykańskiego inżyniera — filozofa, Harringtona Emersona pt. „Dwanaście zasad wydajności”, autor w przedmowie zwrócił się do polskich czytelników takimi oto serdecznymi słowami:

„Polska miała przeszłość pełną przeżyć i chwali, jej zagadnienia obecne są nadzwyczajne. A jaka będzie jej przyszłość? Jak obecnie ma żyć każdy Polak, aby przyszłość Polski była wielką? W jaki sposób użyje każdy Polak danych mu godzin życia? Oto jedno z najpoważniejszych zagadnień Polski”.

Odeszło już pokolenie współczesne profesorowi Adamieckiemu, które wywalczyło niepodległość i kształtowało był II Rzeczpospolitą, lecz nie wydało ono licznej gospodarczej kadry kierowniczej. Odechodzą teraz następne, które odczuło brak narodowej tradycji w sprawowaniu kierowniczych funkcji w gospodarce. Świat poszedł naprzód, gdyśmy walczyli o biologiczne przetrwanie, a później staraliśmy się odrobić dystans i stać się silni bogactwem ekonomicznym i kulturalnym. Nie dało rady. I choć żyjemy między trzema potężnymi narodami i mamy dobry przykład pod bokiem, wciąż nam czegoś brakuje. Czy brak nam pracowitości? Chyba nie. Miliony naszych wychodźców na świecie zyskało sobie miano najlepszych pracowników, wytrwałych, zaradnych i obdarzonych inteligencją. U siebie pracują źle. Dlaczego tak jest? Gdzie tkwi przyczyna naszej słabości? Czy jest to wada naszego charakteru narodowego?

„Wszystko zależy od tego czy dorównamy — napisał Edmund Osmańczyk w „Sprawach Polaków”. — Na to pytanie odpowiedź dać musi sam sobie, indywidualnie, każdy Polak pracą swego umysłu i swoich mięśni. Nikt nam nie pomoże naprawić, póki będziemy słabi. Kredyt daje się bogatym, biednym jałmużnę”.

Poznaliśmy już jak wygodnie się się na kredyt, teraz poznajemy wstyd przyjmowania jałmużny.

„Skoro walkę o pokój i wojnę wygrywa inżynier i robotnik — pisze dalej E. Osmańczyk — musimy stać się narodem inżynierów i robotników, a dla lubiących romantyczne porównania — narodem żołnierzy pracy. Inaczej nigdy nie dorównamy”.

Mamy teraz za zadanie wcielić w życie zamierzoną reformę gospodarczą. Wprowadzono już zasadę samofinansowania, postanowiono uruchomić działalność samorządów, a w przyszłości dać przedsiębiorstwom samodzielność, skoro tylko warunki, a przede wszystkim zasoby materiałowe na to pozwolą. Jak tym pokierować? Jak zastosować u nas to, co zadecydowało o sukcesach w innych krajach?

W krajach gospodarczo rozwiniętych postęp jest najważniejszym produktem i to właśnie kierownictwo zwierzchnie jest traktowane jako organ społeczności, którego głównym zadaniem jest wydajne zastosowanie środków produkcji i ono ponosi odpowiedzialność za zorganizowanie tego postępu. Nie ma samodzielności bez postępu, nie ma postępu bez perspektywicznego sposobu myślenia. Praca koncepcyjna nad rzeczywistą perspektywą na przyszłość jest ogromnie odpowiedzialnym zadaniem, lecz nie i nikt nie może kierownictwa od tego uwolnić. Jeśli polskie przedsiębiorstwa mają stać się naprawdę samodzielnymi i samorządowymi, to mające nimi kierować samorządy muszą się zająć tym, co należy do kierownictwa zwierzchniego.

Pracę samorządową zacząć będzie trzeba od przebudowania organizacji pracy kierowniczej, a zorganizować, to znaczy podzielić cały obszar pracy koncepcyjnej, przydzielić jej wynikić poszczególnym osobom z grona samorządu, uczynić je odpowiedzialnymi oraz dać im uprawnienia do posłużenia się potrzebnymi środkami, aby uzyskać wyniki. Środkami tymi mogą być utworzone komisje, mogą być także powołani doradcy. Korzystanie z fachowego doradztwa wyspecjalizowanych instytucji jest w krajach gospodarczo rozwiniętych powszechnie stosowaną praktyką. Pochodzi to stąd, że podejmowanie wszelkich istotnych czyli strategicznych decyzji wymaga głębokiej nieraz i wyspecjalizowanej wiedzy i dlatego nie mogą one być podejmowane przy zastosowaniu metod zaczerpniętych z demokratycznej praktyki parlamentarnej — to znaczy większością głosów, jakkolwiek samorząd jest instytucją na wskroś demokratyczną. Mimo tej fachowej pomocy ze strony ekspertów samorząd nie jest zwolniony od podejmowania decyzji i ponoszenia za nią odpowiedzialności. Umiejętność polega tutaj na tym, aby będący do rozwiązania problem przedstawić w pełnym oświetleniu, a technika przygotowań — na właściwym postawieniu ekspertom pytań tak, aby otrzymana odpowiedź była na zadany temat, wyczerpująca i wielostronna, określająca ryzyko poszczególnych możliwości będących rozwiązaniem zadania. Decyzja o wyborze alternatywy należeć będzie do samorządu.

Interes przedsiębiorstwa, szczególnie tego, które pracuje na potrzeby rynku, wymagać będzie ustawicznej gotowości do nieustannego dopasowywania asortymentu dóbr i usług, do porzucania produktu tracącego na dalszą metę zainteresowanie odbiorców i do przestawiania się na wyroby lub usługi, które mają technicznie lub naukowo zbadaną przyszłość. Jest to główna oś, wokół której obracać się muszą wszystkie inne sprawy, bo ona decyduje o losie przedsiębiorstwa. Trzeba, jeśli zajdzie potrzeba, aby samorząd swoim autorytetem łamał hegemonię techników, handlowców i finansistów, właśnie na tym odcinku gotowych do stawiania twardego oporu wszelkim zmianom w imię własnej wygody. To jest społeczne zadanie samorządu, aby być rzecznikiem klientów jutra, aby tworzyć politykę promocji przyszłego popytu na przyszłe wyroby i usługi swojej firmy. Henry Ford mawiał, że u niego sprzedaż rozpoczyna się już na rysownicy konstruktora. Stawia to sprzedaż pod względem koncepcyjnym na początku, a nie na końcu procesu produkcji.

Równoległe do tej najtrudniejszej części pracy koncepcyjnej samorządu, trzeba wymienić jeszcze inne dziedzinę, ściśle z tą pierwszą powiązaną, a są nimi:

- dopilnowanie osiągnięcia wysokiej produktywności, aby być zdolnym do konkurencji z innymi, w kraju i za granicą;
- prowadzenie korzystnej polityki finansowej i inwestycyjnej przez stałe analizowanie stanu interesów przedsiębiorstwa i zewnętrznych trendów rozwojowych;
- dbanie o rentowność przez stałe śledzenie poziomu kosztów i mobilizowanie rezerw;
- dbanie o kulturalne stosunki, o organizacyjną sprawność administracji, o stały rozwój umiejętności kadry kierowniczej średniego szczebla, o jej samodzielność w zakresie spraw bieżących bez absorbowania kierownictwa zwierzchniego,
- dbanie o sprawy socjalne załogi;
- zachowanie rzetelnego stosunku do interesów społeczeństwa, na rzecz którego przedsiębiorstwo działa;
- sprawowanie kontroli nad osiąganiem celów stawianych przez samorząd i sprawdzanie skuteczności własnego działania.

Powołanie samorządów w jednostkach gospodarczych jest wielkim eksperymentem polskiej reformy.

Jednym z istotnych elementów realizowania zasad reformy gospodarczej, skrótu wyrażonych w hasle trzech „S”, miała stać się likwidacja zjednoczeń — fregidno szczebla zarządzania gospodarką, które — działając w swej dotychczasowej (sprzed 1 stycznia 1982 r.) formie stałyby się nieprzebytą przeszłością na drodze zastępowania nakazowo-dyrektywnego systemu sterowania gospodarką — sposobem oddziaływania poprzez odpowiednie bodźce ekonomiczne. Zgodnie z zapowiedzią, zawartą w ustawie o przedsiębiorstwie oraz uchwałą nr 242 Rady Ministrów, zjednoczenia postawione zostały w stan likwidacji, który potrwa do końca pierwszego półrocza br.

W ich miejsce powstaną dobrowolne (w nielicznych tylko, uzasadnionych przypadkach — obligatoryjnie) zrzeszenia przedsiębiorstw, spełniające wobec swych członków — założycieli nie funkcje kierownictwa czy nadzoru, jak miało to miejsce w przypadku zjednoczeń, lecz niejako usługowe, ułatwiające realizację wspólnych celów. Jakich? — o tym zdecydować powinni tworzący zrzeszenie członkowie.

Tworzyć zrzeszenie — czy nie, w układzie terenowym, branżowym czy innym — w wielu przedsiębiorstwach moż-

no zostać powołane do życia, wyznaczono na 20 grudnia 1981 roku. Do spotkania nie doszło. Okres przerwy wykorzystany został na opracowanie nowych, udoskonalonych wersji programu, naniesienie poprawek do statutu, preliminarza, itp. Mimo to w trakcie zebrania założycielskiego nie obszedło się bez żywej dyskusji nad kilkoma kontrowersyjnymi problemami.

Jednym z nich była sprawa podejmowania decyzji i stosowania się do nich przez wszystkich członków. Przyjęto wreszcie, że będą one zapadać po głosowaniu, do którego wymagana będzie kwalifikowana — co najmniej 75 proc. — większość głosów. Może się jednak zdarzyć, że nie będzie to decyzja odpowiadająca jednemu bądź kilku przedsiębiorstwom. Co wtedy?

— Oczywiście, nie ma mowy o jakichkolwiek formach naku — mówi Jerzy Magdziarek, dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych w Łodzi, któremu powierzono funkcję prezesa Rady Zrzeszenia. — Przyjęliśmy zasadę, że zrzeszenie nie może działać przeciwko żadnemu ze swych członków. W przypadku spraw spornych, sprzeczności interesów między poszczególnymi przedsiębiorstwami, decyzje powinny zapadać po uzgodnie-

do głosu”: skonsolidowania działań, a tym samym zwiększenia możliwości uzyskiwania efektów, zarówno w formie korzyści dla własnych założeń i przedsiębiorstw, jak i o szerszym znaczeniu dla całej gospodarki. Z jednej strony bowiem pracownicy przedsiębiorstw surowców wtórnych stanowią dość liczną, około 7-tysięczną grupę ludzi — których interesy należy zabezpieczyć, z drugiej — tylko w takiej właśnie, zorganizowanej formie działania, poprzez zrzeszenie, przedstawiciele przedsiębiorstw widzą możliwość wiaściwych kontaktów i oddziaływania na władze centralne, uzyskania dla branży należnego jej miejsca w strukturze gospodarki.

Takie postawienie sprawy nie jest bynajmniej wyrazem megalomanii. Dotychczas bowiem, wbrew głośnym hasłom o ważności surowców wtórnych, przedsiębiorstwa zajmujące się ich odzyskaniem i przystosowaniem odpadów do ponownego wykorzystania traktowane były raczej po macoszemu, często zaniedbane, niedoinwestowane, przeciępiane niczym przysłowiowe piąte koło u wozu do coraz to innego resortu. Dość powiedzieć, że od czasu ich utworzenia aż trzykrotnie zmieniały swą przynależność. W efekcie — Polska zajmuje jedno z ostat-

metod, wyniki. Np. w Poznaniu, mimo wielu głosów krytycznych, nieźle funkcjonuje handel wymienny: za dostarczone do punktów skupu: makulaturę, złom i inne surowce wtórne, klient otrzymuje talon, który jest podstawą do nabycia w sklepach różnych branż poszukiwanych obecnie artykułów, których wartość uzależniona jest od ilości oddanych surowców wtórnych. Na ten cel wydzielono w sklepach odpowiednią pulę towarów.

Handel wymienny stosowany jest także w innych województwach, ale na nieco różniących się zasadach. Surowce wtórne można wymienić na inne towary tylko w punktach skupu lub własnych sklepach przedsiębiorstwa skupującego. Oferta „zamienników” jest przy takim systemie mniejsza, a tym samym stanowi słabszą zachętę dla klientów.

Próbę upowszechnienia systemu poznańskiego, a więc za surowce wtórne talon na poszukiwany towar, do zrealizowania w ogólnej sieci handlowej, podjęło także Łódzkie Okręgowe Przedsiębiorstwo Surowców Wtórnych, oferując za 10 kg makulatury lub 5 kg szmat, możliwość zakupu 1 butelki wina krajowego. Pomysł został ostro skrytykowany. Czy jednak była to krytyka w pełni uzasadniona?

Tu pozwolę sobie na dygresję. Krajowe tzw. wino nie jest z pewnością napojem zasługującym na popularyzację. Rezygnacja z jego produkcji, co postulowano już dawno, oznaczałaby jedynie korzyść społeczną. Bardzo wielu ludzi widzą w butelce „Kordialu” nie zmozbilizuje z pewnością do odwiedzenia punktu skupu z paczką starych gazet, bo po prostu takiego trunku nie pija. Niestety, nie brak i takich, dla których jest to alkohol najprędniejszą. Jeśli będzie go można zdobyć w jakikolwiek sposób, pić będą. Lepiej więc, aby nie jako przy okazji przyczynili się, oczyszczając różne zakamarki mieszkań, strychów i piwnic, do odzyskania makulatury. Związka, jeżeli alternatywa tego mają być taslecoowe kolejki, w których dochodzą do ekscesów, wymagających interwencji MO, gdy wino pojawia się w wolnej sprzedaży, lub nagabywanie przez podejrzanie wyglądających osobników klientów stoisk monopowych, rezygnujących z przydziałowego „beitu”. Nie sądzę, aby ta forma zachęty do zbierania surowców wtórnych przyczyniała się do szerzenia pijactwa, a rezygnacja z niej nie przyczyni się w najmniejszym stopniu do spadku spożycia alkoholu. Oczywiście nie można w ten sposób trafić do dzieci i młodzieży szkolnej, która jeszcze do niedawna miała dość istotny udział w zbiorce surowców, zwłaszcza makulatury. Łódzkie przedsiębiorstwo wystąpiło do władz miasta z propozycją, aby w tym przypadku zamiennikiem były słodycze, rozprowadzane np. poprzez szkoły. Pomysł wydaje się dobry i wart zastosowania. Przy okazji proponuję rozważyć możliwość zamiany szmat, makulatury, złomu itp. na papierosy produkcyjne krajowej, co — jak wynika z mini-sondy, którą przeprowadziłam wśród znajomych palaczy zachęciłoby do takiego pożytecznego zbieractwa wielu ludzi, dla których wino atrakcją nie jest.

Metody popularyzacji odzyskiwania surowców wtórnych mogą być oczywiście różne — nie powinny ograniczać się jedynie do handlu wymiennego. Wydaje się jednak, że ów trzeci z zasadniczych celów nowego zrzeszenia, stwarzający szerokie pole do popisu, będzie jednocześnie najtrudniejszy do realizacji, wymagający długoletnich wysiłków. Jak prędko uda się osiągnąć efekty, wynikające z realizacji pozostałych dwóch — na razie trudno określić. Jakkolwiek termin Zrzeszenie powołano przecież zaledwie kilka tygodni temu, nie są jeszcze zakończone wszystkie prace, związane z jego organizacją wewnętrzną. Przyjęte założenia pozwalają jednak — jak sądzę — żywić nadzieję, iż ta nowa forma okaże się na tyle właściwa, że pozwoli nam wydzignąć się z ostatniego miejsca, jakie w dziedzinie odzyskania i wykorzystania surowców wtórnych zajmujemy i zbliżyć do krajów pod tym względem przodujących. A nie chodzi tu przecież o współzawodnictwo, lecz o istotny, wymierny w złotych, efekt gospodarczy.

niu stanowisk między zainteresowanymi stronami, nie musi zajmować się tym Radą Zrzeszenia. Przynależność do tej organizacji jest przecież w naszym przypadku dobrowolna i nie może ograniczać podstawowej zasady samodzielności przedsiębiorstw.

Drugim, żywo dyskutowanym punktem, było ustalenie, w jaki sposób pokrywane będą koszty utrzymania zrzeszenia, które, nie prowadząc własnej działalności gospodarczej, nie będzie mogło samo uzyskać środków na ten cel. Propozycja równego udziału w kosztach nie została przyjęta, gdyż ona bowiem w przedsiębiorstwach mniejszych, o najniższym obrocie. Ustalono więc, że połowę kosztów rozdzieli się równo na wszystkich członków, pozostałe 50 proc. natomiast pokrywać będą przedsiębiorstwa według klucza, zależnie od wielkości sprzedaży. Zgodnie z przyjętym preliminarzem koszt utrzymania zrzeszenia w ciągu 8 miesięcy, do końca br., nie może przekroczyć 6 mln zł, nie jest to więc wysokość obciążająca nadmiernie fundusze członków. W biurze zrzeszenia pracować ma 27 osób, przy czym, jak twierdzi J. Magdziarek, ustalenie to przyjęło nieco „na wyrost”, podczas gdy w likwidowanym obecnie zjednoczeniu zatrudniano 90 pracowników. Czy część z nich znajdzie pracę w nowej jednostce? Na to pytanie trudno jeszcze odpowiedzieć. Ponieważ uczestnicy spotkania i w tej sprawie wyrażali odmienne i skrajne opinie, wybrano wyjście. Jak się wydaje, najlepsze: dyrektor, któremu powierzono obowiązek zorganizowania biura, może dobrać sobie współpracowników według własnych kryteriów. Następnie przedstawi ich listę Radzie Zrzeszenia.

Obecnie sytuacja jest więc taka: zrzeszenie istnieje, posiada statut, określający ramy jego działania, trwa organizacja biura. Po co jednak powstała ta nowa forma organizacyjna, czego oczekują i jakie cele stawiają sobie jego członkowie, jakie czynniki zdecydowały, że swój akces do zrzeszenia zgłosiły dobrowolnie wszystkie przedsiębiorstwa tej branży?

Wydaje się, że w sposób istotny zaważyła tu chęć większego niż dotychczas „dojścia

niech miejsce w Europie pod względem odzyskania i wykorzystania surowców wtórnych, pozostając daleko w tyle nie tylko za przodującą pod tym względem NRD. Do takiego stanu rzeczy przyczynił się nie tylko stosunek poszczególnych, kolejno zajmujących się przedsiębiorstwami resortów, lecz także powszechny brak gospodarczości — zarówno w zakładach pracy jak i indywidualnych gospodarstwach rodzinnych. Dobrze działające, przedsiębiorstwa będą miały jednak większe niż dotychczas możliwości, aby tę sytuację zmienić.

Trudno, oczywiście, oczekiwać, że zrzeszenie dokona tego w krótkim czasie, jednak podkreślić trzeba, że stało się to jednym z zasadniczych celów nowej instytucji.

Cel drugi — to prowadzenie wspólnej działalności gospodarczej, zwłaszcza w dziedzinie inwestycji. Posłużmy się przykładem. W 1977 roku zapadła decyzja o wybudowaniu w Łodzi, kosztem 90 mln zł, pralni i szarpani tkanin wraz z oddziałem przygotowawczym. Roboty przerwało w 1979 roku. Niektórych rodzajów szmat nie skupuje się do tej pory, nie ma bowiem możliwości ich przerobienia. Dokończenie inwestycji — według aktualnych cen — kosztowałoby około 400 mln zł, jest więc praktycznie niemożliwe dla jednego przedsiębiorstwa. Największe z nich, Łódzkie, przy planowanym zysku 30 mln zł w roku bieżącym, około 15 lat musiałoby zbierać na ten cel kapitały. Wspólnymi siłami inwestycyjnymi udało się zrealizować znacznie szybciej.

Wspólna działalność gospodarcza obejmować będzie nie tylko inwestycje, lecz także m.in. wewnętrzne zaopatrzenie w surowce, wspólne prowadzenie ogólnokrajowych zbiórek itp. akcji.

I wreszcie trzeci z podstawowych celów zrzeszenia — to popularyzacja różnych form odzysku surowców wtórnych, wymiana doświadczeń i poglądów w tej dziedzinie. Dotychczas bowiem każde z przedsiębiorstw podejmowało różne próby, zmierzające do zwiększenia zainteresowania mieszkańców sprawą gromadzenia i oddawania do punktów skupu surowców wtórnych, osiągając niekiedy bardzo dobre, skłaniające do upowszechnienia tych

TERESA JERZYKOWSKA

Czy zrzeszenie pomoże w skupie makulatury?

liwości takie rozważano już kilka miesięcy temu. Trwały rozmowy między przedstawicielami zakładów podległych jednemu bądź różnym zjednoczeniom. W wielu przypadkach prace, zmierzające do utworzenia tej nowej instytucji były dość daleko zaawansowane, niekiedy istniały nawet projekty statutu przyszłych zrzeszeń.

Ogłoszenie stanu wojennego i zawieszenie działalności samorządów w sposób istotny przyczyniło się do ich zahamowania. W miejsce zjednoczeń — aby nie dopuścić do powstania luki, którą mogłaby powstać — i niewątpliwie by powstała po ich likwidacji, utworzona została formuła przejściowa, wyłącznie na okres stanu wojennego. Powołano pełnomocników do spraw wyodrębnionych układów produkcyjnych lub branżowych. Czy i w jakim stopniu ich działalność przyczyniła się do ułatwienia wdrożenia zasad reformy w zakładach, na ile jest ona podobna do metod pracy, stosowanych uprzednio w zjednoczeniach, w jakim stopniu natomiast zbliżają się do form, jakie obowiązywać powinny — zdaniem zakładów — w przyszłych zrzeszeniach, to temat do oddzielnych rozważań. Z pewnością jednak fakt ich powołania także przyczynił się do odsunięcia działań zmierzających do ukonstytuowania się zrzeszeń na plan nieco dalszy. Jednak pod koniec marca, gdy przedsiębiorstwa przyzwyczaiły się nieco do działania w nadzwyczajnych warunkach, a sytuacja w nich ulegała względnej stabilizacji, temat powrócił. W kraju powstało kilka zrzeszeń, pojawiają się informacje o utworzeniu kolejnych.

Pierwszym, jakie w okresie trwania stanu wojennego powstało w województwie łódzkim, a jednocześnie jednym z pierwszych w kraju jest Zrzeszenie Przedsiębiorstw Surowców Wtórnych w Łodzi utworzone 6 kwietnia br. W skład nowej instytucji weszło 15 Okręgowych Przedsiębiorstw Surowców Wtórnych (wszystkie działające na terenie kraju) oraz branżowe biuro projektów.

Podobnie jak w wielu innych branżach, prace nad utworzeniem zrzeszenia były i tu daleko zaawansowane jeszcze w roku ubiegłym. Termin spotkania przedstawicieli przed-

Dokończenie ze strony 1

więc sąsiedzi nie chcą korzystać za darmo. Poza tym wynajęłam brygadę fachowców, słono zapłaciłam, otworzyłam stołówkę, ale za to poszło dość szybko. Tylko że połowę roboty musiałem wykonać sam. Parę razy oślepiło mnie przy spawaniu. Jak w tartaku ciałem, kloce na podciąganiu do stodoły, złamało mi nogę. Urlopu ani chorobowego nie dostałem, a wynajętym ludziom trzeba było płacić. Sześć miesięcy w gipsie, siódmy jeszcze o kulach. O jednej nodze nawiozłem piasku, gruzu, cementu, zalałem fundamenty. W gipsie rozsiałem siewnikiem zbożowym nawozy i obstałem ziarnem całe pole. Wysłałem o umorzenie podatku. Odpowiedziano, że jak się staram o odszkodowanie w ZUS, to nie będzie ulgi w podatku. Ale co tam moja noga. Zeby chociaż asfalt złożyli do Bychlewa...

Do szkoły w Bychlewie aż trzy kilometry, a u Baranów trzy córki. Czarnookie, ciemnowłose, podobne do matki. Dziewięcioletnia Magda i siedmioletnia Agata jeżdżą na rowerach, ale gdy zawieje śniegiem, to pieszo. W domu jedzą obiady, odrabiają lekcje, czytają lub oglądają telewizję, potem idą spać, bo trzeba wstać o szóstej rano.

— Jeszcze skrobiemy brukiew dla krów, żeby nie było psaku i sprzątam mieszkanie.

— Ja składam umytą dojarke.

— A ja zakładam dojarke na cycki!

— Na kolonie nie jeżdżymy. Pomagamy przy sianie.

— A Dorota ma cztery lata i hoduje świnki morskie. Mama to chciała kiedyś do miasta, ale teraz już nie. My wszystkie chcemy zostać na wsi.

Matka mówi, że będzie z tego piekło, bo jak wyjdą za map, ojciec musi postawić blok. A on jeszcze się nie dorobił. Kupił konia, ponieważ głównie ma sprzęt konny. Owszem, zdobył ciągnik z kasacji, taki na popych, więc po dziesięciu latach otrzymał nowy, pierwszy w sołectwie. Tylko, że ani do tego pluga, ani bronę.

— Tak już jest — mówi Baran — że w jeden dzień są żaby do kultywatora, a na drugi nie ma, bo ktoś wziął hurtem. Parnik, grabiarke, rozsiewacz, bezkole można dostać w GS. Reszta sprzętu w Łodzi. Chłop nie wie, kiedy tam co jest, a urzędniczy nie wiedzą, co chłopu potrzebne. Chłop staje się turystą. A u takiego Kurzelaka ziemia odzoga, on za codziennie zbiera plon i „Poldrob” przywozi mu paszę do domu.

— Kto to jest Kurzelak?

— Drobniarz.

— Oni teraz leżą.

— Raczej stoją, z braku paszy. Zdążyli się dorobić. A kredyty państwo umorzy, bo zobowiązało się dostarczać paszę.

— Nie wiem, czy wojskowi powinni wyręczać urzędników, którzy biorą pieniądze za to, żeby im chłop nie śmierdział gnojem i żeby go solidnie obsłużyli. Byłoby śmieszne, gdyby wojsko zajmowało się każdym bykiem...

— To żart?

— Plakacik się chce. Rolnik zawoził na skup kontraktowanego byka, jurnego, z kółkiem w nosie. Byk waży 720 kilogramów, więc z taką wagą i z jądrami na eksport nie pójdzie. Chłop musi go zabrać, wykastrować, trzymać przez półtora miesiąca wtedy wezma, chociaż waga ta sama. Byk żyje przez ten czas darmo. Ile by było z tego chleba?...

Jeszcze w zeszłym roku chłopci narzekali, że w urzędzie święte bułki, a na wsi chleb gorszy, albo że świnią świeżutką w zagrodzie, a wraca jako zzieleniała kiełbasa. Kto miał kilo mięsa na kartce, wymienił na cukier. Teraz nie ma kartek, jest po sąsiedzku rąbanka. A chleb kupuje się w mieście. Andrzej Baran zaczął wybudować piec. Sabina Baranowa odgrażała się, że jeśli nie chleb, to przynajmniej placek upieczony w Wigilię, choćby nawet skórka odstawała tak, że kot wlezie. Mała stoł do dźm. Zabrakło drożdży. Była tradycja Wigilia, już w nowym domu, potem pastarka i oplatek dla krów, ale bydłaka nie przemówiły w ową noc świętą. Andrzej Baran tylko raz się zdenerwował, jak urzędnik gminny ostrzegł, że jeśli chłopci nie zawiozą na skup płodów rolnych, to przyjadą ludzie z miasta i sami zabiorą. Baran wtedy powiedział, że nie ma co straszyć. Po czym spytał, czy państwo po takim masowym akcie miłosierdzia odbuduje hodowlę i postawi na nogi rolnictwo i urzędnik się wycofał.

Sabina Baranowa martwiła się względem urzędnika nowego mieszkania. Na szczęście mała poza specjalizacją hodowała trochę świń i na drodze sprzedaży związanej można było nabyć trochę mebli oraz pralkę automatyczną. Firanek do dziś nie ma w oknach. Ani łazienki, ani centralnego ogrzewania, ale jest woda, to dużo, chociaż dziesiątki litrów miska studzi się w studni.

— W „Domusie” przy zapisach na meble byłam tysiąc dwieście czwarta. Poniżej pięćsetki miałam sto czterdzieści meldować. Taki los rolniczy z tzw. młodego małżeństwa. W domu handlowym były wywieszki, że sprzęt dla rolników i młodych małżeństw z miasta. Potem te „MM” zamazano. A czy młodzi z miasta nie chcą się meblować?

— Za to u was co miesiąc chrzciny.

— Jak krowa jest po terminie i nie może się wycielić, to przez kilka nocy się nie spi, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże! Raz, pod koniec nocy, przyjechał weterynarz, ale tylko z gumowa rękawicą. Poród ciężki, trzeba było ściągać narzędzia z lecznicy i robić cesarskie cięcie. Pokroili krowę, pozszywali, nie mogła się wygoić, złaowiała i poszła pod nóż...

Paradoks polega na tym, że w gminie utworzono pierścień mleczny i zlikwidowano nocne dyżury w pabianickiej lecznicy. Trzy gminy obsługuje w nocy lecznica w Rzgowie, przy czym lekarz dowiaduje się o wezwaniu na poczcie. Już w stanie wojennym dokonano pewnego ułatwienia, bo do godziny 20 można wzywać weterynarza w Pabianicach.

A. Baran zaopatrył się nieźle w nawozy, sporo kupił jęstnia po starych cenach. Opal też ma, a ostatnio przydzielono mu snopowiazalkę oraz, przypadkowo, przyczepę samozbiierającą do siana. Wolalby rozrzasać do obornika, ale na to trzeba by sprzedać konia. A tu najpierw trochę wiosny w marcu, później na polach zrobiło się szaro, ale traktorem nie wjedzie, bo grząsko, chociaż początek maja.

— Urodził się pod dostatkiem, panie Andrzeju?

— Gdyby chłop był taki głupi i niewykształcony, jak kiedyś byłaby bieda. Jak chłop ma spokój i środki produkcji zbiera dobre plony.

— Czy znajdzie pan dziś naśladowców?

— Kiedy wszystko się uspokoi, gdy zabraknie miejsca w fabrykach, będą wracać na swoje. I będą kalkulować, kombinować, co zrobić, żeby litr mleka za 19 zł zarobił na litr ropy za 25 zł do traktora. Przy obecnych cenach usług i środków produkcji trzeba liczyć na samowystarczalność. Można się utrzymać na 5 ha, obrabić pole swoim konikiem i rękami rodziny. Będą wracać, przestaną kupować żywność w mieście.

Andrzej Baran zbiera z posadzki resztkę nawozu, sypie do rozrzućnika typu „Kos”, zaprzęga konia i jedzie sian na swoim polu, nie czekając na przyściecie cieplejszej wiosny. Od dziesięciu lat buduje swój warsztat pracy po to, żeby dzieciom żyło się lepiej, żeby inni mieli co jeść. I dlatego wieczorem zaprowadził jeszcze na pole psa, by odstraszał te cholerne dziki, bo nic nie może się zmarnować.

na poprzez udział naukowych nauczycieli akademickich i studentów we wszelkiego rodzaju akcjach zdrowotnych, w szkołach, domach opieki i wsiach. Wspomniałem już o opiece nad dziećmi chorymi na cukrzycę. A z najwęższych działań, warto wspomnieć o akcji przedsięwziętej wspólnie z Łódzką Akademią Medyczną, a polegającą na przebadaniu profilaktycznym studentów wyższych uczelni w naszym mieście.

— Czy kontakty Wojskowej Akademii Medycznej ograniczają się jedynie do Łodzi, jako określonej aglomeracji, czy też wasza współpraca rozciąga się na całą Polskę?

— Ależ tak, to rozumie się samo przez się. Np. Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej, które posiada nowoczesną aparaturę laboratoryjną (automaty analityczne) około 40 proc. badań wykonuje dla cywilnej służby zdrowia dzielnicy Warszawy, Pragi. Albo inny przykład: Wojskowy Instytut Medycyny Morskiej podjął zobowiązanie przebadania pod względem antropometrycznym uczestników Pałacu Młodzieży w Gdyni.

— A teraz pytanie natury ogólnej: czy każdy, kto chce może podjąć studia w Wojskowej Akademii Medycznej?

— Poza ogólnymi merytorycznymi warunkami, które obowiązują i w cywilnych akademiach, kandydat musi mieć dobre zdrowie oraz podstawową sprawność fizyczną. Bo jest to męska twarda szkoła. Szkoła życia. Kształcimy przecież oficerów zawodowych i tu kryteria psychofizyczne są niezwykle istotne.

Kłopotów z rekrutacją nie mamy. Z kandydatami do Wojskowej Akademii Medycznej prowadzimy rozmowy indywidualne, służące zbadaniu stan motywacji wyboru zawodu oficera-lekarza. Dla części młodzieży służba zawodowa w wojsku przekracza ich dyspozycje psychofizyczne. Dla tych, którzy zostają przyjęci, stwarzamy tu dobre warunki: mieszkanie (pokoje 2-osobowe), wyżywienie, umundurowanie, zaopatrzenie w podręczniki. Student Wojskowej Akademii Medycznej ma zapewnione wszelkie warunki harmonijnego rozwoju, tzn. możliwość wyzycia się naukowego, kulturalnego i sportowego. Wreszcie nie musi się martwić o miejsce przyszłej pracy.

— Panie Rektorze, czy nie mógłby Pan na zakończenie naszej rozmowy powiedzieć jak z perspektywy czasu sprawdzi się w praktyce stosowany w Akademii system edukacyjny?

— Poruszył Pan bardzo istotne zagadnienie — rzeczywista funkcja uczelni wyższej. Od wielu lat prowadzimy w tej materii wielokierunkowe badania weryfikujące; podsumujemy je w następnym roku z okazji 25-lecia Akademii.

Z dotychczasowych ocen wynika, że Akademia spełnia dobrze powierzoną jej funkcję przygotowania kadr dla wojskowej służby zdrowia. Zdecydowana większość absolwentów prezentuje wysokie kwalifikacje medyczne i wojskowo-medyczne oraz czynną postawę ideową i społeczną. Wielu z nich jak p. dr med. Andrzej Kaliwoska, p. dr med. Kazimierz Wydrowski, p. dr med. Jerzy Grejbus, p. dr med. Konrad Murawski i in. zajmują już odpowiedzialne stanowiska w instytucjach organizacyjnych i leczniczych Sił Zbrojnych, zaś wielu innych, jak p. prof. dr hab. med. Henryk Tchórzewski, p. dr hab. med. Hieronim Bartel (aktualny Dziekan Wydziału Lekarskiego), p. dr hab. med. Andrzej Denys, p. dr hab. med. Henryk Hübner, p. dr hab. med. Józef Kedziara, p. dr hab. med. Jan Niedzworek, p. dr hab. med. Stefan Szram, p. dr hab. med. Lech Walaśek, p. dr hab. med. Bronisław Zaehara i in. osiągnęli wysokie szczeble rozwoju zawodowego w placówkach dydaktycznych i naukowych wojska.

Ramy wywiadu nie pozwalają na szerokie potraktowanie pytania. Każdy absolwent wnosi dodatkowe wartości, wzbogacając dorobek Wojskowej Akademii Medycznej. Wyrażam przekonanie, że wykrzystując życie dla Akademii i własny tygodnik, wrócimy do interesujących problemów.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

RYSZARD BINKOWSKI

nych czasopiśmie naukowych. W obszarze działalności naukowo-badawczej Wojskowa Akademia Medyczna jest ściśle związana z innymi placówkami naukowymi w kraju, a przede wszystkim m. Łodzi. Prowadzimy szeroką współpracę oraz wymianę usług nie tylko w zakresie badań specjalizowanych ale także aparatury.

Oczywiście wszystkie nasze badania są udośćniane na ogólnych zasadach, tj. poprzez publikacje. Pracownicy naszej Akademii publikują rocznie w czasopiśmie krajowych i zagranicznych 300 do 400 prac naukowych. Poza tym rozporządzamy wynikami swoich badań uczestnicząc w wielu kongresach, sympozjach i konferencjach naukowych w kraju i za granicą. Wszystko to świadczy o dużej otwartości działalności naukowej w Wojskowej Akademii Medycznej.

— A jak przedstawia się współpraca placówek leczniczych wojskowych z cywilnymi?

— Zaczniemy od podstawo-

nik. Nadto pewna liczba katedr pozostaje poza instytucjami. Tak to wygląda, jeśli chodzi o strukturę, przy czym są to w większości odpowiedniki tego typu placówek istniejących w akademiach medycznych cywilnych. Dodatkowo dochodzi Instytut obejmujący dyscyplinę wojskowo-medyczną oraz Instytut medycyny morskiej.

Objęgowy jest pogląd, że nie ma dobrej dydaktyki bez wspierającej ją działalności naukowo-badawczej. Dlatego przywiązujemy wielkie znaczenie do tej działalności.

Jest zrozumiałe, iż w znacznej części program naukowo-badawczy Akademii dotyczy potrzeb wojska. Ale w niemałym wcale zakresie obejmują prace na rzecz gospodarki narodowej. Np. Wojskowa Akademia Medyczna bierze udział w rozwiązywaniu szeregu zadań wynikających z programów węzłowych, jest koordynatorem medycznej grupy tematycznej w podproblemie PAN, dotyczącym zagadnień ekologicznych w Belchatowskim Okręgu Przemysłowym,

Nie jesteśmy hermetyczni

Rozmowa z plk. prof. zw. dr hab. nauk medycznych Władysławem Tkaczewskim rektorem Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. Bolesława Szareckiego



Foto: M. Zajdler

a w ramach współpracy od wielu lat prowadzi podobne badania ekologiczne na terenie Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych w Plocku. Poza tym Wojskowa Akademia Medyczna legitymuje się długoletnią współpracą ze Zrzeszeniem Przemysłu Farmaceutycznego „Polfa”, dla którego wykonuje przedkliniczne i kliniczne badania leków. Pracownicy nauki Wojskowej Akademii Medycznej są członkami wielu komitetów i komisji Polskiej Akademii Nauk, członkami rad naukowych instytutów resortowych i uczelnianych, zarządów głównych i oddziałów lekarzy w skład zespołów redakcyj-

nych zespołów redakcyjnych. Nadto pewna liczba katedr pozostaje poza instytucjami. Tak to wygląda, jeśli chodzi o strukturę, przy czym są to w większości odpowiedniki tego typu placówek istniejących w akademiach medycznych cywilnych. Dodatkowo dochodzi Instytut obejmujący dyscyplinę wojskowo-medyczną oraz Instytut medycyny morskiej. Objęgowy jest pogląd, że nie ma dobrej dydaktyki bez wspierającej ją działalności naukowo-badawczej. Dlatego przywiązujemy wielkie znaczenie do tej działalności. Jest zrozumiałe, iż w znacznej części program naukowo-badawczy Akademii dotyczy potrzeb wojska. Ale w niemałym wcale zakresie obejmują prace na rzecz gospodarki narodowej. Np. Wojskowa Akademia Medyczna bierze udział w rozwiązywaniu szeregu zadań wynikających z programów węzłowych, jest koordynatorem medycznej grupy tematycznej w podproblemie PAN, dotyczącym zagadnień ekologicznych w Belchatowskim Okręgu Przemysłowym,

— Wiadomo, że wojskowa służba zdrowia posiada własne placówki naukowe. Czy mógłby Pan Rektor powiedzieć parę słów o ich strukturze, a także o tym, czy wyniki ich badań naukowych są przekazywane społecznej służbie zdrowia?

— Nigdy nie byliśmy hermetycznie zamknięci. Nie jesteśmy odizolowani od społeczeństwa. Dotyczy to wszystkich obszarów naszego działania, z dydaktyką włącznie. Ostatnio wspólnie z J. M. Rektorem Akademii Medycznej w Łodzi, profesorem Leszkiem Woźniakiem zaplanowaliśmy szereg wspólnych przedsięwzięć typu dydaktycznego: a więc wykłady fakultatywne, wydawanie skryptów itp. Godzi się przy tym przypomnieć, że nasi studenci kształcą się na farmaceutów i stomatologów pobierają część swej podstawowej nauki w placówkach Akademii Medycznej w Łodzi.

— Teraz co do placówek naukowo-badawczych. Wojskowa Akademia Medyczna, podobnie jak inne akademie medyczne w kraju, zorganizowana jest w instytuty, które mieszczą w sobie kilka zakładów lub kli-

la przeciętnego Polaka Wojskowa Akademia Medyczna to przede wszystkim wyższa uczelnia przygotowująca lekarzy dla potrzeb sił zbrojnych. Czy to jest cała prawda?

— Jest to prawda bezsporna, ale niepełna. Owszem, przygotowujemy dla wojska nowoczesną kadre medyczną. Przez nowoczesną rozumiem nie tylko wyposażoną we współczesną wiedzę oraz umiejętności zawodowe, ale i ukształtowaną według określonych cech osobowych. Prawda polega więc i na tym, że Wojskowa Akademia Medyczna, podobnie jak inne wyższe uczelnie medyczne w kraju, spełnia trojakiemu rodzaju funkcje: dydaktyczno-wychowawczą, naukowo-badawczą i leczniczo-usługową. Tak więc zakres działania Wojskowej Akademii Medycznej daleko wykracza poza te, wspomnianą przez Pana, funkcję kształcenia kadr.

— Istnieje powszechne przekonanie, które sam także wyniosłem z rodzinnego domu, że lekarz wojskowy jest lepszym lekarzem od swego kolegi będącego w cywilu. Skąd się wzięło takie przekonanie i czy jest w nim zawarta prawda?

— Pytanie samo w sobie jest trudne, gdyż zmusza do wartościowania, przeciwstawiania i porównywania, a każde porównanie, szczególnie w tym konkretnym przypadku, może być powierzchowne i tym samym niesprawiedliwe.

Jeśli są różnice, to sprawa zależy od systemu kształcenia. Nasz absolwent wynosi pewne walory, wynikające z natury organizacyjnej wojska, takie jak systematyczność, umiejętność działania zespołowego, solidność w działaniu, odpowiedzialność. Poza tym na postawie lekarza wojskowego oddziałują oprócz zasad etyki lekarskiej również zasady etyki żołniersza zawodowego. Dużą rolę odgrywa także panująca w instytucjach wojskowych dyscyplina pracy. Porządek, ład i dobra organizacja pracy pacjentom się podobają. Być może właśnie to sprawia, że w społeczeństwie jest tak pozytywna opinia o lekarzach wojskowych. Osobiście wolalibyśmy nie przeciwstawiać jednych lekarzy drugim.

— A czy to nie łączy się z organizacją studiów? Przecież obok spraw zbieżnych, istnieje cały szereg elementów właściwych wyłącznie dla Wojskowej Akademii Medycznej.

— Z całą pewnością tak. Nasz słuchacz jest poddany programowanemu działaniu wychowawczemu, co ułatwia fakt przebywania w warunkach internatowych. Zakres działania wychowawczego jest bardzo szeroki, m. in. przygotowujemy swoich wychowanków do pracy społecznej poprzez wdrażanie ich do zadań opiekuńczych i pomocy na rzecz ludności: podchorążowie Wojskowej Akademii Medycznej sprawują funkcje kuratorów sądów dla nieletnich, pracują w komitetach opiekuńczych, prowadzą badania w szkołach, domach starców i przedszkolach, współorganizują obozy zdrowotne dla dzieci chorych; do tradycji należą obozy dla dzieci chorych na cukrzycę organizowane wspólnie z Chorągwią Ziemi Łódzkiej ZHP. Jest tych działań wiele, ale przez to, że są one masowe, że biorą w nich udział bez mała wszyscy — wytwarza się u naszych absolwentów owe poczucie i nawyk społecznikostwa. Ale to jedynie część ogólnego systemu wychowania w Wojskowej Akademii Medycznej.

— Wiadomo, że wojskowa służba zdrowia posiada własne placówki naukowe. Czy mógłby Pan Rektor powiedzieć parę słów o ich strukturze, a także o tym, czy wyniki ich badań naukowych są przekazywane społecznej służbie zdrowia?

— Nigdy nie byliśmy hermetycznie zamknięci. Nie jesteśmy odizolowani od społeczeństwa. Dotyczy to wszystkich obszarów naszego działania, z dydaktyką włącznie. Ostatnio wspólnie z J. M. Rektorem Akademii Medycznej w Łodzi, profesorem Leszkiem Woźniakiem zaplanowaliśmy szereg wspólnych przedsięwzięć typu dydaktycznego: a więc wykłady fakultatywne, wydawanie skryptów itp. Godzi się przy tym przypomnieć, że nasi studenci kształcą się na farmaceutów i stomatologów pobierają część swej podstawowej nauki w placówkach Akademii Medycznej w Łodzi.

— Teraz co do placówek naukowo-badawczych. Wojskowa Akademia Medyczna, podobnie jak inne akademie medyczne w kraju, zorganizowana jest w instytuty, które mieszczą w sobie kilka zakładów lub kli-

— Wiadomo, że wojskowa służba zdrowia posiada własne placówki naukowe. Czy mógłby Pan Rektor powiedzieć parę słów o ich strukturze, a także o tym, czy wyniki ich badań naukowych są przekazywane społecznej służbie zdrowia?

— Nigdy nie byliśmy hermetycznie zamknięci. Nie jesteśmy odizolowani od społeczeństwa. Dotyczy to wszystkich obszarów naszego działania, z dydaktyką włącznie. Ostatnio wspólnie z J. M. Rektorem Akademii Medycznej w Łodzi, profesorem Leszkiem Woźniakiem zaplanowaliśmy szereg wspólnych przedsięwzięć typu dydaktycznego: a więc wykłady fakultatywne, wydawanie skryptów itp. Godzi się przy tym przypomnieć, że nasi studenci kształcą się na farmaceutów i stomatologów pobierają część swej podstawowej nauki w placówkach Akademii Medycznej w Łodzi.

— Teraz co do placówek naukowo-badawczych. Wojskowa Akademia Medyczna, podobnie jak inne akademie medyczne w kraju, zorganizowana jest w instytuty, które mieszczą w sobie kilka zakładów lub kli-

— Wiadomo, że wojskowa służba zdrowia posiada własne placówki naukowe. Czy mógłby Pan Rektor powiedzieć parę słów o ich strukturze, a także o tym, czy wyniki ich badań naukowych są przekazywane społecznej służbie zdrowia?

— Nigdy nie byliśmy hermetycznie zamknięci. Nie jesteśmy odizolowani od społeczeństwa. Dotyczy to wszystkich obszarów naszego działania, z dydaktyką włącznie. Ostatnio wspólnie z J. M. Rektorem Akademii Medycznej w Łodzi, profesorem Leszkiem Woźniakiem zaplanowaliśmy szereg wspólnych przedsięwzięć typu dydaktycznego: a więc wykłady fakultatywne, wydawanie skryptów itp. Godzi się przy tym przypomnieć, że nasi studenci kształcą się na farmaceutów i stomatologów pobierają część swej podstawowej nauki w placówkach Akademii Medycznej w Łodzi.

— Teraz co do placówek naukowo-badawczych. Wojskowa Akademia Medyczna, podobnie jak inne akademie medyczne w kraju, zorganizowana jest w instytuty, które mieszczą w sobie kilka zakładów lub kli-

— Wiadomo, że wojskowa służba zdrowia posiada własne placówki naukowe. Czy mógłby Pan Rektor powiedzieć parę słów o ich strukturze, a także o tym, czy wyniki ich badań naukowych są przekazywane społecznej służbie zdrowia?

— Nigdy nie byliśmy hermetycznie zamknięci. Nie jesteśmy odizolowani od społeczeństwa. Dotyczy to wszystkich obszarów naszego działania, z dydaktyką włącznie. Ostatnio wspólnie z J. M. Rektorem Akademii Medycznej w Łodzi, profesorem Leszkiem Woźniakiem zaplanowaliśmy szereg wspólnych przedsięwzięć typu dydaktycznego: a więc wykłady fakultatywne, wydawanie skryptów itp. Godzi się przy tym przypomnieć, że nasi studenci kształcą się na farmaceutów i stomatologów pobierają część swej podstawowej nauki w placówkach Akademii Medycznej w Łodzi.

— Teraz co do placówek naukowo-badawczych. Wojskowa Akademia Medyczna, podobnie jak inne akademie medyczne w kraju, zorganizowana jest w instytuty, które mieszczą w sobie kilka zakładów lub kli-

W warszawskiej galerii MDM zorganizowano obszerną ekspozycję prac Janiny i Edwarda Habbasów. Łódzcy plastycy pokazali warszawskiej publiczności około 70 obrazów, które powstały w ostatnich latach. W Warszawie znane są również wcześniejsze prace Habbasów, szczególnie Edwarda, prezentowane na wystawach grafiki, malarstwa, a także na ostatecznych targach sztuki. W 1972 r. Edward Habbas miał pierwszą w Warszawie wystawę indywidualną. Równoległe z wystawą warszawską czynna jest wystawa malarstwa Edwarda Habbasa w Łodzi, w Salonie Sztuki Współczesnej.

Znany, nieżyjący już łódzki malarz i grafik, Wacław Kondek, którego rysunki prezentowane są często na naszych łamach, jest autorem linorytów i linografów wystawianych w Dzielnicowym Domu Kultury na Widzewie. Ekspozycja nosi tytuł „Madonny”, komisarzem wystawy jest żona nieżyjącego artysty, Maria Kondek.

W Krakowie, w galerii Mały Rynek, została otwarta wystawa grafik japońskich ze zbiorów Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie. Ekspozycja gromadzi niemal 30 prac kilkunastu autorów. Wiele z prezentowanych grafik to prace nagrodzone na Biennale.

Interesującą wystawę obejrzyć można w Skierniewicach. Galeria Biura Wystaw Artystycznych w tym mieście przygotowała wystawę prac Cezarego Zyborskiego. Artysta zaprezentował na niej obrazy będące owocem jego podróży do Skandynawii. Ciekawe i niebanalne rysunki i obrazy warte są obejrzenia i chwili zadumy.

Kronika kulturalna

Wystawę tkanin Cecylii Siótkowskiej przygotował Ośrodek Propagandy Sztuki.

Kolejną interesującą wystawę obejrzyć można w otwartej niedawno galerii „Pałac”, Plotkowska 262. Prace swoje, grafiki i malarstwo, wystawia tam młody, kaliski artysta, Krzysztof Hubert Marks.

Za kilka dni w Cannes odbędzie się ogromna impreza telewizyjna (MIP — TV 82). Bierze w niej udział 107 państw, w tym nasz kraj. Polska kinematografia i telewizja przedstawiają na canneńskich targach kilkadziesiąt tytułów, m. in. zaprezentujemy tam „Dyrygenta” i „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy, „Constans” Krzysztofa Zanussi, „Zmory” Marcjusza Marcjuskiego, „Najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy”, „Królową Bonę”, „Wahadelko” i „Metę”.

Opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza „Bilek”, wydane po śmierci pisarza, już uzyskało kształt filmowy. Stanisław Pieniak jest autorem 50-minutowego filmu fabularnego, opartego o ten utwór.

Dom Kultury „Energetyk” przygotowuje program kabaretowy, który wystawiany będzie 18 i 19 maja. Program nosi tytuł „Taki mały życia cyrk”. Scenariusz oparty na tekstach A. Słonimskiego, J. Tuwima, J. Abramowa, J. Pietrzaka napisał Andrzej Czerny. Występować będą aktorzy Teatr im. S. Jaracza: Barbara Marszałek, Andrzej Herder, Stanisław Jaskółka i Marek Kołczkowski. Aktorem akompaniować będzie Andrzej Zyllis.

Reprezentacyjny wrocławski zespół Pieśni i Tańca „Poltex” przy ZPB im. J. Marchlewskiego w tym roku obchodzić będzie dwudziestą rocznicę swojego istnienia. Z tej okazji zespół przygotowuje wiele imprez. I tak, już w połowie czerwca w Teatrze Muzycznym w Łodzi odbędzie się 2-godzinny koncert, w którym zespół zaprezentuje swój bogaty dorobek artystyczny.

W austriackiej Akademii Nauk wręczono już siedem tegorocznych nagród im. Gottfrieda Herdera. Jednym z laureatów jest polski pisarz, Jan Józef Szczepański. Jednocześnie na wniosek laureata, zgodnie z obowiązującym regulaminem, stypendium dla młodego reprezentanta nauki lub kultury danego kraju teje fundacji przyznano Tomaszowi Fijałkowskiemu z Krakowa. Janowi Józefowi Szczepańskiemu nagrodę wręczył rektor Uniwersytetu Wiedeńskiego, prof. Richard G. Plaschka.

18 maja otwarta została w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki wystawa prac Izabeli Kulczyckiej-Jankowskiej „Aktorski portret satyryczny”. Na ekspozycję składa się 40 sylwetek najpopularniejszych polskich aktorów. Organizatorem wystawy jest Towarzystwo Kultury Teatralnej przy Współpracy Biura Wystaw Artystycznych i Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki.

W domu Technika NOT Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i Okręg Łódzki Ligi Morskiej zorganizowały wystawę konkursową malarstwa „marynistycznego” artystów amatorów. Wystawa nosi tytuł „Oby zawsze było piękne i spokojne”.

Od 22—28 maja w Bielsku-Białej odbywać się będzie Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych. Tegoroczny Festiwal jest dziesiątym z kolei i odbywać się będzie pod hasłem „Teatr lalek — teatrem kultur narodowych”. Przyjazd swój na festiwal zapowiedziało około 30 teatrów lalkowych z 17 krajów m.in. z ZSRR, Węgier, Jugosławii, CSRS, a także Japonii, Francji, Hiszpanii, USA, Szwecji, i Anglii. Swoją rolę potwierdziło 6 teatrów polskich.

Festiwalowi, jak każde zwyczaj, towarzyszyć będą liczne imprezy uzupełniające: wystawy, warsztaty lalkarskie studentów i instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego.

Imprezy festiwalowe będą tancerzami uroczystościami jubileuszowymi gospodarza Festiwalu 35-lecie istnienia obchodzić będzie Państwowy Teatr Lalek „Baniałuka”. Jubilat przygotował z tej okazji dwie premiery adresowane do starszej młodzieży i osób dorosłych. Są to „Harnasie” Karola Szymanowskiego i „Śmierć Tintagilesa” Mauricego Maeterlincka. „Harnasie” reżyserować będzie Jan Dorman, natomiast „Śmierć Tintagilesa” — Jerzy Zitzman. W ramach imprez towarzyszących jubileuszowi ogłoszono dla młodych widzów konkursy na rysunek i pisaną wypowiedź na temat „Baniałuki” i prezentowanych przez nią przedstawień.

Przy okazji warto parę słów napisać o samym Teatrze „Baniałuka”. W ciągu swojego istnienia wystawił 142 premiery i ponad 1550 przedstawień, obejrzało je około 4 mln widzów. Z „Baniałuka” związane są nazwiska wielu wybitnych twórców takich jak: Gustaw Morcinek, Władysław Bochenek, Witold Lutosławski, Krzysztof Penderecki, czy Wojciech Kilar. Teatr występował także za granicą, zdobywając tam obok grona entuzjastów i niewątpliwie sympatii wiele nagród i wyróżnień.

Jerzy Waleńczyk

Prezes I

Oto Nowy Prezes
Nie gorszy od Poety,
Umie chodzić,
Absorbują go sprawy,
Absorbują go sala, oklaskująca jego wybór,
Sączy oklaski, głosy,
Idee fruują nad krzesłem,
Idee Nowego Ładu,
Nowego porządku strofy, wiersza,
To jasne, że jest kryzys porównań,
To jasne, że jest kryzys energii,
Prezes o to zadba,
Jak Syberia zadbała o gaz syberyjski dla Europy.
Nie krygujcie się mieszczanie,
Nie krygujcie się, nie czarujcie nas,
Swoim bukiem, swoim łachem.
Gaz syberyjski idzie polem, lasem,
Idzie przez tereny, obszary,
Umowy, ustawy, zarządzenia,
Referaty o celowości działania,
Prezes pije szklankę herbaty niemieckiej, zasłania się,
Są to Krauter aus Balkan, a także Krauter aus Sudan,
Znaczą się egzotyki.
Prezes dba o zdrowie nasze, o styczeń,
Ze Styksem.
Res Sacra Miser,
Bieda jest rzeczą ludzką,
Kozakiewicz przeskoczył tyczką bardzo wysoko,
Czy prezes przeskoczył płot
Swoich marzeń,
Płot urzędu?
Res Sacra Miser,
Prezes załatwi, uzgodni, podtrzyma na duchu,
Jakkolwiek o jego talentach nie było słuchu,

Prezes II

(fragment)

Jestem Prezesem, znaczy się Veni, Vidi, Vici,
Na stacji Nicolaiana, co?
Na Widzewie, armie szły Attyli, Wodza Hunnów
Reaktywujemy związek, podnieśliśmy na duchu,
Twórców a także metafizyków i nierealnych,
Bo dokucza nam nie tylko rym banalny,
A także zbyt powierzchowne ujmowanie spraw.
Prezes nie jest narodów Paw.
Nie jest Papugą z rogu Kościuszki i Przejazd,
Kosztowała osiemset złotych ta papuga.

Kwaśna jak cytryna
Jest pogoda dzisiejsza,
Taka pogoda czy nadaje się do wiersza?
(...)
Będą na wiosnę kwiaty jak świece,
Na krzakach przy szynach kolejowych, to ci heca.
Białe kwiaty, a myśli, jakie myśli czarne,
Mija życie Przyjaciele, czy nie mija na marnie?

Akwarium

Akwarium tego dawno nie widziałem,
Mieszkańskiego,
To rybki miały taką salę,
Gdzie się bawiły i piływały.

Gdzie wodorosty naśladować,
Dżungle dalekie, egzotyczne,
Mają jakoweś dane styczne
Na barwach zmiennych królując.

To nic, że jakaś rybka mała,
Zmienia kierunek, aby jaśnieć,
To nic, że jakaś chleba skibka,
Przeżrocze barw tu zdraźnie.

Zmienność kierunku, gdy piywają,
Niewielkie rybki, jest ich siła,
Jak gdyby zmieniał bieg swój zajac —
Akwarium takie mi się śniło.

Nie, Sen to życia, tu gdzie Łódź,
Gdzie siedłem od Zimowskiego,
Skrecając do Kolegi,
Ze szkoły. Nuć mi, nuć.

O tym Akwarium kto jest kto,
O czerwonych ryb refleksach.
Tu bawelniana grzmi Łódź,
Lepszy, u kogo pełniejsza kiesa.

Mecenas patrzy na Akwarium,
Jak gdyby mógł przewidzieć przyszły czas,
Jakby to było Planetarium.
Tu, pośród glonów.

Gdzie reklama,
Akwarium zielenieje,
Jakaż mizerna rybka sama,
Byłaby, spojrzysz, jak cień wieje.

Odgarnia Wode, Linie prosta,
Wahania jakieś pozostawia,
Bo wśród Akwarium wodorostów,
Jakaż byłaby rybek sprawa?

Jak gdyby Ostrzegawczy Dzwon,
Na Atlantyku,
Gdzieś u Wybrzeży Argentyny,
Łodzi Podwodnych Pion.

Te Panie, które noszą,
Ozdobne kapelusze,
Są jak rybki, dlatego,
Mam od nich miłość wymuszać?

Świat jest wielką
KSIĘGĄ, a przeby-
wanie na nim, zdoby-
wanie doświadczeń,
rozpoznawanie go —
to jakby lekcja kolej-
nych stron pełnych tajemnic
i chaosu. Im bardziej pisarz zbli-
ży się do Świata, tym bliższy
stanie się Księdze, im bardziej
pisarstwa doświadczy,
tym łatwiej pojmie własną nie-
doskonałość, niestosowność
swoich prób wobec Wszech-
Księgi.

Pojęcie Księgi nie ma w tym
przypadku nic wspólnego z Bi-
blią, ani z jakimkolwiek słowem
pisanym, wtyczonym międ-
zy okładki. Zbliża się raczej
do naszkicowanego zaledwie
pomysłu Mallarmégo, wierzą-
cego głęboko, iż się wo stać
się może ekwiwalentem by-
tu. Z podobną wiarą mamy
do czynienia w twórczości Bernar-
da Sztajnera. Wiara owa
jest tak silna, iż skłania Sztaj-
nera do tak zwanej biologicz-
nej koncepcji literatury, co nie
posiada niczego wspólnego z
naturalizmem, a świadczyć ma
jedynie, iż pisarz, prawdziwy,

no pełnią bytu, jak i zupełnym
tego bytu brakiem” (s. 533).
Tak oto zostaje zdeterminowa-
ny sposób istnienia bohaterów
przypowieści: nie są oni pewni
rzeczywistości swego bytu. To
w ich imieniu Wuj-Kapitan wy-
głasza znamienne deklaracje:
„Ba, nie jestem pewien nawet
tego, czy ja istnieję i w jakim
stopniu istnieję, nie wiem tak-
że, w jakim stopniu nie istnie-
ję” (s. 533). Balansują więc
bohaterowie „Księgi Czasu” na
graniczy Istnienia-Nieistnienia,
odbywają swoistą podróż do
kresu nocy — niemal dosłow-
nie, bo nieokreślona wyobraź-
nia narratora umieszcza ich w
pewnym momencie na żagłow-
cu, przypominającym statek-
widmo. Tak więc Sztajnerowi
Argonauci Bytu płyną po ko-
lejne Ziote Runo, którym ma
być współczesny jakiś lapis
philosopharum, poznana w
drodze konfrontacji i porząd-
kowania Naczelna Zasada Bytu.
Rejs trwa jednak długo,
wystarczająco długo, by żałoga
zapomniała, skąd wypłynęła i
dokąd płynie — w końcu wszy-
stkim staje się obojętne, skąd,

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Puer aeternus

rasowy, tworzy całym sobą; w
każdym jego ruchu, geście, gry-
masie wyraża się literatura,
wkracza ona tak silnie w co-
dzienną egzystencję, że podpo-
rządkowuje ją niemal całkowi-
cie fikcji i wyobrażeniom. Jest
to koncepcja desperacka, z gó-
ry skazana na zatracone (któż
bowiem rzeczywiście wierzy,
że życie da się okiełznać przy
pomocy literatury?), ale Sztaj-
ner — zwolennik maksymy
„contra spem spero” — może
sobie na ten luksus pozwolić.

Tym bardziej, że wszystkie
jego dotychczasowe pisarskie
sprawy posiadają wyraźnie
studyjny charakter. Sztajner
opowiada po prostu historię
człowieka, który zastąpił w po-
stawie ucznia, terminatora, a
który powiódł był szalony za-
miar opisanie i zrozumienia
świata. Pełen pokory wobec
tak niecodziennego przedsię-
wzięcia (pokory, za którą jak-
że często skrywa się autoiro-
nia) coraz dosadniej utwierdza
się w pewności, iż nie uda mu
się wyjść poza status termi-
natora, iż pozostanie wiecznym
dzieckiem, dla którego sprawy
„dorosłego” świata są albo ta-
jemnicze, albo niezrozumiałe,
albo zwyczajnie śmieszne. Dla-
tego też w twórczości Bernar-
da Sztajnera okres dzieciń-
stwa odgrywa tak istotną rolę.

Twórczość ta — jakkolwiek
monotematyczna — dzieli się
dość wyraźnie na dwie grupy
utworów. Pierwsza obejmuje
„Przygodę Brunona Bundera”
(to jest „Narodziny Brunona
Bundera”, „Ulicę Wilczą” oraz
„Grupa Pięciu”) i „Historię
ucznia”; druga „Księgę zda-
rzeń”, „Księgę Ojca” i „Księ-
gę Czasu”. Ukazały się wlas-
nie pod wspólną okładką i pod
tytułem „Trzy Księgi”.

„Księga zdarzeń” była próbą
„geometryzacji” świata przed-
stawionego, nakreślenia pew-
nej biografii przy pomocy
„punktów”, „linii”, „kół” i
„brył”, wychycenia związków
rzeczywistości i wyobraźni, by-
ła próbą nie tyle ułaskawienia,
co objaskawienia świata. Gdy
to się nie udało, stworzył
Sztajner w „Księdze Ojca” włas-
ny system teoriiopoznawczy, ale
i on zawiodł. Dał tedy bardziej
wstrzemięźliwą — przypowieść
o niebezpieczeństwach czyhają-
cych na wieczne dziecko. I do
niej, do „Księgi Czasu”, ogra-
niczył się w tym miejscu, jako
iż ta część tryptyku ukazuje
się po raz pierwszy (o pozosta-
łych „Księgach” pisałem przy
innej okazji).

dokąd i na czym płyną. Wy-
mowna to alegoria.

Król Czasu jest bez wątpli-
nia samozwańcem. Choć bardzo
się stara — czasu przydać nie
może. W jednostkowych przy-
padkach poszerza czas o czas
minionych dawno epok, przy-
wołuje Przeszłość. Z bólem
serca przyznaje, iż nawet owg
intelektualne wydłużanie cza-
su nie potrafi zmienić jakości
ludzkiej egzystencji. Boleje nad
tym tak intensywnie, że nie-
omal ulega metamorfozie: z
Króla Czasu staje się jakby
Aniołem Zalu. Przewrotny bo-
wiem racjonalizm „Jego Kró-
lewskiej Mości” podszty jest
bez reszty emocjami. Czyż moż-
e być zresztą inaczej, skoro
na tronie zasiada wieczne dzie-
cko? I tylko dziecko może na
nim zasiadać, bo dla dziecka czas
nie istnieje, zastępuje go nie-
skończoność, bezmiar, nieokre-
śloność. Kto wie, czy nie w
tym tkwi skłonność do rela-
tywizmu. W jednym tylko
przypadku relatywizm nie
wchodzi w grę — gdy mowa
o jedzeniu. Wzięź, lecz treści-
ciwe, opisy „godnego jada”,
„pilnej roboty zuchw, języka i
podniebienia”. ekspozycja kon-
kret i przypominają spojrzenie
naturalistów.

„Księgę Czasu” różni od po-
zostałych „Ksiąg” często poja-
wiający się ton profetyczny.
Przywoływanie biblijnych pro-
roków i biblijna tonacja cały-
ch fragmentów Sztajnerowej
Księgi nadaje jej, uroczyście,
wieszcy charakter. Rola pro-
roka spełnia stary, prawie śle-
py, wynędzniały człowiek, gło-
nący w czasie okupacji od nie-
mieckiej kuli. Im podległa
egzystencja — tym silniejsza
wiara i nadzieja, im trudniej-
szy los — tym mocniejsza chęć
jego odmiany. Tylko bowiem
przez ły dostrzec można to,
czego suche oczy nigdy nie zo-
baczą: byt „pełny, bogaty, pię-
kny i dobry”, „poznanie i po-
siadanie nieskończenie szczęśli-
we”. I tylko w smutku snuć
można wspaniałe wizje.

Nad Czasem zapanować nie
sposób. Następuje więc detro-
nizacja. Brutalna, bezlitosna.
A wtedy pojawia się już tyl-
ko chęć utrwalenia tego, co
było — zapamiętania postaci
Matki, Ojca, Siostry i tych
wszystkich, których istnienie
dziecięca pamięć skrzętnie ewi-
dencjonowała. Tak ich oglą-
dałem — powiada w zakoń-
czeniu narracji — a Oni trwa-
li w czasie, który zawiązał mi
moim oglądzinom”. Owej prze-
tworzonej pamięci zawdzięcza
wiele (jeśli nie wszystko) pi-
sarstwo Bernarda Sztajnera,
utrwalające potężną porcję cza-
su epoki minionej. Tak więc
przy pomocy pióra autor „Księ-
gi Czasu” stara się uchronić od
runięcia w grzy sę potężne
ongis imperium. I chyba mu
się to uda, jeśli — jak narra-
tor jego powieści — pozosta-
nie „wiecznym dzieckiem”.

B Sztajner. Trzy Księgi. Wy-
dawnictwo Łódzkie, Łódź 1981. s.
554, nakład 19.680-1.320 egz., cena
zł 60.—

Dokończenie ze strony 1

jej specyfice, a po drugie to trzy miesiąca leżały blisko siebie, co pogodziło nie-ko komplikacje i trudności wynikające z braku odpowiedniego budynku.

Po trzech latach pracy szkoły baletowej w owych warunkach tymczasowych i zastępczych przeniesiono ją do budynku mieszczącego się przy ul. Żeromskiego 10. Gospodarzem i głównym lokatorem tego budynku jest Liceum Sztuk Plastycznych i działające na jego bazie pomaturalne Liceum Technik Teatralnych. Najmłodsze dziecko polskiego szkolnictwa baletowego, Łódzka Szkoła Baletowa także i tutaj jest jedynie sublokator. Uczniowie tej szkoły uczą się tu przedmiotów ogólnokształcących, a zajęcia baletowe nadal odbywają w Teatrze Wielkim. Ktoś mógłby nawet powiedzieć, iż to dobrze, że zawodu tancerza uczą się w teatralnym gmachu, ale nikt nie powiedziałby tego wiedząc, iż sale baletowe Łódzka szkoła ma tutaj do swej dyspozycji tylko wtedy, gdy nie odbywają się w nich próby gospodarzy, którzy z oczywistych względów mają pierwszeństwo. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że przy ul. Żeromskiego 10 mieściła się kiedyś szkoła podstawowa i dzieci nadal mogą się uczyć w tym gmachu. To prawda, ale Szkoła Baletowej udośćpiono tu tylko kilka pomieszczeń i w chwili obecnej jej sytuacja w tym budynku, wygląda tak, iż nie ma ona tu-

rażny i nader odczuwalny sposób zachwycie jego ciągłości. Dla znacznej liczby nauczycieli zabraknie godzin do pełnego ich wymiaru. Należy liczyć się z możliwością odpływu kadry nauczycielskiej. Nauczycielom przedmiotów ogólnokształcących, pracującym w tej szkole trudno jest uzupełniać etat godzinami lekcyjnymi w jakiegokolwiek innej. Ich lekcje odbywać się mogą w ściśle określonych godzinach, wymiennie z tymi nauczycielami, którzy prowadzą zajęcia baletowe. Ci ostatni to w większości tancerze Teatru Wielkiego, a ich działalność dydaktyczna może się odbywać wyłącznie w czasie wolnym od zajęć w teatrze. Brak w zespole szkoły dwu kolejnych klas zamkniętych przed jej uczniami możliwość powtórzenia roku, co przecież może okazać się konieczne. Powtórzyć klasę będzie można już tylko w „zwykłej” szkole, a to może być nakazem rezygnacji z wybranego zawodu.

Od kilku już lat władze naszego miasta obojętnie Szkołę Baletowej daleko idącą pomoc w rozwiązaniu jej kłopotów. Jak dotąd jednak pomoc ta zbyt daleko nie zaszła. A przecież zarówno dzieci, jak i nauczyciele pracują w tej szkole bardzo ciężko. Efekty tej pracy mogliśmy już podziwiać w kilku przedstawieniach Teatru Wielkiego. Uczniowie Szkoły Baletowej prezentowali swoje umiejętności w cieszącej się niezwykłym powodzeniem „Królowie Śnieżce” i w uroklivym „Dziadku do orzechów”. Po tych prezentacjach dotychczasowych osiągnięć szkoły, wszyscy chyba przekonali się, że warto jej pomóc, warto w nią zainwestować.

Bezdomne dziecko Terpsychory

taj ani jednej pracowni przedmiotowej, nie ma biblioteki, nie ma miejsca, w którym można by przechowywać niezbędne pomoce naukowe. Wygospodarowano co prawda dwie sale baletowe, ale są one tak małe, że zbiorowe układy choreograficzne ćwiczy się tu „na części”. Zmęczona i spoczęła po lekcjach tańca dzieci nie mają się gdzie umyć, bo nie ma tu nawet natrysku, toalety mieszczą się w zimnej o każdej porze roku suterenie, a z kranów leci zupełnie zimna woda.

Fakt, iż Szkoła Baletowa nie ma takiej siedziby, w której mogłaby odbywać wszystkie swoje zajęcia przez siedem lat jej istnienia czyni działalność tej placówki oświatowo-artystycznej niezwykle trudną, i kto wie, czy nie zbliża się pora, by dać wyraz niepokojowi o to czy stale piętrzące się kłopoty nie uczynią dalszej pracy zupełnie niemożliwą.

Zapał kadry pedagogicznej, jej gotowość do poświęceń, oraz szczerzy i prawdziwy entuzjazm uczniów, ich głębokie umiłowanie wybranego zawodu i chęć poznania wszystkich jego tajników, trzymająca przy życiu Łódzka Szkoła Baletowa. Ale kapitał serdecznych uczuć nie jest niewyczerpany, zwłaszcza, iż piętrzące się trudności nie tylko komplikują proces dydaktyczny, ale wręcz uniemożliwiają jego pełną realizację. I tak np. ćwiczenie „na części” układów choreograficznych sprawia, że uczeń miast w czterdziestu pięciu minutach lekcji, uczestniczyć czynnie jedynie w piętnastu, brak pracowni przedmiotowych nie pozwala na pełną realizację programu zajęć ogólnokształcących, niemożność korzystania z niewielkiej biblioteki ogranicza zasób wiedzy ucznia i zakres jego lektur. Fakt, że dzieci pieszo bądź zatłoczonym tramwajem muszą bez względu na pogodę, w krótkim czasie pokonać odległość między gmachem przy ul. Żeromskiego a Teatrem Wielkim, gdzie odbywają większość zajęć baletowych, by z lekcji tańca klasycznego zdążyć na klasówkę z matematyki, a z lekcji geografii zdążyć na lekcję tańca charakterystycznego, narzuca je na poważne niebezpieczeństwo. Szkoła nie dysponuje własnym transportem, a dużym grupom wędrujących dzieci towarzyszyć może zwykle jeden tylko nauczyciel.

W tym roku, podobnie jak w poprzednim, szkoła nie ogłosi naboru do klasy pierwszaj. Nie ma gdzie pomieścić sześciu klas już uczących się w jej murach. No cóż, powiecie państwo, problem przestanie istnieć, albo przynajmniej złagodnieje. Dyrektor Szkoły Baletowej Maria Fudała i jej zastępczyni do spraw artystycznych — Anna Gawel przekonały mnie, że wbrew pozorom sytuacja zaostrzy się jeszcze bardziej. Brak dwu kolejnych klas spowoduje znaczną lukę w procesie dydaktycznym, w wy-

Jeśli nie uczynimy tego w porę (a wybiła właśnie ostatni dzwonek) skutek naszej wspólnej obojętności i braku zrozumienia może okazać się taki, że kształceni w złych warunkach tancerze — absolwenci Łódzkiej szkoły — odbiegają swoją kondycją i poziomem artystycznym od swych kolegów z Warszawy, Poznania, Gdańska i Bytomia, zle namzemu miastu wystawiając tym samym świadectwo.

Niesprawiedliwością byłoby twierdzić, że nie się wokół Łódzkiej Szkoły Baletowej nie dzieje. Wszystko jednak toczy się zbyt wolno, w sposób odbierający wszelką nadzieję i gaszący resztki entuzjazmu. Na potwierdzenie przytoczę fakty z dziejów szkoły najświeższe. Oto otrzymała ona wreszcie (po siedmiu latach) duży budynek przy ulicy Wrocławskiej, budynek, z którego niedawno wyprowadziła się „podstawówka”. Budynek ten wymaga jednak poważnych przeróbek. Konieczność ich dokonania dyktuje specyfika szkoły. Dla jej sprawnego funkcjonowania są one niezbędne. Trudności materiałowe i inne „przyczyny obiektywne” sprawy, iż tzw. umowę przedwstępną inwestor zastępczy, czyli Dyrekcja Inwestycji Miejskich zgodziła się podpisać dopiero w listopadzie tego roku. Kiedy wykonawca, którym jest Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego — Zachód przystąpi do tego skomplikowanego remontu adaptacyjnego, o ni mniej, o ni bardziej — kiedy go zakończy — wolalabym nie pytać. Pracownicy szkoły i rodzice przyszłych tancerzy przypuszczają, iż nie stanie się to wcześniej jak za dwa lata. Tymczasem naszemu „bezdomnemu dziecku Terpsychory” przybyło dalszych kłopotów. Przejawczy od miejskich władz oświatowych budynek przy ul. Wrocławskiej musi dbać o jego bezpieczeństwo i pokrywać wszystkie bieżące koszty. Całodobowe dyżury portierów, koszty energii elektrycznej i c.o. pochłaniają znaczne kwoty.

Udręka Szkoły Baletowej w Łodzi trwa. Nic nie zapowiada jej rychłego końca. Jej problem w skali problemów kraju i miasta wydać się może niezbyt ważny, niewielki. Żaden pogląd nie mógłby być dla tej placówki bardziej krzywdzący. Ten pogląd stanie się dla niej wyrokiem. Wyrokiem niesprawiedliwym i okrutnym. Wobec dzieci, nauczycieli i rodziców. Wobec sztuki, której święto tak uroczyste obchodziliśmy niedawno, zapominając o naszym uznaniu, o szacunku dla jej twórców, o ogólnej, powszechnej sympatii, o zrozumieniu wszystkich baletowych problemów.

EWA PANKIEWICZ



Szkoła baletowa

„Olbrzymie pieniądze” czyli z czego żyje?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Autor tego materiału jest członkiem Związku Polskich Autorów i Kompozytorów Utworów Rozrywkowych ZAKR oraz Stowarzyszenia Autorów ZAIKS. Specjalizuje się w pisaniu tekstów piosenek, ma na swoim koncie liczne przeboje, jak np. „Dzień, najwyżej dwa” Czerwonych Gitar i „Taki jest świat” zespołu

Happy End, „Wszystko w jednym słowie” Renaty Danel, „Słowiańska dusza” Kazimierza Kowalskiego i inne. Jego artykuły publicystyczne ukazywały się m. in. na łamach „Kultury”, „Literatury”, „Jazzu”, „Szpilek”, „Odgłosów” i w prasie codziennej.

Właściwie miał to być list otwarty do redakcji. Ale przystępując do pisania zdałem sobie sprawę, że napisanie takiego listu niczego nie wyjaśni, ba — jeszcze bardziej całą sprawę zagmatwa, a przez nie znających sprawę może zostać zrozumiane opacznie. Aby rzucić na ten problem nieco światła list musiałby się rozrosnąć do monstrualnych rozmiarów. Z drugiej zaś strony od dłuższego czasu nosiłem się z zamiarem przygotowania materiału publicystycznego na ten temat. A ponieważ nadarzyła się okazja, spróbuję upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Może się uda.

Co stało się powodem pobudzenia moich publicystycznych zapędów po blisko rocznym milczeniu? Otóż, była nim lektura — ni mniej, ni więcej, tylko — tygodnika „Odgłosy” nr 5 (1258) z 9 maja br.; a ściślej mówiąc: przeczytana przeze mnie rzecz Adama Bienkowskiego zatytułowana „Aktorowie w podróży, czyli i estrada na trasie”. Przy czym z góry chciałbym zastrzec, że to, co teraz piszę nie stanowi polemiki, aliiś znalazłem w owym tekście coś, co spowodowało mnie do natychmiastowego przełamania na papier prawdy, na której publicznie wygłoszenie nigdy dotąd nie starczało mi czasu. I do tego czegoś niebawem powrócę.

W tzw. „branży estradowej” — z którą związany jestem od lat — panuje wzajemnego zgładzenia do cudzych kieszeni. Zresztą, gdzie tego nie ma? Tutaj jednak sprawy finansowe idą w naród na zasadzie płotki, w której sumy narastają w miarę oddalania się od źródła. Nie wiem, skąd się wzięła ta mania podliczania jednych przez drugich i w końcu nie o to chodzi, bo jest to — jak się wydaje — rzecz nie do uniknięcia. O ile jednak — w przypadku artysty estradowego, czy piosenkarza honorarium za występ, recital, trasę, jest stosunkowo łatwe do wyliczenia nawet przez laika (byle znał wysokość stawek, procenty potrąceń, rodzaje imprez itd.), o tyle w wypadku twórcy sprawa aż nadto komplikuje się.

Ważmy pod uwagę jeden konkretny koncert — wykonawcy otrzymują za niego jednorazowe wynagrodzenie. Ale przecież wykonawca — czy to solista, czy zespół — jest w pewnym sensie profesjonalnym pośrednikiem pomiędzy autorem utworu, a publicznością, pośrednikiem, który (niezależnie od wielu innych aspektów pracy na estradzie) uzdatnia dany utwór do odbioru. Trudno bowiem wyobrazić sobie, by każdy z widzów otrzymał nuty i tekst piosenki, samej się z nim zapoznawał i... to już koniec „koncertu”. W ten sposób poprzez obecność swojego utworu jego autor również bierze udział w imprezie, za co należy mu się jakaś tam gaża. Rzecz jasna, istnienie popytu na wykonawcę i przebieg jest z reguły współzależne w obu kierunkach od tych właśnie elementów.

Tak więc przedstawienie przez piosenkarza na estradzie recitalu jest czynnością jednorazową honorowaną wedle przewidzianych zarządzeniem stawek. Natomiast piosenka pozostaje — w sferze artystycznej — „dobrem wielokrotnego konsumpcyjnym”, gdyż każde jej wykonanie niezależnie od czasu (mogła być napisana wiele lat wcześniej), miejsca (piosenka nie zna przecież granic) i sposobu korzystania z niej (impreza estradowa, radio, nagranie na płycie itd.), jest czerpaniem z czyjejś twórczości obywatelskiej ochrona praw autorskich. Najprościej mówiąc, jeżeli polska piosenkarzka nagrywa mimo upływu czasu niezapomniany evergreen „Summertime”, albo ktoś na dancingu powiatowym o późnej porze zamawia w orkiestrę „Tango Milonga”, to dlaczego kompozytorzy tych utworów mają nie otrzymać należnych im pieniędzy z tytułu wykorzystania ich twórczości?

Podobnego zdania, choć miało to miejsce dwadzieścia lat temu, działo się we Francji i dotyczyło zolta innych utworów, był Pierre Augustin de Beaumarchais, autor m. in. „Cyrulika sewilskiego” i „Wesela Figara”, uroczyście za jednego z pierwszych bojuowników prawa autorskiego. Zresztą dopominanie się o tantiemy powtarzania jego komedii w teatrach zyskało mu misano pieniąca, jakich mało. Pokutujące przez wieki, powszechne przeko-

większe. W tym akurat wypadku pobierającymi tantiemy, byli sami wykonawcy, ale generalnie — bo w końcu nie każdy wykonawca jest twórcą — wskazuje to na kompozytorów i autorów, którzy za pośrednictwem ZAIKS dzielą się tymi krociowymi zyskami od każdego koncertu. Krociowymi, bo przecież, kiedy zapożyczymy, że wspomniany zespół liczył czterech członków, i że równo partycypowali oni w pobieraniu tantiem, okaże się, iż tantiemy od każdego koncertu wynosiły ni mniej, ni więcej tylko 6000 zł. Nie mając rozeznania można wyliczyć, że mogły tyle wynosić. A imprezy odbywały się trzy w ciągu dnia... I tak brnieśmy w błędzie coraz dalej licząc nie istniejące pieniądze.

Jaka jest prawda? Od każdej legalnie zorganizowanej imprezy potrąca się 4 proc. (słownie: cztery procent) z sumy ogólnych kosztów tej imprezy (suma stawek wykonawców, wynagrodzeń grupy technicznej, kosztów transportu i wynajmu sali itd.) i przelewa na konto ZAIKS dokładając do tego program ramowy koncertu, aby na podstawie repertuaru podzielić pieniądze między właściwych autorów. Przyjmijmy, że jedna impreza wspomnianego wyżej zespołu kosztowała — przy stawkach po 700 zł dla artystów — 6000 zł, to 4 proc. od tej sumy wynosi... 240 złotych polskich. A więc przy trzech imprezach dziennie i przy równym podziale tantiem pomiędzy członków ansambli zarabiali oni z ZAIKS każdego dnia 180 zł przy równoczesnym dochodzie brutto do same występy 2100 zł. Która suma jest większa?

W tym miejscu dodajmy — bo z wypowiedzi p. Hołowski znów można wysnuć pochopne wnioski — że nim kompozytor lub autor otrzyma tantiemy za wykonanie jego utworów na estradzie, miały zazwyczaj kilka miesięcy, a nie są one wypłacane od ręki po imprezie, czy za parę dni w kasie przedsiębiorstwa estradowego. Przedsiębiorstwo musi najpierw przeleć pieniądze na konto ZAIKS, tam zostaną one odpowiednio podzielone i należne dla poszczególnych autorów, wreszcie — raz na kwartał — przekazywane są na imienne konta członków stowarzyszenia lub innych osób korzystających z ochrony praw autorskich.

A teraz wróćmy raz jeszcze do wcześniejszego wyliczenia tantiem zespołu, o którym była mowa. Z każdego koncertu — jak roboczo przyjąłem — 240 zł wchodzi do ZAIKS. Przyjmijmy, że jestem autorem tekstu jednej z wykonywanych tam piosenek. Zazwyczaj piosenka trwa w granicach 3-4 minut, a zatem w recitalu trwającym półtorę godziny mieści się ich około 25. Dla ułatwienia przyjąć można, że jest ich 30, i panie w ZAIKS dziela owe 240 zł równo pomiędzy te trzydziestkę. Na każdą piosenkę przypada zatem 8 złotych, a ponieważ jest to piosenka — muszę podzielić się tą sumą z kompozytorem. Dla mnie pozostaje więc złotych 4. Ale jest to jeszcze wpływ brutto, bowiem ZAIKS, aby być organizacją samowystarczalną finansowo, musi potrącić mi kieszonkę inkaasa wynoszącą około 20-30 procent. Pozostaje mi zatem około 3 złotych polskich, jeśli nie bawię się w odliczanie od tej sumy składek członkowskich, podatku i składek na fundusz socjalny.

Oczywiście, obliczenia powyższe były bardzo uproszczone, ale w zasadniczych kwestiach są one prawdziwe. Uproszczenia wzięły się z chęci w miarę jasnego wytłumaczenia czytelnikom, jak płaci się twórcom — w tym wypadku twórcom piosenek, bo to temat mi najbliższy. Jak widać, są to rzeczywiście „dużo więcej niż olbrzymie pieniądze”.

A przecież trzeba by było poruszyć tutaj także sprawę płynności, niestalości dochodów z tego rodzaju twórczości. Zresztą bywały sytuacje, w których cała „branża estradowa” naple przestała zarabiac. Taka sytuacja było choćby wprowadzenie w naszym kraju stanu wojennego, które spowodowało trwające do dziś zmiany i ograniczenia działalności artystów estradowych w sferze zainkultury. W tym momencie twórcy — autorzy i kompozytorzy. Ale o tym — może już następnym razem.

JACEK BINKOWSKI

Marek Kotanski — psycholog, twórca głoskowskiej metody leczenia narkomanii znów przybył do Łodzi. Spotkanie z grupą pedagogów szkolnych w MDK poprzedzone zostało projekcją amerykańskiego filmu z lat sześćdziesiątych — „Narkomani”. Film robi wrażenie, goraz bardziej odbiega od egzotyki, którą był dla nas jeszcze do niedawna problem narkomanii. Niektóre, szczególnie drażliwe sceny poruszają pedagogiczną widownię. Nie wiem, czy organizatorzy projekcji przewidzieli, że na sali będą narkomani (kilka osób przebywających obecnie na leczeniu w Sokolnikach), dla których, co po niektórych, „momenty” mogły być bardzo frustrujące.

Po filmie Kotanski mówi o problemie polskiej narkomanii w ogóle, o metodzie leczenia, o psychicznym spustoszeniu organizmu narkomana, o MONARZE. Typowa prelekcja. Wreszcie dyskusja.

GŁOS Z SALI — PANI PEDAGOG: — Interesuje nas ograniczanie kompetencji poszczególnych resortów. Bo tak; milicja twierdzi, że w Łodzi narkomanów nie ma, resort oświaty nie jest za sprawą szczególnie zainteresowany, resort zdrowia jeszcze inaczej. Tworzy się więc wielotorowość...

KOTANSKI: — Zgadza się, istnieje rozbieżność między resortami w tej kwestii. Szkoła boi się narkomanii, boi się rozgłaszania problemu. Chociażby na przykładzie projektu szkolnych kół MONARU. Ministerstwo Oświaty i Wychowania zgodziło się na stworzenie takich kół, ale tylko z opiekunami-nauczycielami. Już z góry wiadomo, że tacy opiekunowie zniszczą inicjatywę oddolną w zaledwie. Znamy to przecież z praktyki, nie ma co ukrywać. Dlatego też stworzymy koła Monaru środowiskowe, poza szkołą.

Ale do rzeczy. O wielotorowości i różnych poglądach nie może być mowy. Jeżeli oczywiście zależy nam na wyleczeniu. Z narkomanii trzeba leczyć zdecydowanie i konkretnie. Opałem państwu coś, co zabrzmi jak paradoks. Otóż w Warszawie są dwie poradnie dla „opunów”. Jedna profesjonalna; prowadzona przez specjalistów — wybitnych psychologów i psychiatrów.

I druga na Hożej — prowadzona przez neofitów (ludzi wyleczonych z nalogu — przyp. J. B.). I proszę sobie wyobrazić, że oni wolą tę pierwszą. Bo tam mogą się zabawić, zagrać — bo oni cholernie lubią grać, intelektualizować. Lubią dużo „nawijać” ze „zgradami”. Tymczasem na Hożej rozmowa jest krótka — chcesz się leczyć — to chodź, natychmiast, zaraz. Rozmowa konkretna. Na Hożej musisz być szczery, tam się nie zagra.

W leczeniu narkomanii musimy być zdecydowani i konkretni. Nie możemy się bawić w umoralnianie, medytację transcendentalną. O, oni to lubią. A później wychodzą z rozmowy i śpią jak cholera. I wtedy możemy sobie tę metodę połuc o kant... ucha.

Niektórzy mają aspiracje wypracowania własnych metod leczenia. Boją się, żeby oświata nie miała swoich, lekarze swoich itd. — bo wszystko się rozleci. Musimy być razem.

GŁOS Z SALI: — Co zrobić, jeżeli dziewczyna 17-letnia związała się i żyje z narkomanem?

KOTANSKI: — Odpowiadam krótko — nie nie można zrobić. Nie ma takiego przepisu, nie ma takiego prawa, żeby ich rozdzielić, ukarać. Trzeba po prostu młodym ludziom stwarzać warunki. No... no nie wiem jakie. Chodzi o to, żeby ópanie nie było największą atrakcją w ich życiu, celem.

Opowiem przy okazji przypadek z Głoskowa. Kilka dni temu odeszła od nas 17-letnia dziewczyna. Była na leczeniu już drugi raz. Odstąpiłszy od zasady, została ponownie przyjęta. Przyszła prawie na kolanach, kompletny wrak. Pomogliśmy jej.

Tymczasem znowu odeszła. Po pięciu miesiącach pobytu odeszła się w niej silna potrzeba brania dalej. Powiedziała wtedy do mnie w nocy. — Panie Marku — ja nie chcę się uczyć, ja nie chcę pracować w waszej świnia — ja CHCĘ, BRAC NARKOTYKI.

Na tym polega tragizm tej całej sytuacji, że nie możemy nic zrobić, nie możemy w żaden sposób pomóc.

PANI PEDAGOG ZE SZKOŁY PODSTAWOWEJ: — Mam pytanie do obecnego na sali pana kapitana z KW MO. Na jaką pomoc ze strony milicji mogą liczyć, jeżeli wykonam do pana telefon. Proszę sobie wyobrazić, że w mojej szkole dziesięcioletki już praktykują. Zaczynają się gromadzić w grupki, gdzieś w lepiankach i masowo wachają.

PRZEDSTAWICIEL KW MO: — Proszę państwa — problem narkomanii w naszym kraju dostrzeżliśmy już w latach 60-tych. Naszili się włamania do aptek, podrabianie recept i inne przestępstwa związane z narkomania. Pan Kotanski mówił o 70 000 uzależnionych, w Łodzi podobno jest takich tysiąc — tymczasem zanotowaliśmy od 69 r. tylko 216 przestępstw dokonanych przez ludzi uzależnionych leków.

GŁOS Z SALI: — Panowie z góry zakładają, że każdy narkoman to przestępca!

KAPITAN Z KW MO: — Niezupełnie, ale przecież wiadomo, że musi skądś brać środki. Gdybyśmy byli informowani o każdym, nawet najdrobniejszym włamaniu do apteczki w szpitalu, w poradni — dane byłyby nieco inne.

REPORTER: — Panie Kapitanie, nie odpowiedział pan na pytanie — jakiej konkretnej pomocy od milicji może oczekiwać pani pedagog, która zorientowała się, że jej podopieczni wachają?

KAPITAN MO: — No, oczywiście, zainteresujemy się sprawą, przyjedziemy. Nawet zaraz sobie zanotuję...

Wstaje Marek Kotanski: — Proszę państwa, to może ja w skrócie wyjaśnię jak to wszystko wygląda, dlaczego takie nieprecyzyjne i zanizone liczby w kartotekach milicyjnych. W tej chwili u nas w kraju jest mnóstwo możliwości brania bez włamań do aptek i podrabiania recept. Od wielu lat produkuje się rodzimą heroinę z makowin tzw. kompot, który zawiera czasami około 60 proc. czystej heroiny. Czas produkcji jest szalenie krótki.

Nagminnie pije się wywar z maku. Stan wojenny załedwie przerwał produkcję na 2 tygodnie. Obecnie wszystko wróciło do „normy”. Melny, miejsca produkcji przenosi się w miejsce na miejsce. Sprawa całkowicie nie do wykrycia, nawet przy maksimum dobrej woli.

W Polsce produkuje się również LSD. Nasze rodzime środki odurzające są jednymi z najlepszych w Europie. Ostatnio zaczął rozwijać się eksport. Nasz „kompot” kupują Austriacy. Marihuane pali się nagminnie w klubach studenckich, na różnych wieczorkach i spotkaniach towarzyskich. Wachanie różnych świąt jest szalenie popularne, szczególnie w kregach dziesięcio- dwunastolatków.

GŁOS Z SALI: — Co robić z takimi dziećmiakami?

KOTANSKI: — Przerazone matki nie bardzo wiedzą, co mają robić. W stosunku do dziesięcioletnich dzieci trudno znaleźć skuteczne metody oddziaływania. Jedno jest pewne — nie można tworzyć enklaw, w których dzieci będą się wzaajemnie edukować. Nie ma mowy o jakichś sanatoriach czy ośrodkach, o przymusowych środkach leczenia.

Jak już wcześniej powiedziałem, trzeba młodym udowodnić, że uciekanie w narkotyki nie należy do atrakcji. To tyle.

Ulicę Główną pamiętam z jesiennego, zadymionego wieczoru, w którym światło upstrzonych muchami pietnastowatych żarówek, otulając wnętrze dziwnych, wielkości mieszkaniowego okna wystaw, pełnych starych instrumentów, mieszało się z dźwiękami harmonii i zapachem smażonego oleju.

Ulicy Główny już nie ma. Jest aleja Mickiewicza. Na pół dokończona „wielkomięjskie cioty”. Jakby komuś zabrakło zdecydowania w przekreślaniu ostatecznym wstydlivego obrazu miasta, zatrzymanego w czasie. Budowano w XIX wieku Łódź na już, na teraz, pod koniunkturę. Nic tu nie narastało harmonijnie, przez wieki, a statyczny układ miasta zagubił się w chaosie rozbudowy międzywojennej i tej po drugiej wojnie światowej. Kiedy to starano się nadrobić stracony czas i podnieść to ogromne miasteczko do rangi godnej jego mieszkańców. Zaś odkad i tutaj dotarły poglądy, iż okres burliwego rozwoju przemysłu to już historia warta utrwale-

nurtują wszystkich, którym łódzka architektura jakoś leży na sercu, ale jednocześnie nie ma chyba już wątpliwości w to, iż Łódź jest potrzebne silne rodzime środowisko architektów i urbanistów, czujących do miasta każdym nerwem projektanckiej natury. Bo doświadczenia powojenne mamy nie najlepsze. Najpierw wyjęto z pejzażu miasta kominy, potem wstawiono weń wieżowce. Do dziś nie bardzo wiadomo czy zabieg ten przywrócił pewne wartości krajobrazowe, czy jest jedynie świadectwem prestiżowych aspiracji niewielkiej grupy ludzi.

W przebudowie i rozrastaniu się miasta jakoby widziano tylko jego fragmenty, poszczególne funkcje i wyrwane z kontekstu formy. Każdą oddzielnie. Zapominając, że miasto to żywy organizm, któremu nawet drobne części bezkarnie odebrać się nie da; że to ogromna rzeźba, która trzeba postrzegać w całości, żeby odczuć jej najdrobniejszy fragment; że — w końcu — miasto to forma wizualna, przestrzenna, która lu-

na Zdrowie — są sprzeczne z ludzką naturą. Czy my jednak znamy tak naprawdę ludzką naturę? Ta, o której mówią socjologowie, którym wierzyli rzeźbiarze miast, formowali się również na Główny. Ile lat to trwało? I czy zdażyła się ona ukształtować do końca, do przesytu, do momentu kiedy trzeba otoczenie przemeblować, bo w starym układzie nie da się już żyć?

Pojęcie natury ludzkiej i jej potrzeb jest względne. Pewna rodowita petersburżanka uważała, że tylko jej rodzinne miasto jest miastem prawdziwym, o Moskwie wyrażając się pogardliwie „ta wieś”, bowiem było to w jej ustach jedynym określeniu, którym mogła wyrazić obcość i nienaturalność jakiegos środowiska. My zaś uwierzyliśmy w tezę, iż miasto jest złą koniecznością i chodzi jedynie o to, by ta konieczność była jak najmniej uciążliwa. Niektórzy biegli w urbanistycznej wiedzy starają się

dział chęć są czuli na materialny kształt niż zatrzymany czas. Zdaje się to potwierdzać wieloletnia dyskusja o tym, co jest już zabytkiem, a co nim jeszcze nie jest. Najpierw wpiisywano do rejestru pojedyncze domy, dla ich kształtu lub obrazu fasady. Potem wydawało się, że wystarczy stworzyć skansen, poprzemienić po prostu to co warte zachowania dla potomnych w jedno miejsce, żeby mogli popatrzeć jak to kiedyś wyglądało. Znajdowano jednak nowe zabytki, z którymi taki zabieg nie byłby już możliwy. Trzeba bowiem przemieścić fragmenty ulic i odwozować ich wzajemny układ. Ale chociaż zmienił się zakres pojęcia zabytku, kryteria oceny pozostały te same. Klasyfikowano według walorów przestrzennych, wizualnych. Do dziś zresztą w ocenie wartości dawnej budowli są one dominujące. Trudno się nawet temu dziwić. Historia architektury wciąż jeszcze jest historią form, a nie treści. Dopiero dzieje budowania miast, szczególnie ubiegłowiecznych,

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Namalować zapach smażonego oleju

nia, konserwatorzy skrupulatnie inwentaryzują, dokumentują i klasyfikują każdy bardziej niezwykły okaz dziewiętnastowiecznej zabudowy. Nikt jednak nie jest szaleńcem i nie wpisze do rejestru zabytków zapachu smażonego oleju.

Zaraz po wyzwoleniu wydawało się, że w Łodzi wystarczy tylko budować, a reszta ułoży się jako sama. Miała więc Politechnika Łódzka Wydział Budownictwa, architektki egzystowały w nim na doczepkę, młodzież muśnięta talentem wyjeżdżała na studia gdzieś w Polskę. A do Łodzi wracali nieliczni, przypileni bardziej żywymi koniecznościami, niż frapującą perspektywą projektanckich możliwości.

Dopiero za rok będziemy obchodzić dziesięciolecie istnienia architektonicznych studiów w Łodzi. Czy spotka się ten jubileusz z ogłoszeniem samodzielności Wydziału Urbanistyki i Architektury? Dobrze by było. W końcu nie bardzo wiadomo, czy architektura bliższa jest budowlanemu rzemiosłu, z którym dziś w Politechnice Łódzkiej jest organizacyjnie powiązana, czy też większą ma łączność z plastyką, której środkami artystycznego wyrazu się posługuje. A może stanowi dyscyplinę samą w sobie i żadne organizacyjne mariaże nie są jej potrzebne? Sądzę, że te wątpliwości

dzięki obyczaj kształtuje i jest tym obyczajem formowana.

Czas kiedyś pewnie to wszystko scali, wyrówna patyną, naszym wnukom będzie się może wydawało, że to tak właśnie miało być. My zaś chcemy, żeby już. Tymczasem w SDM olej po prostu śmierdzi, a my pamiętamy, że na Główny pachniał. Nowe osiedla burzą dawne obyczaje i dopiero następne pokolenia znowu je ukształtują. Jak wtedy, w XIX stuleciu, kiedy to całymi wsiami ludność przybywała do „ziemi obiecanej”.

Wspaniale, jasne domy są bardzo piękne w szkiecach i na małych uliczkach. Ale tkwi jakaś sprzeczność w tym, że w powszechnie rozumianej konwencji renesansowej perspektywy, skromnej nawet w swych możliwościach przekazywania jedynie wartości urokowych, trzeba wyrazić wizję nowego, lepszego życia. Toteż nakładają się błędy. Tak się przynajmniej dzisiaj wydaje. Schodzą więc architektki z podniebnych kondygnacji, urbanisci na nowo formują ulice i podwórka. I jedni i drudzy twierdzą, że człowiek powinien żyć w kontakcie z ziemią; za podstępem socjologów powiada, że rozwój jednostki jest właściwy tylko w pełnym środowisku. Praca, wypoczynek, kontakty z bliźnimi mają być w zasięgu ręki. Sypialnia na Widzewie, jazdy do pracy gdzieś na Retkinie, a po wypoczynku biegi

nawet przekonywać o przytępiających wrażliwość, zdolność postrzegania piękna, rozróżniania bogactwa form przestrzennych skutkach mieszkania w wielkich osiedlach, pełnych ogromnych, jednakowych domów. Teraz uważamy, że mają rację. Nasze wnuki mogą jednak zupełnie nie rozumieć tych dzisiejszych osądów. Kształtując dla nich przestrzeń, życiowe środowisko, zapewne jeszcze nie przeczuwamy jak ono uformuje ich naturę.

Bardzo trudno jest projektować miasto. Jeszcze trudniej rozbudowywać i przekształcać już istniejące. Czasu papieży i baronów, wstawionych przebudową wielkich miast, minęły już bezpowrotnie. Doświadczenia współczesności każą wrażliwość twórczą sprząść z rozległą wiedzą. Nie wystarczy do tego jeden wizjoner.

Od Główny do SDM upłynęło tylko kilka lat, a minęło całe pokolenie. Na Księżym Młynie, choć czasu jego trwania starczyłoby na kilka pokoleń, wydaje się momentami, że mieszkają tu ci sami ludzie co przed wiekiem. Przeciętny łódzianin zapewne nie zauważy też ogromnej różnicy w czasie, w jednej chwili, w jednym mieście. Ona po prostu jest — jak powietrze, o którym dopiero wtedy zaczyna się myśleć, gdy go brakuje.

Urbanisci, projektanci muszą ją widzieć. Konserwatorzy bar-

emuszają do przewartościowania takiego podejścia.

Łódź jest typowym tworem XIX wieku. Nie da się tu poprzestać na chronieniu uroków formalnych, bo często ich po prostu nie ma, albo znikają, gdy zabraknie im dawnej oprawy. Są natomiast miejsca, w których czas prawie się zatrzymał i to jest ich największą wartością, ale i przekleństwem. Nie da się tych miejsc zachować na fotografii, ani na obrazie, nie da się czegoś z nich wyjąć i przenieść do muzeum. Jeszcze trwają, bo rok jest w nich dłuższy, niż gdzie indziej. Ale ich mieszkańcy mają już tego dość. Są gotowi przyjąć wszystko, byle inne, byle żywcem nie zamierać w minionym stuleciu.

Nie wiem czy zdąży doczekać te miejsca swoich mecenasów, konserwatorów i projektantów, którym uda się nie niszczyć przeszłości wszczepić nowe, pozwalające godnie tam żyć. Muszę w to uwierzyć, inaczej nie byłoby sensu o tym wszystkim pisać. Muszę uwierzyć, że wśród absolwentów „łódzkiej architektury” znajdzie się taki szaleńiec, który wpisze do rejestru zabytków zapach smażonego oleju.

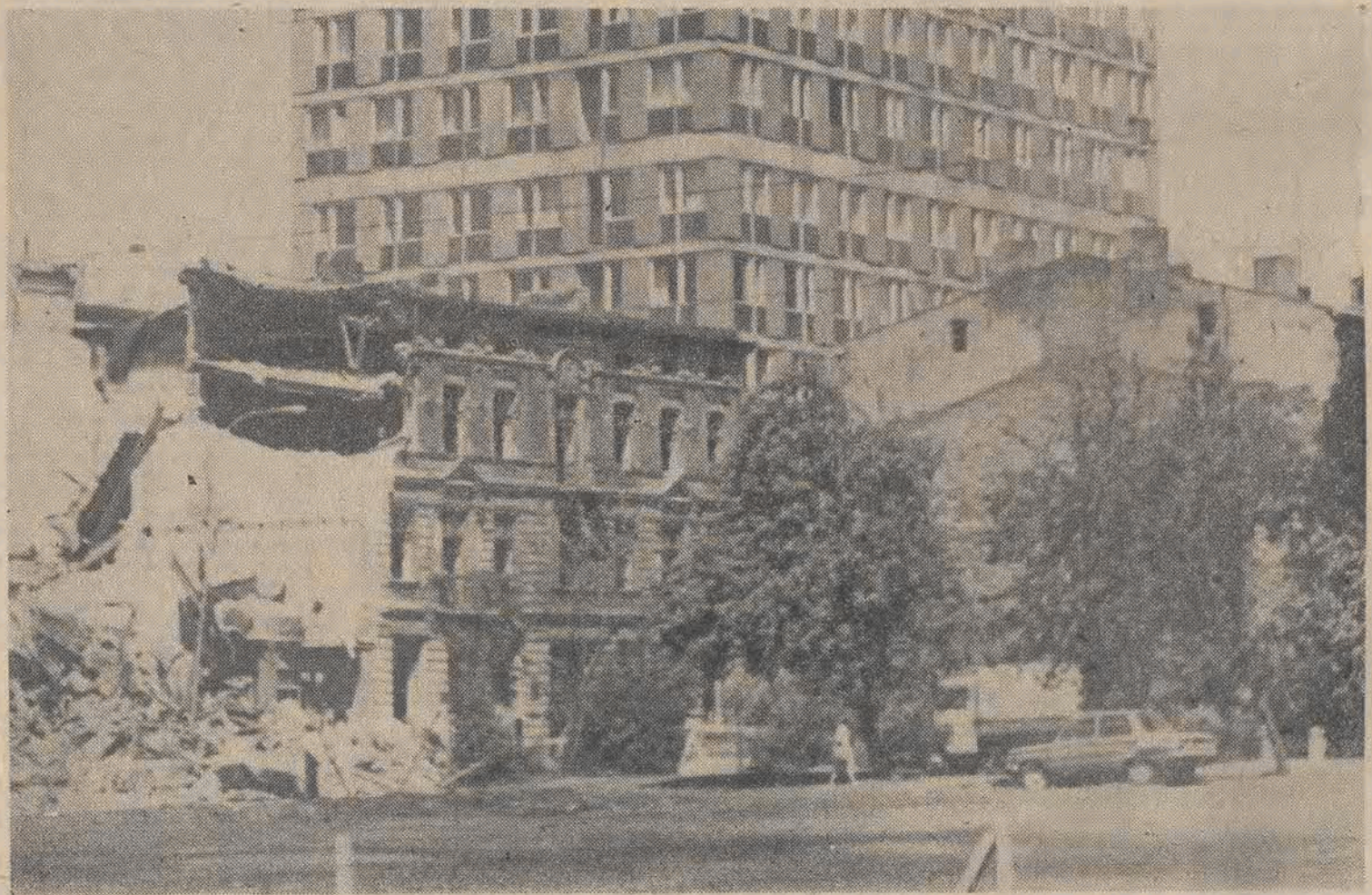


Foto: Zbigniew Májda

Co ja mam robić? — spytałem redaktora Bogusławskiego, gdy już powziąłem decyzję o pozostaniu w „Expressie”.

— Pisać. Jak najwięcej i ciekawie. To nie przedwojenny „Express”. Nie będę pana kępował brakiem miejsca.

W przymusowym okresie wstrzemięźliwości, przez kilka lat, kiedy to wszystkiego się miałem, tylko nie pióra, weszły we mnie szatańskie moce. Rzuciłem się w wir pracy. Zapelniałem już nie szpalty — całe strony gazet! Telefon — wiadomości — maszyna! Wysskok do miasta — maszyna! Powrót do domu wieczorem — maszyna! Błady strach padł na kolegów. Dystansowałem ich operatywnością, tempem, sposobem podawania wiadomości, piekielnym zapalem, rutyną. A trzeba wiedzieć, że podstawą naszych zarobków stanowiła wierszówka. Dostawaliśmy po pięć złotych od wiersza, za sensację większego kalibru po sześć, a za felieton po osiem złotych od każdej linii. Przed wojną wynagradzano mnie tylko wierszówką. Pensa, jaką mi wyznaczył redaktor Bogusławski, była przeliczona w mym życiu w zawodzie dziennikarskim.

Podzieliłem się z czytelnikami bogatym balastem przeżyć w Azji Środkowej. Tyle miałem ciekawego materiału! „Łodzianie na grobowcu Tamerlana”, „Winogrona tańsze od kartofli”, „Okno w okno z trędowatymi”, „Polka zostaje żoną Azjaty” — dobrze pamiętam tytuły moich wspomnieniowych relacji z Tadżykistanu. Wśród licznej kolonii polskiej znajdowała się młoda dziewczyna, nauczycielka, rodem z Łodzi. Pracowała w kolchozie przy zbiorze bawełny. „Prowadziła” kolchozu, Tadżyk, w pięknym jedwabnym chalcie i barwnej „tiubiatie” na głowie, upatrzył ją sobie i powiódł do „Zagsu”, urzędu stanu cywilnego, gdzie zarejestrował się jako żona. Ciekawe, jak potoczyło się życie młodej rodaczki. Myślę, że nadal przebywa w słonecznym Tadżykistanie, zażąda się winogronami, „lepioszkami” i innymi smakolatkami, i chyba opanowała już trudny język. Ja po tadżycku po kilku latach pobytu rozumiałem tylko jedno słowo „bilmajdi”, co znaczy — „nie rozumiem”.

Z powodu owego „Azjaty” w tytule mieliśmy nieprzyjemności. Wbrew mej woli zabrzmięło to pejoratywnie. Powinienem był napisać „żona Tadżyka”. Redaktor Bogusławski nie zrobił mi wymówek. Zawsze brał winę na siebie, czuł się odpowiedzialny za wszystko, co się ukazywało w jego gazecie.

Zasypywałem biurko redaktora reportażami z miasta i wywiadami. „Ludzie noszą buty do ostalka”, „Trzeba się obejść bez służącej”, „Nikt już nie jeździ dorożkami”. Każdy taki artykuł zajmował najmniej połowę strony. To się czytało!

Nie stroniłem i od poważniejszych tematów. Zbliżało się referendum. „Odpowiedź godna Polaka to trzy razy „tak” — zaapelowałem do łodzian artykułem na całą kolumnę. Przed procesem Hansa Biebowa, kata łódzkiego getta, odpowiedzialnego za śmierć kilkuset tysięcy Żydów i Polaków, „Express” zamieścił kilka obszernych relacji mego pióra. „Greiser wymknął się Łodzi, ale szubienica dla Biebowa musi stanąć w naszym mieście!” — domagałem się w imieniu ludności. Nie było wtedy ścisłego podziału kompetencji w naszej redakcji. Każdy mógł o wszystkim pisać. Co kto ma robić uzgadniało się każdorazowo z redaktorem.

Sporo czasu poświęcałem nerwowej bieganiu po mieście. Zaglądałem do dawno nie widzianych miejsc. Pierwsze kroki skierowałem na ul Sienkiewicza 73. Wiedziałem — swego przedwojennego mieszkania nie odzyskam, ale może meble? Nic z tego.

Piotrkowska 49... Miejsce moich wzlotów i upadków dziewięcioletniej przedwojennej reporterki. Tutaj „Express” miał swą siedzibę.

Bałuty... Teren getta, gdzie okupant ślodził ludność żydowską miasta. Brama, zasięki z drutu kolczastego i most nad ulicą, którym przechodził Niemcy i Polacy, już usunięto. Zostały gruz i puste kwadraty ziemi po spalonych i wysadzonych w powietrze domach. Pod nogami wałyły się aluminiowe 5 i 10-markówki. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Dzisiaj owe monety, bite dla łódzkiego getta w latach 1942-43, są bardzo drogie. Na 20-markówkę, wprowadzoną do obiegu na dziewięć dni przed likwidację getta, nie ma właściwie ceny. Podobnie jak na 10-fenigówkę z fosforobrazem z tarczą Dawida w awersie. Monety tych zachowało się wyjątkowo mało. Wskutek szalejącej drożyzny nie miały one praktycznie żadnej wartości nabywczej, toteż mieszkańcy getta używali ich do rozpalania w piecach.

Przypatrywałem się ludziom, domom, jak bym się znalazł w obcym mieście. Bo chociaż nie zmieniło ono wyglądu to wciąż dostrzegałem wiele nowych, zaskakujących rzeczy. Do wojny funkcjonował w Łodzi bodaj jeden żłobek przy wytwórni papierosów na ul. Kopernika. Filmowały go niezmordowanie ekipy operatorów. Dodatek do PAT we wszystkich kinach demonstrował te wielkopomną zdobycz klasy robotniczej. Mijając dawne pałacyki fabrykantów z nieukrywanym zdumieniem — tak — odczytywałem przybite na murach tabliczki: żłobek państwowy numer... żłobek przy zakładach włókienniczych... żłobek rejonowy numer...

Dzisiaj są to zjawiska powszechnie znane, zrozumiałe, wtedy mnie szokowały. I ogrody fabrykanckie, pozamykane ongiś na siedem spustów, teraz otwarte dla wszystkich. I nowe bloki mieszkalne, powstające w różnych dzielnicach miasta, z początku chaotycznie, poje-dynczo, później planowo, całym koloniami. Pierwsze stanęły chyba na ul. Wojska Polskiego przy Marynarskiej, na Lutomierskiej przy Zgierskiej. Budowano je jeszcze z cegieł, ale jak! Kochane trzydziestolatki, gdybyście mogli przypatrzeć się prac... waszych ojców i dziad-

ków, na pewno byście pomysłili, że to trickowe sceny z puszczonych w przyspieszonym tempie filmu. Zapal kipiał wszędzie — w fabrykach, na budowach, przy robotach ziemnych. Entuzjazm walki ustąpił miejsca entuzjazmowi pracy.

Zrobiłem kilka reportaży z nowo zasiedlonych bloków. Co tu ukrywać — zazdrościłem szczęściwcom, którzy dostali te mieszkania. Kto jak kto, ja dobrze pamiętałem warunki mieszkaniowe przed wojną. Przy różnych okazjach odwiedzałem tak zagęszczone kłitki, że z trudem można się było w nich poruszać. Kłębły pary z gotującej się bielizny, zapachy kuchenne, odrzuty z ogólnych ubikacji na korytarzach — i małe dzieci, pelzające po pokrytej lizajem brudu podłodze.

Takie obrazki oglądałem nie tylko w najbliższej dzielnicy Łodzi — na Bałutach. Siedliskiem między mieszkaniowej było wiele czynszowych kamienic śródmieścia, pozbawionych najprymitywniejszych wygód. Na Południowej, Kilińskiego, Główniej...

ADAM OCHOCKI

Szukam tematów i... mieszkania

Adam Ochocki urodził się w 1913 roku w Łodzi. Pracę dziennikarską rozpoczął jako siedemnastoletni chłopiec w agencji prasowej „Polpress”. Po kilku miesiącach zostaje reporterem łódzkiego „Expressu”, w którym nieprzerwanie pracuje do 1939 roku. Po wyzwoleniu i powrocie do Łodzi z ZSRR, gdzie spędził lata okupacji, kontynuuje działalność dziennikarską na stanowisku sekretarza redakcji powojennego „Expressu”. W 1948 r. wydał wraz z Wacławem Drozdowskim cieszący się dużą poczytnością album z przegodami Wicka i Wacka, drukowanymi uprzednio w „Expressie”. W 1957 r. został sekretarzem redakcji „Karuzeli” i poświęcił się satyrze, pisząc felietony, wiersze, fraszki. W 1970 r. opublikował w Wydawnictwie Łódzkim tomik satyryczny „Skąd my się

znamy?” W tym samym roku ukazała się w Moskwie, nakładem „Krokodyla” książeczka A. Ochockiego „Triewoga w Adu”, a w 1972 r. w Tallinie (Estonia) pod jego redakcją wybór utworów satyrycznych autorów piszących do „Karuzeli” pt. „Paase Karusseile”. Jest ponadto autorem wielu scenariuszy filmów animowanych dla dzieci m. in. z serii „Zaczarowany ołówek”. Od kilku lat jest już na emeryturze. W 1980 roku wydał nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom wspomnień pt. „Reporter przed konfesjonalem czyli jak się przed wojną robiło gazetę”. Drukowane obecnie wspomnienia pochodzą z drugiego — przygotowywanego dla Wydawnictwa Łódzkiego tomu wspomnień — obejmującego lata powojenne.

Kilka miesięcy pierwszą stronę zdobyły wierszyki polityczne autorstwa dr. Wista. Pod brydżowym kryptonimem ukrywał się smukły, młodzieńczy, tryskający humorem... Ludwik Jerzy Kerna. Zadebiutował u nas 25 czerwca 1946 r. utworem pt. „Dość zabawy”. Przypominam go ku wiadomości potomnych:

Wszyscy marzą o tym, żeby jak najprędzej zakończono proces w mieście Norymberdze. Żeby osądzono, żeby powieszono i całą zabawę na zawsze skończono. Bo wtedy dopiero, tak wydaje mi się, będziemy spokojni, gdy już będą wisieć.

Redaktor Bogusławski powierzył Kernowi redagowanie całostronicowego dodatku humorystyczno-satyrycznego „Śmiejęmy się”, który ukazywał się raz w tygodniu. Lutek miał każdorazowo dostarczać jeden lub dwa własne wiersze oraz trochę drobniejszych prozą. Raz podzielił do sekretariatu nawet niezłe napisany sonet krymski.

— Czy pan oszalał? Mickiewicza pan daje zamiast siebie?

— A co? Może to zły autor?

Pod żadnym utworem w „Expressie” Kern nie podpisywał się swoim nazwiskiem. Dr. Wist, Jan Skorpion, Jerzy Zajczkowski, A. Zieliński — oto pseudonimy, pod jakimi występował dzisiejszy znakomity autor.

Lechosław Marszałek, znany twórca filmów animowanych z Bielska-Białej, rozprawił się na pierwszej stronie „Expressu” z politykami angielskimi i pogrobowcami hitlerizmu. Z krajowych mężów stanu zaszczytu figurowania na tak poczesnym miejscu w gazecie dostąpił tylko Stanisław Mikołajczyk, oślawiony przywódcą PSL.

Po paru tygodniach redaktor Bogusławski powiedział:

— Rozkreślił się pan, panie Kiepara. Trzeba się przyłożyć do adiustacji tekstów. Obejmie pan sekretariat redakcji.

Dodatkowe obowiązki nie osłabiły tempa mej pracy. Nękała mnie tylko jedna sprawa: co będzie z mieszkaniem? Żona przysłała z Kłodzka coraz kategoryczniejsze listy. Albo znajdziesz coś w Łodzi, albo wracaj do nas, takie życie na dłuższą metę nie ma sensu.

Mimo usilnych poszukiwań i zabiegów nie udało mi się nic załatwić. Byłem już bliski podjęcia desperackiej decyzji powrotu do Kłodzka, gdy los przypadkowo zetknął mnie z naszym przedwojennym kierownicą z „Republiki” — Wojnarem. Pospomniał mi dawne dzieje. Podzieliłem się z panem Tadeuszem moimi współczesnymi kłopotami.

— Poczekaj pan, na Wólczanieckiej mieszka mój kumpel, zdemobilizowany podoficer. Ma tam jeden pokój, chce się przenieść do rodziny na Ziemię Odzyskaną. Mogę z nim pogadać, ale pan rozumie...

Po godzinie dobiliśmy targu. Za kilkanaście tysięcy wyblerający się na zachód lokator zgodził się odstąpić mi pokój wraz z łóżkiem, antyczną szafą, stołem i kilku krzesłami. Skąd wziąć na odstępną? To co zarabiałem posyłałem niemal w całości rodzinie. Redaktor Bogusławski poszedł mi na rękę.

— Dam panu zaliczkę. Spłaci ją pan w miesięcznych ratach.

Wziąłem kilka dni urlopu i sprowadziłem swoich do Łodzi. Był to przedostatni dzwonek. Niebawem przyszedł na świat mój syn Paweł. Urodził się w naszym „mieszkanie”. Pokoik z wychodzącym na ulicę balkonem uwierał pod pachami. Poza nami czworgiem większą część dnia przebywała tam jeszcze służąca, volksdeutscha, przydzielona z obozu na Sikawie. Gdy zbliżała się pora obiadu, żona zwracała się do niej:

— Może się pani trochę przejdzie po mieście? Zaraz przyjdzie mąż, nie mam go gdzie posadzić.

Nowo narodzony następca tronu dni swego niemowlęstwa spędzał w koszu od bielizny. O wstawieniu łóżeczka czy kołyski nie było mowy. Córka pałała się pod stołem, żona i pomoc domowa objęły się w przejściu o siebie. Co chwila ktoś z nas omotywało sobie głowę rozwieszonymi pieluchami. Istny koszmarny.

— Panie redaktorze — natarłem na szefa — ja chyba zwariuję! Jak długo można wytrzymać w takich warunkach? A w ogóle to mi się należy od redakcji wyprawka dla dziecka.

Redaktor Bogusławski nie lubił takiego stawiania sprawy.

— Nie będzie pan na mój koszt robił dzieci! Poza tym redakcja to nie agenda kwaterek.

Ale po chwili się udobruchał i wypisał mi kwit do kasy na wyprawkę.

— Nie panikuj pan, panie Kiepara. Na pewno coś pan sobie znajdzie.

W tym to czasie często zachodziłem na ulicę Zieloną do sądu starościńskiego, przekształconego potem w referat karno-administracyjny. Dużo ciekawego materiału dawał mi kierownik tej placówki mgr., a później dr. praw, Henryk Grajewski. Podsuwał mi tematy i z innych dziedzin życia. Sporo felietonów z owego czasu zawdzięczałem jego inwencji oraz niezawodnemu zmysłowi humoru. Znał moje kłopoty mieszkaniowe. Kiedyś po uraczeniu mnie pokazną porcją informacji powiedział:

— Gdyby się znalazł ktoś energiczny, mógłby zdobyć piękne mieszkanie...

— Panie magistrze...

— Na Sienkiewicza 31, w poprzecznej oficynie na trzecim piętrze, znajduje się nieprawie zajmowany lokal. Przydział dostał dyrektor placówki handlowej, ale on ma willę rodzinną i do mieszkania na Sienkiewicza przeniósł podległe mu biuro. Dobrze znam tę sprawę, mieszkam drzwi w drzwi.

Biuro w mieszkaniu? A my się gnieźdźmy w czworu w małym pokoiku? Nie był to fakt odosobniony. Wiele instytucji pozajmowało nowoczesne mieszkania z wszelkimi wygodami. Wanny w luksusowych łazienkach służyły za przechowalnie zakurzonych akt, w kuchniach wałyły się różne rupiecie, gdy ludzie próżno kolatali o przydziału.

Kropnąłem artykuł na pół strony: USUNĄĆ BIURA Z MIESZKAN! — i zaniósłem szefowi. Przeczytał, wpił we mnie świdrujący wzrok.

— Nie licytuje z etyki dziennikarską, walczyć na łamach swojej gazety o prywatne sprawy. Ale w tym przypadku zrobię wyjątek. Puszczę to do numeru. Składaj pan wniosek do kwaterek, redakcja poprze pańskie podanie.

Jeszcze „Express” z mym artykułem nie ukazał się na mieście, gdy zjawiłem się u naczelnika Talacha (a może Wypycha?). Umotywowałem wniosek jak należy: siedemnaście metrów powierzchni i cztery osoby, w tym niemowlak i trzyletnie dziecko.

Kierowane przez asekuranckiego dyrektora przedsiębiorstwo — Centrala Zaopatrzenia Materiałowego Przem. Włókienniczego, Biuro Węglowe — otrzymało nakaz eksmisji. Było jeszcze trochę perturbacji, pan dyrektor uparcie nie chciał wyprowadzić swych agend, wreszcie ustąpił i przenieśliśmy się na Sienkiewicza.

Przydzielono nam trzy pokoje z kuchnią. Pozostał jeszcze jeden wolny. Do pilnowania go przysłano strażnika. On też nie miał gdzie mieszkać. Złożył wniosek i został moim sąsiadem. Nowe locum okazało się dlań dobrą odskocznią: po krótkim czasie awansowano go na pracownika umysłowego Powszechnego Domu Towarowego na Piotrkowskiej 60/62, gdzie błyskawicznie wspiął się nie tyle po schodach co po szczeblach drabiny służbowej. I ani się obejrzał, gdy mój współlokator począł udzielać mi wywiadów jako dyrektor tej poważnej w mieście placówki handlowej.

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę”.

Tajemne życie lwów

tam ślad po białym tatuśku zostanie. Może kiedyś uda mu się ta sama sztuka, co matce? I wyda na świat coś już naprawdę białego?

Tak oto, ze wzorkiem utkwionym daleko w przyszłość, myślał w Afryce tak zwany WYBIELACZE SKÓRY.

3

W Akrze, stolicy Ghany, urodził się pewnego dnia na lunch dwóch Polaków — obaj dobrze już po pięćdziesiątce, pierwszy zafranzuzował się przed kilkunastu laty, zapuszczając, jak to się mówi, korzenie, drugi był gościem.

Afrykaner zostawił w Polsce żonę i dorosłego syna, na miejscu miał jednak na pociechę dwie inne żony i kilkoro małych dzieci. W ogóle, powiódł się, że wyrastała jej z obu boków dwie maleńkie, różowe piety. Jak ma dwoje dzieci, to drugie umieszcza sobie w identycznej pozycji na brzuchu i bliźniacza para pięt merda także z drugiej strony. Głównie niemowląt, zgodnie z prawem ciążenia, przekazywane są nieustannie na lewy lub prawy bok, co ma chyba prawo bu-

Wróżenie musiało być naprawdę silne, bo Afrykaner do słowno oniemiał, wywalając na dziewczynę gąs. Jego towarzyszy, głodny i podenerwowany, próbował go przywołać do porządku.

— Chodź, chodź — mówił ciągnąc go za łokieć, ale tamten oswoił rękę i wznosił zniecierpliwiony:

— Zaczekaj chwilę, muszę się ożenić!

W parę dni później miał już ją w swoim pojemnym domu. Ano, był człowiekiem zamożnym, mógł sobie na luksus trzeciej żony pozwolić.

Małżeństwo w Ghanie zawiera się w sposób prosty. Żadne tam krowy, kózki, butelki wódki dla ojca panny młodej i bierz ją pan na utrzymanie. Właśnie! Na utrzymanie. Różnica między „chodzeniem” a legalnym związkiem polega właśnie na przejęciu obowiązków jednego żywiciela kobiety, której trzeba ponadto stworzyć odpowiednie warunki domowe.

Wśród zamożniejszych bywają także luźne uroczystości weselne. Ale zawsze na tych samych zasadach. Jeśli pan młody dostarcza trzy butelki Johnny Walkera (kilkanaście litrów buszdzinu (bambooówki), teść zobowiązany jest postawić na stole ciop-ciop (jedzenie) i to tak, żeby oprócz ryżu było także mięso. Wolno tańczyć i śwawolić.

Polski Afrykaner uwielbiał swoją nową żonę. Pewnie dlatego, że mało w niej było zwykłej pokory, a dużo ognistego temperamentu. Ledwo się spostrzegł, jak zaczęła znikać mu z domu. Początkowo na dzień-dwa, później na całe tygodnie. Znajomi radzili: — Fluń na nią. Nie masz lepszego? — Ale on nie widział lepszego. Widział tylko tę jedną, wymarzoną. I choć nie żył z nią razem, co do charakteru wszystkich tych nagłych, przewrotnie planowanych ucieczek, tropił ją wtrwale w mieście i okolicach, wyciągał z restauracji, kawiarni, dyskotek i obcych łóżek. Zaklinał, błagał, bił i groził. Nic nie pomogło. Przebakiwano na stronie, że facetka ma drugiego męża — rzecz wprawdzie rzadko spotykana, ale możliwa. Posądzano ją również o uprawianie nowego procederu, nasz zakochany rodak jednak gotów był wszystko jej przebaczyć.

Kiedy był w Akrze, promieniał, ponieważ od kilku dni żona dzielnie trzymała się w domu. Przedstawił ją z pewną dozą nieufności. Co ją wam będzie dużo opowiadał — piękna! Ale czy miała skórną i przewrotną, jak Chinka. I niebawem znowu ją wzięło. Panie pewnie z uznaniem przyjmą ten zdrowy objaw afrykańskiej emancypacji, panom jednak wcale to się nie podoba.

Lecz co robić? Życie nie szechodzi nam niespodzianek, o czym świadczy najlepiej polsko-angielski przysłowie: LIFE IS BRITAIN, AND FULL OF ZASADZKAS.

2

W oczach postronnych Szwedzi uchodzą za naród pozbawiony wszelkiej prudencji. Ot, na przykład, do sauny jakże się na golasa cała rodzina, od trzyletniego wnuka do dziewięćdziesięciosiedmioletniej prababki, co zaś się tyczy stosunków seksualnych, nawiązać je można z taką łatwością, jak rozmowę towarzyską — zawsze i wszędzie. Sporo krańców również plotek o nadzwyczajnej skandynawskiej gościnności — tak, jak my, Polacy, chlebem i zupą, tak oni, Szwedzi, wrzucają ci po kolacji do łóżka żonę lub córkę, żebyś nie czuł się przypadkiem osamotniony i zły.

Bóg jeden wie, czy Szwedów cieszy ta obiegowa opinia, fakty jednak mówią co innego. Spotkałem w tym kraju wielu zasiedziały Polaków (nawet takich cwaniaków, jak muzycy), którzy od lat nie mieli kontaktu z tamtejszą piękną, chyba że oddali się w jesyr konkubinatu lub małżeństwa.

Krótko mówiąc, przy całej sympatii i szacunku dla szwedzkiej supercywilizacji, trzeba stwierdzić, że są na świecie rejon, gdzie stosunki między kobietą i mężczyzną układają się znacznie naturalniej.

Afryka Zachodnia nie zna instytucji małżeństwa w pojęciu europejskim. Nie ma tam czegoś takiego, jak urzędowy stan cywilny, nie zawiera się ślubów kościelnych w takim czy innym obrządku, jednym słowem — żadnych urzędowych formalności. Nie znaczy to przecież, aby ożenić się czy wyjść za mąż było znowu tak łatwo — w pierwszym przypadku trzeba mieć jakieś pieniądze, w drugim — jakieś zalety (pracowitość lub urodę).

Sprawa rozgrywa się zawsze między kandydatem na męża i ołcem dziewczyny. Na Wybrzeżu Kości Słoniowej, najbardziej chyba cywilizowanym kraju w tym rejonie, placisz za żonę sztukami bydła czy też jakimiś innymi dobrami, po ślubie jednak, jeśli dobrze weźmiesz babsko w karby. Inwestycja przynosi ci szybką rekompensatę. Rzecz w tym, aby kobieta zaczęła na ciebie pracować — w buszu, za straganem, jako

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zaczekaj chwilę — muszę się ożenić (Korespondencja z Afryki Zachodniej)

1

W krajach Zatoki Gwinejskiej, takich jak Wybrzeże Kości Słoniowej, Sierra Leone, Ghana, czy Togo, dziewczyna, która po raz pierwszy zakwitła różą w wieku, powiedzmy, lat dwunastu lub trzynastu, zaczyna momentalnie rozglądać się za jakąś butelką firmowego alkoholu. Kiedy ma już tę butelkę, zwraca się do rodziców z prośbą, aby urządzili jej coś w rodzaju uroczystości, w trakcie której występuje zwykle w białym stroju.

Fakt zaistnienia takiej uroczystości oficjalnie pasuje ją na kobietę. Od tej chwili wolno jej nie tylko legalnie współżyć z mężczyzną, ale również rodzic, przy czym nieślubne dziecko, jeśli się trafi, nie okrywa jej najmniejszą hańbą i nie zmniejsza jej szans na zamążpójście, wprost przeciwnie, wiadomo, że dziewczyna jest normalna i do rzeczy.

Chłopak, z którym dziewczyna zaczyna „chodzić”, choćby kwitło między nimi najszybsze uczucie, zobowiązany jest wypłacać jej co tydzień pewną określoną sumę pieniędzy, w Ghanie może to być na przykład kilkanaście cedisów (nie-dużo). Praktyka wykazuje, że lepiej płacić regularnie i nie bawić się w skapca. Bo dziewczyny tego nie lubią. W akrańskim Weekly jest rubryka porząd sercowych pod tytułem: „Nana odpowiada”. Przeczytać tam można między innymi taką oto, powtarzającą się do znudzenia, skargę:

„Drogi Nana! Moja dziewczyna, z którą spotykam się od roku i którą bardzo Kocham, przestała nagle przychodzić na randki. Zupewnie nie mogę tego zrozumieć, bo zawsze byłem dla niej dobry. Nie biłem, nie krzyżkowałem, szanowałem ją w miejscach publicznych i nigdy nie zulekalem z wypłata, która wynosiła dziesięć cedisów tygodniowo. Poradz mi, co mam zrobić!”

Odpowiedź Nany brzmiała zwykle:

Znajdź sobie inną dziewczynę, bo twoja dotychczasowa ukochana znalazła już sobie z pewnością innego chłopca, i to takiego, co nie ma węża w kieszeni. Dziesięć cedisów, byś się wstydzili!

Nie wiem, czy rzeczywiście powinien się wstydzić. Z drugiej strony, w dzisiejszej dobie coraz częściej potwierdza się kontrparadokso: ubóstwo nie hańbi, ale nie ma znowu czym się chwalić. A już szczególnie w Afryce, gdzie jedynym nie-raz wyróżnikiem zamożności jest zegarek na ręce i rower o scentrowanych kołach. Młoda, ambitna dziewczyna musi myśleć o przyszłości. Nie stać jej w każdym razie na beztrojskie, czasochłonne igraszki miłosne, jeśli nie pomnaża to stanu posiadania. Liczy się każdy zaoszczędzony grosz, każdy zakupiony sprzęt, który później nie tylko ma znaczenie w przetargach matrymonialnych, ale stanowi również o jej lepszej lub gorszej pozycji w domu przyszłego męża.

trochę jakby zamszowych, niby z włosów, a tak, jakby bez jednego włoska. Czasami wyrastają symetrycznie z czaszki prawdziwe różki, romby, sterczyki i czterosiennie, miniaturowe piramidki. Czasami znowu rzecz polega na fantastycznej gamie przedziałków, ułożonych w najlepszej zgodzie i geometrycznym porządkiem w rozmaite trójkąty, kwadraty, elipsy i ostrołuki. Niektóre twarze noszą na policzkach ślady plemiennych nacięć; nieraz pionowe blizny po nich widać również na wargach.

Matki pracują cały czas z dziećmi na plecach. Niemowlak zamotany jest w chustę, którą kobieta podciąga pod jego pośladek i zawiązuje sobie w wężel na własnym brzuchu. Kiedy zbliża się do ciebie, nie wiesz wcale, że dźwiga na grzbiecie dziecko i dziwisz się, że wyrasta jej z obu boków dwie maleńkie, różowe piety. Jak ma dwoje dzieci, to drugie umieszcza sobie w identycznej pozycji na brzuchu i bliźniacza para pięt merda także z drugiej strony. Głównie niemowląt, zgodnie z prawem ciążenia, przekazywane są nieustannie na lewy lub prawy bok, co ma chyba prawo bu-

posługaczka u bogatych państwa czy też kelnerka.

Im lepiej taka kobieta pracuje, tym szybciej ma szansę doczekać się rywalki w postaci drugiej twojej żony, która też niebawem poślesz do ciężkiej roboty, aby czym prędzej doczekać się trzeciej. Jeśli masz ich już pięć albo sześć, możesz promiennie patrzeć w przyszłość — spacerujesz tylko w czystośćkim garniturze i dogladasz, a znajomi podrażniają cię z drugiej strony ulicy.

Sierra Leone jest znacznie biedniejszym krajem od Wybrzeża Kości Słoniowej, więc za żonę placisz tam stosunkowo taniej, ale dużo więcej od niej wymagasz, wysyłając ją małym rzeczonym stateczkiem do pracy w tropikalnym lesie. Ten las, wszechobecny, widać dokładnie z nabrzeża stolicy Freetown, w której gościła niedawno, płynąca z Falklandy, armada. Turysty i marynarze pokazują sobie ledwo widoczną, zarosniętą drzewami plamkę na przeciwległym brzegu rozlewiska, gdzie o pięć lat nad ranem schodzą się do wodopojów słońce i hipopotamy. Właśnie tam, w pobliżu, pracują teraz murzyńskie żony.

Jeśli chodzi o samą stolicę, jedyny ładny, piętrowy budynek w śródmieściu okazuje się domem pogrzebowym. Poza tym, są tam już tylko same rudery. No i nie kończące się szpalery straganów, za którymi w charakterze cierpliwych sprzedawczyń królują czarne piękności. Jeśli coś naprawdę potrafi je wyróżnić, podobnie zresztą jak w innych krajach Afryki, to chyba tylko nieprawdopodobnie pomysłowe bogactwo fryzur. Czego też z tych głów nie można zrobić! Czasami jest to parędziesiąt misternie utkanych warkoczyków przywodzących na myśl frezle wełnianego koca — matowych,

dzie niepokój białych neurologów. Tak czy owak, kobieta pracować musi, a niemowlak nie zostawi przecież bez opieki w domu. Zgina więc jak dzieło długi kark z tym ciężarem, dźwiga w idealnie pionowej pozycji wiadra z wodą, albo nosi na głowie kosze z owocami. Nie skarży się. Ktoś by pomyślał, że rozsądna Murzynka powinna za wszystkich sił unikać zamążpójścia. A przecież głos natury jest silniejszy. Nie unika. Daży do tego z bezsensownym na pozór uporem.

Na widok białego mężczyzny, choćby był brzydki i stary, młode dziewczyny, nie prostytutki bynajmniej, same wysuwają często miłosne oferty:

— Do you want me?

Niekoniecznie upatrzyła cię na męża, chociaż niektórym i takie szczęście się zdarza. Sprawa ciekawości seksualnej też nie jest tu kwestią rostrzygającą, aczkolwiek trzeba uczciwie powiedzieć, że ambicja każdej Murzynki i każdego Murzyna jest znaleźć chociaż raz w życiu intymny kontakt z białą rasą (w Europie, szczególnie w krajach, gdzie Murzyn jest mało, biali przejawiają podobne snobizmy). Czarna dziewczyna daży często, aby doczekać się z białym panem dziecka i wcale nie po to, aby później tego pana szantażować. Skąd! Sam fakt posiadania TAKIEGO dziecka jest już wystarczającą nagrodą. TAKIE dziecko nie ma prawa zginać, a część splendoru spadnie również na matkę. Toż to dziecko tuby, white man! W przyszłości wszystkie drzwi staną przed nim otworem. Kolor skóry będzie najlepszą przepustką. Wprawdzie nie ulega kwestii, iż genetycznie, czarna rasa jest dużo bardziej ekspansywna od białej i w krzyżówkach silniej z reguły wpływają na wierzch cechy negroidalne, ale... zawsze jakiś

Czy używa pan soli? — pyta się głos, a kamera przerywa nieszczeniowski posiłek i bacznie obserwuje, jak ten zryca z talerzy zabójczy chłerek sodu. Powyższy obrazek to nic innego, jak reklama telewizyjna, mająca odstraszyć konsumentów od stosowania soli i zachęcić ich do kupowania nowego, z powodzeniem zresztą sprzedawanego, substytutu. Reklama jest też swego rodzaju znakiem czasu; sól znalazła się dziś bowiem na cenzurowanym jako najbardziej szkodliwy pokarm roku, a być może i całej dekady.

Po latach uznawania jej za najlepszą i ulubioną przyprawę, za doskonałą i przedkładaną nad inne, środek konserwujący i odżywczy, Amerykanie mówią nagle soli — NIE! Z badań wynika, że 40 proc. ludności kraju stara się ograniczyć jej spożycie; według kalifornijskiego dietetyka, Ronald Deutscha, diamentowe kryształki stały się dziś kryształkami demonicznymi i wrogiem numer jeden w amerykańskiej kuchni. Deusch, wnikliwy obserwator wszelkich żywnościowych nowinek, mówi bez jakiegokolwiek szacunku: „Społeczeństwo amerykańskie bardzo łatwo ulega różnego rodzaju histeriom i modom. Jeśli chodzi o żywność, ostatnim przykładem jest sól”.

Histeria. Może to jest zbyt mocne słowo, jednakże nie brak przyczyn, które każą się zastanowić nad wpływem soli na nasze zdrowie. Wiadomo, że stosowanie soli w zbyt dużych ilościach, prowadzi do nadciśnienia, które z kolei jest przyczyną powolnych zgonów w Stanach Zjednoczonych każdego roku. Co czwarty Amerykanin cierpi na różnego rodzaju objawy nadciśnienia, chociaż według nich nie zdaje sobie z tego sprawy. Nadciśnienie, ten „cichy zabójca” przez lata pozostaje w ukryciu; brak jest często jakiegokolwiek symptomów, aż pewnego dnia nieoczekiwanie padamy ofiarą ataku serca, kończącego się śmiercią bądź niewydolnością fizyczną. Zarówno dla nieostrożnych jak i nieświadomych niebezpieczeństwa ludzi, brak umiaru w spożyciu soli jest także często działającym układem wspólnym nadciśnienia.

„Rozprawa” z solą (a właściwie z pierwiastkiem sodu, który jest w niej zawarty) nie jest kwestią ostatnich dni. Problem ten narastał już od dłuższego czasu. W połowie lat 70, w odpowiedzi na głosy społecznego protestu oraz krytykę ze strony przedstawicieli rządu i lekarzy, producenci żywności zaniechali dodawania soli do produktów dla dzieci. „Przesolone dzieciństwo” — twierdzą wówczas — oznacza przyzwyczajenie organizmu do stosowania soli przez całe życie. Od dawien dawna lekarze zalecali przy nadciśnieniu ograniczenie soli. Co ważniejsze, badania wykazały związek między ilością soli, spożywaną przez społeczeństwo a rozmiarami i częstotliwością występowania nadciśnienia. Od drugiej wojny światowej, głównie z powodu wzrastającej popularności produktów gotowych (poddanych konserwacji przy użyciu soli, „obrabianych” chemicznie i mrożonych), jak również skłonności do spożywania posiłków poza domem, Amerykanie zaczęli używać olbrzymich wręcz ilości soli. Dziś przeciętny, dorosły obywatel USA konsumuje dziennie dwie i pół łyżeczki soli, czyli 20 razy więcej niż wymaga tego organizm. Około 35 mln ludzi cierpi na nadciśnienie; liczba ta wzrosła do 60 milionów, jeśli uwzględnimy tzw. lekkie przypadki. Prawie połowa ludności powyżej 65 roku życia odczuwa na własnym ciele te dolegliwości. Dr Lot Page, główny lekarz — specjalista chorób nadciśnienia w bostońskim szpitalu Newton-Wellesley stwierdza: „Związek między solą i nadciśnieniem jest ścisły jak między wysokim poziomem cholesterolu we krwi i chorobami serca”.

Lekarze i dietetycy zgodnie podnoszą krzyk przeciwko nadużywaniu soli. Naukowcy — twierdzi dr Henry Blackburn z Uniwersytetu Minnesoty — mają społeczny obowiązek nawoływać do ograniczenia spożycia soli; jest to jeden ze sposobów poprawy zdrowia społeczeństwa. Generalnie, Amerykanie są coraz bardziej świadomi niebezpieczeństw, jakie czają się w spożywaniu przez nich pokarmów. Sacharyna, azotany, cukier, a ostatnio sól, wszystkie te substancje są podejrzane. Niewiele osób w USA jest tak mocno zaangażowanych w kampanie przeciwko soli, jak Craig Claiborne, felietonista z NEW YORK TIMESA, piszący na tematy żywnościowe. Z naukowego „pozeracza” soli stał się agitorem na rzecz rezygnacji z niej, po tym, jak lekarze stwierdzili u niego wysokie nadciśnienie i zalecili mu, z pomysłowym skutkiem, stosowanie niskosolnej diety. Mówiąc o tych szatańskich kryształkach, Claiborne wali prosto z mostu: „Producent żywności powinien na artykułach zamieszczać dokładną informację o ilości soli oraz ostrzegać, że jej stosowanie jest szkodliwe dla zdrowia, tak, jak to jest z papierosami”.

Sprawa wprowadzenia odpowiednich oznakowań na opakowaniach, nie tyle może ostrzegających, co po prostu informujących o zawartości soli, zajmuje się obecnie wiele instytucji. Są to m. in. Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne, Amerykańskie Stowarzyszenie Kardiologiczne, Krajowy Instytut Serca, Płuc i Krwi oraz Amerykański Urząd do spraw Żywności i Leków. Naszym głównym i najbliższym zadaniem, stwierdza dietetyczka Stephanie Crocco, z Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego, jest niesienie pomocy ludziom, u których stwierdzono już nadciśnienie, troszczymy się również o tych, którzy używają soli w ilościach daleko przekraczających wszelkie dopuszczalne normy. W przypadku nadciśnieniowca — dodaje — ograniczenie spożycia soli (obok zmniejszenia wagi) może przyczynić się do obniżenia ciśnienia krwi i w efekcie zapobiec groźniejszym następstwom. Niedawno w Waszyngtonie odbyło się ogólnokrajowe spotkanie lekarzy, dietetyków oraz przedstawicieli rządu z reprezentantami przemysłu spożywczego; omawiano szczegóły oznaczania zawartości soli na opakowaniach artykułów, jak również sposoby ograniczania bądź nawet całkowitego eliminowania soli z gotowych produktów. Głównym mówcą był Arthur Hull Hayes, komisarz Urzędu do spraw Żywności i Leków, jeden z czołowych inicjatorów i rzeczników kampanii przeciwko soli. Hayes zanim w ubiegłym roku objął wyższe stanowisko, przez osiem lat był dyrektorem Kliniki Chorób Nadciśnienia w Hershey, w stanie Pensylwania. Tam zaobserwował zębne skutki soli; równocześnie do frustracji doprowadził go fakt, że pacjenci, którym lekarze zalecali niskosolną dietę, nie byli w stanie zastosować się do niej, nawet jeśli bardzo tego chcieli. Przyczyna: ludzie nie wiedzą po prostu, ile sodu zawierają poszczególne produkty spożywcze, bądź składniki składające się na nie.

Dla laika sprawa nie jest rzeczywiście taka prosta: sól (sód) występuje bowiem w zupełnie nieprawdopodobnych ilościach. Ograniczenie spożycia soli nie sprowadza się wcale do wykreślenia z naszego jadłospisu ogórków kiszonych, marynatów, słonych paluszków, dżemu ze smaczkową seradela czy też odrzucenia w ką solniczki. Mało kto wie, że porcja czekoladowego budyniu może zawierać dwa razy więcej sodu niż mała torebka frytek, że w pudełeczku białego serka znajduje się trzykrotnie więcej tego składnika niżeli w garści słonych orzeszków ziemnych. Obecność sodu w proszku do pieczenia oraz w sódzie oczyszczonej w efekcie sprawia, że przetwory zbożowe i produkty pieczone stanowią największe jego źródło w jadłospisie wielu Amerykanów. Podobnie rzecz się ma z wieloma sodyowymi środkami konserwującymi żywność czy substancjami smakowymi. Trzeba stwierdzić, że różni producenci stosują różne metody wytwórcze: wiele z nich narodziło się jeszcze przed tym, kiedy zaczęto wskazywać na szkodliwość soli.

Hayes nakreślił już główne cele i zadania w tej wielkiej krucjacie antysodowej. Podporządkowując się polityce prezydenta Reagana

ograniczonej ingerencji państwa w sprawy gospodarki, Hayes wybrał metodę „dobrowolnego” wcielenia w życie swoich idei. Stosując na przemian perswazję i nacisk, grożąc „wprowadzeniem ustawowego obowiązków”, jeśli producenci nie zrezygnują z nim współpracować, osiągnął już pewien sukces. Generalnie, celem Hayesa jest przekonanie biznesmenów o konieczności: a. oznaczania zawartości sodu, b. zredukowania ilości sodu w produktach gotowych, c. zmiany procesu wytworzenia tak, aby potem podczas przygotowywania produktu do jedzenia, użycie soli pozostawione było całkowicie decyzji gotującego (dobre z solą i bez), d. oferowanie klientom większej ilości produktów zupełnie bez sodu, bądź zawierających niewielkie jego ilości. Hayes zamierza również przeprowadzić wśród konsumentów szeroką akcję wyjaśniającą, jak rozumieć oznaczenia na opakowaniach i korzystać z nich. Wierzy on w zwycięstwo obecnej kampanii; kiedy Urząd do spraw Żywności i Leków zapoczątkował w kwietniu 1981 roku antysolną krucjatę, zaledwie 13 procent zarejestrowanych w Urzędzie artykułów posiadało oznakowania. Przypuszcza się, że do końca 1982 roku wskaźnik ten będzie znacznie wyższy, w granicach 33—50 procent. I rzeczywiście, coraz więcej firm spożywczych dobrowolnie zamieszcza na swoich produktach odpowiednie informacje. Wiele też wprowadza na rynek nowe niskosolne bądź bezsodowe artykuły; w sklepach pojawiają się „inne warianty” tego samego rodzaju: groszku, makaronu czy mięsa. Potężny McDonald, który rocznie sprzedaje setki tysięcy ton hamburgerów, frytek i innych smażonych specjalów, przeprowadził badania zawartości sodu w wytwarzanych i sprzedawanych przez siebie produktach. Klienci, na życzenie, otrzymują teraz odpowiednią informację, zawartą w karcie proponowanych dań.

Czy sól jest wrogiem człowieka?

Osiągnięcia te nie robią jednak wrażenia na Albercie Gore, kongresmenie z Tennessee, który jest głównym sprzymierzeńcem Hayesa, w kampanii na rzecz oznakowań. Uważa on bowiem, że cała ta „dobrowolna” akcja nie przyniesie zamierzonych celów i skazana jest na niepowodzenie. Zdaniem Gore’a, niezbędne jest ustawowe zatwierdzenie sprawy. Wspólnie z członkiem Izby Reprezentantów ze stanu Iowa, Neallem Smithem, opracował on projekt ustawy, przewidującej obowiązek oznaczania zawartości sodu i potasu (powyżej 35 mg) na wszystkich produktach puszkowych oraz powstałych w procesie przetworzenia. Chodzi tu o produkty, wymienione w Ustawie o Żywności, Lekach i Kosmetykach. Mimo poparcia dla projektu ze strony części członków Izby Reprezentantów, Gore wyraża jednak niepokój co do przyszłości jego ustawy. Sól jest wciąż najtańszym środkiem dla podniesienia wartości smakowych i zapachowych, twierdzi; pogoni za zyskiem i konkurencją sprawiają, że producenci stosują w produktach sól, nie informując o tym konsumentów. To samo gnębi również innego kongresmena, Henry Waxmana z Kalifornii: „Mamy trudności z uzyskaniem głosów dla uchwalenia ustawy z powodu nacisków przemysłu”. Jednym z argumentów przemysłu spożywczego przeciwko oznaczaniu zawartości sodu jest brak wśród lekarzy jednoznacznej opinii na temat szkodliwości soli. Rzecz się ma podobnie, twierdzą oponenci, jak z papierosami i rakiem, czy cholesterolami i chorobami serca.

Statystycznie jednak, związek jest bardzo wyraźny. W krajach, gdzie spożycie sodu jest wysokie, notowane jest wśród mieszkańców również wysokie nadciśnienie. Najbardziej uderzającym przykładem może być Japonia, gdzie miejscowa kuchnia oparta jest w znacznej mierze na tłustych produktach, jak ryby, marynaty i sosy; zakłada się więc, że przeciętny Japończyk spożywa dziennie prawie trzy łyżeczki soli. W

południowych regionach kraju, gdzie sól stosowana jest szeroko jako środek konserwujący, sześć łyżeczek, a nawet więcej nie jest czymś niezwykłym. To prawdopodobnie największe na świecie spożycie sodu pokrywa się z najwyższym przypuszczalnym poziomem nadciśnienia na naszym globie: w niektórych japońskich wioskach, co najmniej 40 procent mieszkańców ma wysokie ciśnienie krwi. Wprawdzie brak jest danych o rozmiarach występowania nadciśnienia wśród całej ludności Japonii, jednakże wiadomo, że najczęstszą przyczyną śmierci Japończyków, jest wylew krwi do mózgu.

Japonia i USA są państwami o skomplikowanych społecznościach, stąd też nadciśnienie może być wywoływane również przez inne niż sól czynniki, m. in., przez stresy. Bardziej przekonujące dowody szkodliwości soli znaleźć można w mniej złożonych kulturach społecznych, w których widać jeszcze możliwe jest spotkanie ludzi, stosujących w swym biednym, prymitywnym życiu, niewiele soli. Szczepcy na Nowej Gwinei, w Amazonii, Malezji czy w Ugandzie spożywają jej generalnie bardzo mało. Nadciśnienie jest wśród nich właściwie nieznaną, zaś ciśnienie krwi u poszczególnych członków nie wzrasta równoległe z wiekiem, tak jak to jest w USA i w innych kojących soli narodach. Stwierdzono, że z chwilą wprowadzenia większej ilości soli do jadłospisów nie nadużywających jej społeczności, ciśnienie krwi znacznie wzrasta.

Przeciwnicy oznaczania zawartości soli na opakowaniach, a jest ich немало, twierdzą, że akcja ta stawia w niekorzystnej sytuacji przemysł spożywczy oraz narzuca „niezainteresowanej” większości rozwinięta, których domaga się jedynie „mniejszość”. Ludzie lubią sól — twierdzi William Dickinson, dyrektor Instytutu Sól, który reprezentuje producentów w USA i za granicą; bez

niej nie smakuje żadne pożywienie. Jeśli ją wyeliminujemy — dodaje — wiele produktów znajdzie się szybko w koszu na śmieci. Dickinson przeciwny jest oznaczaniu zawartości soli. Jeśli już — twierdzi — należałoby to uczynić również w stosunku do tłuszczów czy kalorii. Nie bez znaczenia jest ponadto sprawa kosztów tej operacji; cena oznaczonego produktu wzrasta bowiem średnio 1—5 procent.

Mimo sprzeciwów i kontrargumentów przemysłu, szeregowi obywatele USA poparli kampanie przeciwko soli; ich gusta zdają się gwałtownie zmieniać. Producentom, działającym na rynku, na którym ponad 40 milionów konsumentów dba o swoje ciśnienie, nie pozostaje nic innego, jak odpowiedzieć na te zmiany. „Nowe” widoczne jest nie tylko w sklepach, ale również i w restauracjach; George Badonsky, właściciel włoskiej restauracji w Chicago, nadal serwuje mocno przyprawione dania, lecz coraz więcej klientów skarży się, że są one zbyt słone i rezygnuje z ich zamawiania. Inaczej jest w barze „U Eddy’ego” w Houston; tutaj proponuje się klientom niskokaloryczną i niskosolną kuchnię francuską, zaś na stołach nie uświadczyć solniczek. W czasie lunchu jest tu zawsze pełno ludzi.

Amerykanów ogarnął istny szal ograniczania spożycia soli. Aby cel ten osiągnąć, bez uciekania się jednak do asetycznych praktyk, Amerykanie uczą się; kupują książki, chodzą na kursy, wymieniają między sobą poglądy i doświadczenia. Gazety, magazyny kobiece niemal w każdym numerze zamieszczają przepisy o niskiej zawartości soli. Na rynku księgarskim pojawiły się jak grzyby po deszczu liczne książki kucharskie, proponujące potrawy dla każdej kieszeni i dla każdego podniebienia; najbardziej wyrafinowane propozycje zawierają dwa tytuły: „Kuchnia dietetyczna dla smakoszy” wspomnianego wyżej Craiga Claiborne’a oraz „Smakowite potrawy bez soli” pióra Eleanor Brenner (proponują one m.

in niskosolny paszтет, a także suflety, czy wreszcie taką egzotykę, jak Baba Ghanouj — bakłażany w sosie sezamowym). Inną metodą jest kurs, podczas którego uczestnicy poznają m. in. nowe sposoby przyrządzania posiłków oraz uczą się właściwego odczytywania oznakowań na produktach. Szóstogodzinny kurs, zorganizowany przez Tufts University w Bostonie kosztuje 105 dolarów. Jego uczestnicy otrzymują również wykaz tych restauracji w mieście, które przygotowują na życzenie dania o niskiej zawartości soli. Don Jackson, administrator szpitala w Bostonie, u którego stwierdzono nadciśnienie, uważa, że kurs dał mu dużo dobrego; nauczył się na przykład rozszyfrowywania oznakowań, w doskonałym tego słowa znaczeniu.

Rodzi się pytanie: Jeżeli sól jest tak szkodliwa, o czym wie coraz więcej ludzi, dlaczego więc cieszy się ona tak dużą popularnością? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Brak jest dowodów, że zamiarowanie do soli jest cechą wrodzoną. Niemowlęta wykazują generalnie wyraźną skłonność do rzeczy słodkich, chociaż i tu można spotkać jednostki akceptujące również i sól. Ostatnie badania wykazują, że niemowlaki te mają wyższe ciśnienie krwi niż ich „typowi” rówieśnicy; są też, tym samym, potencjalnymi nadciśnieniowcami w przyszłości.

Podwierdzeniem narodzin nowej ery (mody) w kuchni amerykańskiej mogą być wyniki działalności wielkiego koncernu Morton’s, który zajmuje się handlem solą. Otóż w minionych pięciu latach zanotował on spadek sprzedaży soli o 10 procent. Norwicz nie musi się jednak tym zbyt martwić, jako że w tym samym czasie sprzedaż produkowanych przez firmę różnego rodzaju substytutów soli wzrosła o 12 procent. Handlowcy informują, że substytuty — prawdopodobnie dzięki reklamie w telewizji — sprzedawane są tak szybko, że niemożliwe jest nawet robienie zapasów. Większość z nich produkowana jest w oparciu o chłerek potasu. Substytuty przypominają wprawdzie w smaku sól, lecz czasami są tak gorzkie, że prawdziwi smakosze unikają ich całkowicie. Według niektórych lekarzy mogą być one szkodliwe dla zdrowia; potas zawarty w substytutach, stosowanych w zbyt dużych dawkach, może wywoływać wrzody żołądka, zaś w niektórych chorobach nerek, nawet mała ilość może być śmiertelna.

Ludziom, którzy wystarczają się soli, z pomocą pospieszyła również technika. Firma elektroniczna Mattel Electronics wypuściła niedawno na rynek „dietetycznego tropiciela”, nowy komputer kieszonek, przeznaczony specjalnie do kontrolowania ilości spożycia cholesterolu, kalorii i sodu. Wystarczy zakodować artykuły, które zamierzamy spożyć, a komputer błyskawicznie poda zawartość sodu co do miligramu. Prawidłowo zaprogramowany, wysła nawet ostrzegawczy sygnał dźwiękowy, jeśli dawka przekracza dopuszczalne normy. Tak głębokie i powszechne zainteresowanie Amerykanów solą wcale nie oznacza, że to oni są właśnie pierwowzorem ludzi, którzy na stole zaczęli poszukiwać przyczyn wysokiego ciśnienia krwi. Otóż już w 27 wieku przed naszą erą, cesarz chiński, Huang Ti, zauważył, że „kiedy spożywa się zbyt dużo soli, twardnieje wówczas tętno”. Historia milczy na temat losów tej pierwszej w dziejach ludzkości krucjaty przeciwko soli, lecz jedna rzecz jest pewna: od SALT Lake City do SALTburga nie znajduje się dziś międzynarodowej kuchni, która nie stosowałaby soli, chociażby tylko do smaku. Pekinśkie kluski nie będą smakowały, jeśli nie dodamy kilku kropel słonej soli. Turcy nacierają bakłażany solą, i jest to rzecz oczywista. Włosi gotują swój słynny makaron w solonej wodzie. Nawet francuska „nouvelle cuisine”, lekka i wyszczuplająca, byłaby niesmaczna i mdła bez szczyptki chlorku sodu. Biorąc pod uwagę wysokie wciąż spożycie soli na świecie, trzeba przyznać, że niewiele, a może i nie nie zmieniło się od starożytnych czasów, kiedy to w sanskrypcie ukuto przysłowie o sześciu smakach, z których najważniejszym jest sól.

Amerykańskie przestrogi o szkodliwości nadużywania soli nie pozostały jednak tak zupełnie bez echa poza granicami USA. Oto brytyjski lekarz zaczynał również traktować sól jako problem medyczny lat 80. W RFN, tamtejsze Federalne Stowarzyszenie Lekarskie, wspólnie ze Związkiem Walki z Wysokim Ciśnieniem Krwi, rozpoczęło ogólnopolską kampanię na rzecz „oszczędnego stosowania soli”; wśród zaleceń lekarzy, których przestrzeganie warunkuje likwidację nadciśnienia, sól znajduje się na trzecim miejscu. Głosy sprzeciwu coraz donośniej slychać we Francji, podobnie jak i w „masyłonej” wręcz solą Brazylii; w kraju tym około 40 procent ludności, jak się przypuszcza, odczuwa dolegliwości z powodu wysokiego ciśnienia.

Wielu zagranicznych dietetyków powątpiewa jednak, czy ograniczenie spożycia soli rzeczywiście ma duży wpływ na nadciśnienie. Z badań naukowców szwedzkich wynika, że aby obniżyć ciśnienie, dzienne spożycie soli musiałoby spaść do poziomu jednej ósmej normalnej ilości; wydaje się to być prawie niemożliwe, biorąc pod uwagę wysoką zawartość soli w większości gotowych produktów Zachodniomiejscowej diety. Hans Jurgen Holtmeier, zauważa, że chociaż Niemcy przez cztery lata poprzedzające drugą wojnę światową, spożywali dwa razy więcej soli niż obecnie, nie stwierdzono wówczas jakiegokolwiek znacznego wzrostu ciśnienia. Bardziej niż sól martwi Holtmeiera o wiele groźniejsza dla zdrowia otyłość obywateli RFN, którą uważa się za głównego działy sprzymierzeńca nadciśnienia. Również lekarze z Norwegii są bardziej zaniepokojeni zbyt tłustym pożywieniem współobywateli, aniżeli ilością soli, używaną do przyprawiania.

Wszystkie te rozbieżności mają niewielkie znaczenie w przypadku krajów Trzeciego Świata, gdzie sól jest niezbędnym elementem składkowym często ubożego jadłospisu. Tropikalny klimat sprawia bowiem, że organizm człowieka, wydając spore ilości wody domaga się nieustannie sodu. Mając prawo wyboru między sklepem z cukierkami a bryłą soli, dziecko z afrykańskiej wioski na pewno wybierze to drugie. W ostatnich latach dyktatorskich rządów Idi Amina, popyt w Ugandzie na sól był tak ogromny, że jej pojawienie się na bazarach w Kampali wystarczyło, by wywołać zamieszki.

Wysilki w celu wyeliminowania soli z pożywienia i ze stołów napotykała często sprzeciw ze względu na gust i przyzwyczajenia ludzi, ukształtowane przez całe stulecia. Przykładowo, właściciele pubów w górniczych okolicach Wielkiej Brytanii (był to powszechny obrazek w przeszłości) stawali na ładach talerzyki z solą, z myślą o swojej czarnej, zmęczonej klienteli. Ta popijająca po pracy piwko, „zagryzała” je solą. Potwierdza to tylko znany dziś i uznawany pogląd, że organizm pracownika fizycznego, który poci się podczas wykonywania ciężkiego zajęcia, potrzebuje soli. Rosjanie — kolejny przykład — witają swoich gości chlebem i solą, zaś do wódki podają słoną zakaskę.

Mimo ostrzeżeń Amerykanów, sól zdaje się nadal niewzruszenie królować w wielu kuchniach świata. „Kto chciałby zrezygnować z soli tylko dlatego, że zagraża ona zdrowiu?” — pyta smakosze z Hongkongu, niepomny spostrzeżeń starożytnego cesarza.



CLAUDIA WALLIS („TIME”)

Foto: M. Zajdler

Życie na Stoku

(3)

WACŁAW OPACKI

20 kwietnia br. przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi zakończył się proces Krzysztofa Sołtysiaka, który dzięki sadyzmowi i okrucieństwu z jakimi atakował swoje młode ofiary, dzieci również, zyskał w opinii publicznej miano „wampira”. Sąd — prócz młodego wieku oskarżonego, nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących. W ostatnim słowie oskarżony nie chciał bądź nie umiał powiedzieć dlaczego popełniał tak

okrutne zbrodnie, zaś biegli psychiatrzy uznali jego pełną poczytalność umysłową. Uwzględniając te okoliczności Sąd Wojewódzki w Łodzi skazał Krzysztofa Sołtysiaka na karę śmierci, oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze. Wyrok może być zaskarżony do Sądu Najwyższego. W cyklu reportażu autor kreśli sylwetkę „wampira” oraz przedstawia przebieg śledztwa prowadzonego w tej wstrząsającej sprawie.

W trakcie tej rozmowy był swobodny, wesoły, roześmiany. Zapytany przez pielęgniarkę o dolegliwości i życzenia nie zgłosił żadnych. W trakcie obchodu lekarskiego odpowiadał na pytania rzeczowo, skarg nie zgłaszał. Po obchodzie nawiązał ponownie swobodny kontakt z pacjentami, brał udział w życiu oddziału, wychodził na spacer. Psychiatrzy zanotowali, że w trakcie dalszej obserwacji zachowanie badanego nie ulegało zasadniczym zmianom. Był on w dobrym i rzeczowym kontakcie z pacjentami, chętnie przebywał w towarzystwie pacjentów, z niektórymi zaprzyjaźniał się... korzystał także z programów telewizyjnych. Nie było z nim żadnych kłopotów wychowawczych. Podporządkowany poleceniom personelu, nie wchodził w konflikty z pacjentami ani też nie był niegrzeczny lub agresywny w stosunku do personelu oddziału zarówno męskiego jak i kobiecego. W nocy spał dobrze, dobrze też jadł. Skarg żadnych nie zgłaszał. Nawet chwalił pobyt w szpitalu, nie próbując przyspieszyć zakończenia obserwacji ani nie dopytując się o termin jej zakończenia.

„Nie stwierdzono patologicznego zamknięcia się w sobie, nie produkował wypowiedzi o charakterze psychotycznym. Afektywnie dość żywy. W trakcie badań w czasie wizyt lekarskich i badań w gabinecie nie stwierdzono zaburzeń toku myślenia. Nastrojów wyrównany, naped psychoruchowy w normie. Omamów nie stwierdzono. Podał się proponowanemu badaniom dodatkowym”.

Biegli psychiatrzy przeprowadzili także wywiad od rodziców, którzy uważają, że syn był skryty, zamknięty w sobie. Gdy zwracano mu uwagę młodził, gdy był karany — nie płakał. Mało serdeczny w stosunku do rodziców. Nie miał bliskich kolegów, wolał być samotny. Miał zainteresowania majsterkowaniem, dużo czytał książek. W stosunku do rodzeństwa również zachowywał rezerwę. Rodzice podają, że są nerwowi, okresami małżeństwo ich było dobre. W domu były awantury. Myśleli nawet o rozwodzie. Uważają jednak, że syn nie reagował na sytuację w rodzinie.

„Badania dodatkowe: płyn mózgowo-rdzeniowy cięty 2/3. Białko 20 mg proc. Cukier 65 mg proc. Odczyny białkowe ujemne. Krzywa złotowa prawidłowa. Odmowa mózgowia; widoczny obraz odmowy mózgu przedstawia się prawidłowo, RTG czaszki bez zmian patologicznych. Badanie elektroencefalograficzne wykonane w dniu 3 grudnia 1981 r. przedstawia się prawidłowo. Zapis prawidłowy. Wassermann we krwi i płynie mózgowo-rdzeniowym przedstawia się prawidłowo”.

W trakcie obserwacji badania przeprowadził dr Zbigniew Lew Starowicz, biegły w zakresie seksuologii i psychiatrii. Jego zdaniem rozwój psychoseksualny badanego od najwcześniejszej fazy miał nieprawidłowy charakter. Życie rodzinne nie dało możliwości rozwinięcia się prawidłowej socjalizacji. Kontakty rówieśnicze dotyczyły specyficznego środowiska zakładu poprawczego. Brakowało związków heteroseksualnych. Istniejące potrzeby seksualne przy braku treningu w kontaktach heteroseksualnych, cechach osobowości nieprawidłowej sprzyjały rozwinięciu się zachowań agresywnych wobec kobiet, które przybrały u Sołtysiaka formę skrajnego gwałtu i sadystrycznych tendencji, przechodzących w okrucieństwo. Szczególnie formy wspomnianej agresji wyrażającej się głęboką frustracją, poczucia własnej wartości meskiej w oczach kobiet i potrzebę ukarania ich za to, są zarazem zgodne z kierunkiem rozwoju osobowości. W konkluzji dr Starowicz podkreślił, że roz-

poznał u Sołtysiaka osobowość nieprawidłową oraz patologiczną formację psychoseksualną w postaci sadyzmu seksualnego. Zdolność rozumienia znaczenia czynów i kierowania swoim postępowaniem nie była ograniczona.

Psychiatrzy: Wanda Poniatołowska-Nawrocka, Daniel Siwek i Józef Mielczarek po zapoznaniu się z tą opinią, obserwacji szpitalnej i badaniach dodatkowych wykluczyli istnienie u Sołtysiaka objawów choroby psychicznej; „nie stwierdziliśmy objawów choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego ani cech zespołu psychoorganicznego. Stwierdzamy natomiast, że Krzysztof Sołtysiak rozwijał się w niesprzyjającej atmosferze domowej i wcześniej ujawnił on znaczne nieprzystosowanie do harmonijnego współżycia w społeczeństwie. Powyższe pozwala na stwierdzenie u Krzysztofa Sołtysiaka zaburzeń osobowości oraz zgodnie z rozpoznaniem seksuologa zaburzeń psychoseksualnych w postaci sadyzmu... Brak jest podstaw do przyjęcia, aby w stosunku do zarzucanych mu czynów miał on zniechęconą lub w stopniu znaczącym ograniczoną zdolność rozumienia znaczenia lub kierowania swoim postępowaniem”.

5 kwietnia 1982 roku o godz. 9 w sali rozpraw nr I, III wydziału karnego Sądu Wojewódzkiego w Łodzi rozpoczął się proces. Sąd w składzie: SSW Jerzy Frątczak, SW T. Kwasiński oraz ławnicy: T. Zwierzyńska, E. Jacak, W. Kozulski, z udziałem prokuratora A. Dynowskiego, pełnomocnika oskarżyciela posiłkowego mec. Z. Wentlandta oraz obrońcy — mec. Jerzego Stefaniaka.

Sąd najpierw dokonał szeregu czynności formalno-prawnych, potem dopiero udzielił głosu oskarżycielowi.

Głos ma prokurator: — Oskarżam Krzysztofa Sołtysiaka s. Jana i Czesławy ur. 23 lutego 1962 roku w Łodzi, pochodzenia społecznego robotniczego, o wykroczeniu podstawowym, kawalera, dzieci nie posiadającego, z zawodu spawacza, bez majątku, zamieszkałego w Łodzi... od 21 maja 1977 roku przebywającego w Zakładzie Poprawczym w Łaskowcu, karanego z art. 203, 208 i art. 214 § 1 kk, tymczasowo aresztowanego od dnia 19 września 1980 roku... Prokurator potem odczytał zarzuty, w tym 2 zabójstwa, 2 usiłowań zabójstwa, 4 zgwałceń i kilkunastu kradzieży... wraz z obszernym uzasadnieniem.

Obszerne wystąpienie zakończył: — Rodzaj narzędzi: metalowy łom — pręt o wadze 1,97 kg oraz metalowa kulka o wadze 1,42 kg, których oskarżony używał w przypadku zabójstwa Elżbiety W. i Anety M. i usiłowania zabójstwa Beaty J. oraz ilość i sposób zadanych nimi ciosów, w sposób nader oczywisty stanowi o tym, że oskarżony zadając silne ciosy, tak łomem jak i kulą, w głowy swych ofiar działał w bezpośrednim zamiarze pozbawienia ich życia... Na wyraźne pytanie sądu oskarżony odpowiedział: — Zrozumiałem akt oskarżenia. Przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Chcę składać wyjaśnienia, ale proszę o zadawanie mi pytań... Przez cały dzień oskarżony składał wyjaśnienia: sucho, beznamiętnie, żadnego drżenia głosu.

7 kwietnia zeznawała m. in. Genowefa M.: — Oskarżonego znam od dziecka. Był bardzo spokojnym chłopcem, ale nie lubił chodzić do szkoły, często wagarował, nie wracał do domu. Świadczenie zeznawał przez następne dwa dni. Potwierdzali ustalenia zawarte w aktach postępowania przygotowawczego. Mówili o makabryczności popełnionych zbrodni. Ukazywał

się obraz człowieka, obecnie siedzącego na ławie oskarżonego, jakże okrutnego, jakże bezwzględniego.

20 kwietnia, po jedenastu dniach przerwy, zatądzonej wskutek nieobecności biegłych — zeznawali biegli psychiatrzy. Powtórzyli swoje wnioski zawarte w pisemnej opinii skierowanej do sądu. Sąd zapytał ich także o motywację czynów. Odpowiedzieli: — Motywacja czynów nie wchodzi w zakres psychiatrii. Myślny zeznali, że motywacja u oskarżonego to z jednej strony zaniedbania wychowawcze, zaburzenia osobowości oraz patologiczna formacja psychoseksualna pod postacią sadyzmu.

20 kwietnia sąd wysłuchał też głosów stron. Prokurator po długim wywodzie zażądał dla oskarżonego trzykrotnej kary śmierci, jednej kary 25 lat pozbawienia wolności oraz dwukrotnie 5 lat pozbawienia wolności oraz jako kary łącznej: kary śmierci i pozbawienia praw publicznych na zawsze.

Argumentację rzecznika oskarżenia publicznego poparł pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego, wnosząc o wzięcie pod uwagę tych okoliczności przy wydawaniu wyroku.

Obrońca zażądał kary łącznej 25 lat pozbawienia wolności. Przed udaniem się na naradę oskarżonemu przysługuje ostatnie słowo. Krzysztof Sołtysiak milczy. Po kilkakrotnej indagacji oświadczył, że nie chce odpowiadać.

20 kwietnia 1982 roku Sąd Wojewódzki w Łodzi ogłosił także wyrok: „Krzysztofa Sołtysiaka uznaje winnym dokonania zarzucanych mu czynów...”.

Przewodniczący wymienił wyrok za poszczególne przestępstwa oraz: „na podstawie art. 66 i 68 wymierzone kary łącząc skazując Krzysztofa Sołtysiaka na karę śmierci z pozbawieniem praw publicznych na zawsze. Zwalnia oskarżonego od opłaty sądowej i opłaty na rzecz Zespołu Adwokackiego za udział obrońcy z urzędu, zaś koszty postępowania w sprawie przejmując na rachunek Skarbu Państwa...”.

Kilka dni po wyroku odbyłem dłuższą rozmowę z przewodniczącym sądu sędziowskiego Jerzym Frątczakiem.

Sędzia powiedział: — Znam sędziów, którzy takiej kary w ogóle nie wymierzali. Trzeba bowiem powiedzieć, że sędziowie po tę eliminacyjną karę bardzo niechętnie sięgają.

Generalnie jestem przeciwnikiem wymierzania i stosowania kary śmierci. Generalnie — zaznaczam. Trzeba jednak się zastanowić, czy jeszcze w obecnej sytuacji — wysokiego zagrożenia przestępczością nie powinna ona jednak istnieć. Jestem dopiero po raz drugi w składzie sędziowskim, który wymierza karę śmierci. Dobrych lat temu kilka wyrokowałem właśnie w sprawie wielokrotnego mordercy — Modzelewskiego z Galkówka. Przytaczając sprawę Modzelewskiego, jak i tę dochodzi się do wniosku, że w tego rodzaju wypadkach — sprawców wyjątkowo okrutnych i bestialskich nasuwa się konieczność eliminacji sprawcy ze społeczeństwa. Czy istnieje bowiem inna niż taka drastyczna forma? Czy może się społeczeństwo uchronić od osób zdegenerowanych, nie stosując kary śmierci?

Postawmy się w roli osób pokrzywdzonych — rodzin ofiar. My — sędziowie nie możemy się stawić w takiej roli, ale społeczeństwo żąda kary najwyższej, żadne bowiem jest odwetu. Tak, kara śmierci nie jest na pewno karą humanitarną, jest po prostu społecznym odwetem. Ale w takich przypadkach wydaje się to jedynie słuszną karą za przestępstwo, którego dopuścił się sprawca. W przekonaniu sądu jest to zatem jedynie sprawiedliwa kara, którą traktujemy także jako zadośćuczynienie społecznemu poczuciu sprawiedliwości. Jest to także uzasadnione potrzebą ochrony społeczeństwa.

— Czy w tym przypadku nie jest to zemsta na dziecku? Krzysztof Sołtysiak w chwili popełnienia zabójstwa miał lat osiemnaście, obecnie ma lat 20...

— My patrzymy w sensie karania, a nie patrzymy w kontekście tego co zrobił. Co zrobił Sołtysiak np. z 8-letnią Anetą M. To dziecko nie widziało w człowieku wroga. Sołtysiak popełnił czynny wyjątkowo okrutny i bestialski. Kilkakrotnie uderzył głowę dziecka żelazną kulą, pociął ostrym narzędziem brzuch...

Tak jak jestem generalnie przeciwny, tak jeszcze w obecnych czasach musi ona jeszcze mieć miejsce, by nasze dzieci były spokojniejsze. Byłbym za natychmiastową likwidacją kary śmierci, gdyby wymierna została taka kara, która by karała takim Sołtysiakowi śnić się po nocach. Niestety, takiej kary nikt jeszcze nie wymyślił...

Prokuratura na początku stycznia 1981 roku przelała akt oskarżenia do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi. Sąd musiał znaleźć czas na zapoznanie się z obszernym materiałem dowodowym zebrany w toku postępowania przygotowawczego. Przede wszystkim sąd musiał ocenić materiał dowodowy pod względem formalno-prawnym. Często czegoś orakuje, np. zapytania o karalność podejrzanego. Sąd wtedy nie robi tego sam, a zwraca akta prokuratorowi w celu ich uzupełnienia.

Czy w sprawie Krzysztofa Sołtysiaka w aktach mogło czegoś brakować? Chyba nie. Są bowiem obszerne wyjaśnienia oskarżonego, w których przyznaje się do zarzucanych mu czynów. 18 listopada 1980 roku kpt. Aleksander Białek, Henryk Grossman i st. sierż. Zbigniew Górski — z wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Łodzi z udziałem prokuratora Mariana Niesyto — dokonali oględzin i wizji lokalnej miejsc zabójstwa. Na miejscu zdarzeń Krzysztof Sołtysiak w sposób nie odbiegający od ustaleń dowodowych śledztwa, wskazał miejsca, z których dostrzegł ofiary, miejsca w których zrównał się z nimi, miejsca w których zaatakował oraz miejsca przemieszczenia ciała. Jedynie na miejscu usiłowania zabójstwa Beaty J. nie miał zupełnej pewności, czy miejsce, na które przemierzył jej ciało — jest tym, które wskazał. „Wyjaśnił, że obecnie drzewa pozbawione są liści bądź igliwia, co uniemożliwia mu bezbłędne wskazanie tego miejsca”. W czasie oględzin wykonano zdjęcia fotograficzne, które zostały dołączone do akt.

Są zeznania świadków, które brzmią jednoznacznie. Zebrany został obszerny materiał z wywiadu środowiskowego podejrzanego. Są wreszcie badania psychologiczne i psychiatryczne podejrzanego Krzysztofa Sołtysiaka... No właśnie. W przypadkach przestępstw o większym ciężarze gatunkowym, sąd jak i obydwie strony w postępowaniu karnym: prokurator i obrońca zwracają na to ostatnie szczególnie uwagę. Obydwa badania: psychologiczne i psychiatryczne zostały przeprowadzone ambulatoryjnie. Ich konkluzja brzmią, że Krzysztof Sołtysiak „nie zdradza objawów choroby psychicznej ani też cech niedorozwoju umysłowego, zaś w czasie dokonywania zarzucanych mu czynów rozumiał ich znaczenie oraz mógł pokierować swym postępowaniem”. Czy badania ambulatoryjne mogły dać podstawę do tak stanowczego stwierdzenia? Taka konkluzja w tym przypadku mogła oznaczać dla Sołtysiaka groźbę zadania ze strony prokuratora kary śmierci, dla sądu mogła oznaczać praktycznie wybór między dwiema najsurowszymi karami: karą śmierci, a 25 lat pozbawienia wolności...

Sąd nie chciał mieć wątpliwości, dopuścił więc dowód z opinii biegłych lekarzy psychiatrów — „w celu ustalenia czy opinia sądowo-psychiatryczna wydana przez biegłych lekarzy psychiatrów w dniu 26 listopada jest pełna i wystarczająca dla orzeczenia o stanie zdrowia psychicznego Krzysztofa Sołtysiaka i jego poczytalności tempore orituris”. Na zlecenie sądu Józef Mielczarek, biegły psychiatra z Oddziału Psychiatrii Sądowej Szpitala Aresztu Śledczego w Warszawie stwierdził m. in. że „w opinii brak jest wywiadu lekarskiego od rodziców lub próby zebrania tego typu informacji o badanym. Ponadto badanie w trybie ambulatoryjnym nie pozwoliło na podjęcie próby wykonania badań diagnostycznych w kierunku stwierdzenia u Krzysztofa Sołtysiaka organicznego uszkodzenia ośrodka układu nerwowego”.

Konkluzja Józefa Mielczarka brzmiąca: podejrzanego o agresję seksualną i sadyzm „uzasadniają wnioski poddania Krzysztofa Sołtysiaka badaniom seksuologicznym, które pozwoliłyby zdiagnozować ewentualne zaburzenia seksualne u badanego”.

Orzeczenie, stało się podstawą postanowienia sądu o skierowaniu Sołtysiaka na obserwację szpitalną, którą wielokrotnie przedłużano. W jej trakcie ojciec jednej z ofiar — Bronisław W. złożył skargę u Prezesa Sądu Wojewódzkiego na przewlekłość postępowania sądu. Napisał w niej, że skierowanie Krzysztofa Sołtysiaka na dodatkowe badania psychiatryczne „nie tłumaczy przewlekłości w wyznaczeniu rozprawy, biorąc pod uwagę, że od momentu popełnienia zbrodni upłynęło ponad 8 miesięcy...”.

Krzysztof Sołtysiak przebywał na obserwacji szpitalnej od 15 kwietnia 1981 r. do 10 grudnia 1981 roku. W dniu przyjęcia na Oddział Psychiatrii Sądowej znajdował się w „wyrównanym nastroju”. Po wejściu do sali, gdzie miał przebywać nie nawiązał kontaktu z pacjentami, położył się i spał. W dniu następnym zachowanie Sołtysiaka było już jednak swobodne, nawet spacerował po sali. Nawiązał żywy kontakt z pacjentami, szczególnie dużo czasu poświęcał jednemu z przebywających tam pacjentów Siedzieli wspólnie do 23 i rozmawiali



Foto: M. Ządzler

1 Lewym okiem

Sprzedam pralkę

A w ogóle ciekawe, że więcej znajdujemy dzisiaj ogłoszeń o sprzedaży domów i mieszkań, niż o chęci ich zakupu — odwrotnie niż parę lat temu. Jak to — przecież ludzie uciekają od pieniądza, lokują go gdzie mogą, kupują co podłogi? Tak, ale już zaczęto akcje prowadzoną pod hasłem: „jedna rodzina — jedno mieszkanie”. Zaczęto nawet dyskutować o zagęszczeniu zbył wielkich lokali mieszkalnych, nie mówiąc o dużym wzroście opłat za czynsze i świadczenia. Stąd nagłe ograniczenie się, dążenie do takich warunków mieszkaniowych, które nikogo nie będą raziły w oczy; zjawisko zresztą społecznie pożądane.

Nie widzę też nic złego w tym, że działy ogłoszeń rosną, że kolejni w odnośnym biurze się wydułają. Złe jest tylko to, że tak samo jak pięć, dziesięć i trzydzieści lat temu, funkcjonują w tym biurze tylko dwa okienka, i to nie zawsze oba naraz. Przecież — skoro rynek towarowy prawie nie istnieje — trzeba być pewnym, że nie tylko zaczną się otwierać nader liczne sklepy z towarami używanymi, co obserwujemy gołym okiem, lecz także tysiączne rzese klientów sięgną po ostatnią szansę kupna i sprzedaży: drobne ogłoszenia w prasie.

Odkąd pamiętam nie było takich kolejek przed okienkami biur ogłoszeń prasy codziennej, jak w ostatnich tygodniach. Co też ci cierpliwie stojący ludzie mają do sprzedania, czego dawniej nie mieli? A może to są potencjalni nabywcy czegoś, co dawniej kupowali po prostu w branzowych sklepach, bez kosztownego pośrednictwa w prasie?

Wystarczy poczytać przez parę tygodni kolumnę drobnych ogłoszeń, żeby pewnie wnioski nasunęły się same. Oto w rubryce „kupno-sprzedaż” znajdujemy dziwnie dużo ogłoszeń o sprzedaży nowej pralki automatycznej, nowego magnetofonu, nowej lodówki. Jeśli nowe — to powinno się je kupować w sklepie, z gwarancją. Dlaczego ktoś sprzedaje nową pralkę, po cóż ją kupował skoro mu niepotrzebna? To jasne: właśnie po to kupił, żeby sprzedać. Oczywiście — żeby sprzedać z pokąźnym zyskiem, raz dlatego, że ceny kilkakrotnie wzrosły, a drugi raz — bo niezależnie od ceny oficjalnej prawo nieistniejącej podaży pozwala dyktować cenę właściwie dowolną. Oglądamy czasem w telewizji całe magazyny rzeczy wartościowych, zgromadzonych przez zapobiegliwych rodaków. Te obrázky opatrzone są tytułem: „spekulacja”. A przecież sprzedaż nowego zestawu stereo przez pana, krzyżującego się za numerem oferty, jest zupełnie taką samą spekulacją, realizowaną jawnie, publicznie, za pośrednictwem państwowej, a nawet partyjnej prasy.

Nie, nie myślę o milicyjnym ściganiu tego typu kupno-sprzedaży. Choćby wszyscy wiedzieli, czym sprawa pachnie, nikomu nie można dowieść łapania obowiązków, a bez dowodu nie ma przestępstwa. Neminem captivabimus, nisi iure dictum. Bez orzeczenia prawa nie będziemy ścigać nikogo. Ale wolno mi się chyba zdziwić, dlaczego takie ogłoszenia przyjmowane są bez ograniczeń, a nie wolno zamieszczać żadnych ogłoszeń o lekach? Ani o sprzedaży, ani o kupnie. Co ma robić człowiek zagrożony śmiercią, paraliżem, ślepotą, jeśli lekarz mu nazwie rokujący jakiegoś szansę lek, a władze administracyjne zamkną mu wszelkie ewentualne możliwości nabycia tego leku? Toleruje się szamanów, znachorów i zielarzy, a nie dopuszcza do sprzedaży leków choćby pochodzących z najczystszych moralnie źródeł np. orzwieżłone od krewnych z zaganien. Czy to nie nadmiar gwałtości o moralną nieskazitelną obywateli, kosztem ich za przeproszeniem obolałych ciał?

Coraz częściej też spotykamy ogłoszenia, typu: „sprzedam samochód. Kupie bony PKO”. Albo: „kupie mieszkanie. Sprzedam bony PKO”. Jasne jest, że w obu tych wypadkach chodzi po prostu o kupno i sprzedaż za dolary a nie nasze marne złotówki. Taki okres w naszej historii już był, w latach dwudziestych. Ówczesna prasa mogła sobie i dziś poczytać w bibliotekach. Ale tam pisano uczciwie i bez żenady: „Sprzedam plac. Cena 5 tys. dolarów”. Albo „Kupie krowę za dolary”. Jasno i niedwuznacznie. Bo i wtedy też złotówka nie nadawała się do poważnych transakcji.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

2 Zdarzenia i zwierzenia Skojarzenia

Stara i dość trywialna anegdota opowiada o rekrucie, któremu wszystko się kojarzy z ciągle tym samym obiektem. Wstyd się przyznać, ale ja także mam przy lekturze różnych książek podobne kłopoty z kojarzeniem. Myślę jednak, że moje skojarzenia są bardziej racjonalne.

Sięgnijmy do przykładów. Oto czytam znakomity tom wspomnień Aleksandra Janty „Lustra i refleksy”. M. in. autor — nieżyjący już emigracyjny pisarz — wspomina postać doradcy gen. Sikorskiego dra Józefa Retingera. Postać ta osnuta jest tajemniczością i otoczona raczej niechęcią czy wręcz nienawiścią prawie wszystkich, którzy po latach o niej pisali. Aleksander Janta bierze Retingera w obronę. Píše: „U dna sprawy Retingera stoi wpojony przeciwkości polskiej stereotyp „dobrego Polaka”. Kto jest dobrym Polakiem? Postulowano się tym sformulowaniem jeszcze w ciągu ostatniej wojny, szczególnie na emigracji” — stwierdza Janta.

Otóż nie przewidział emigracyjny pisarz, że tym stereotypem, adresowanym rzeczywistości do przeciwności — posługiwać się będą o wiele później, i to nie na emigracji, lecz w Polsce początku lat osiemdziesiątych. Takiego odrodzenia owego stereotypu Janta nie mógł przewidzieć, więc w dalszej części swojego tekstu kpi na potęgę:

„Dobry Polak kocha ojczyznę i wierzy w Boga, „staże w potrzebie”, nie sprzeciwia się poglądom większości... Uważa Polskę za pepel świata, nie interesuje się resztą, jest ciasny, wybraża sobie, że jest szlachetny, łatwo potępia tych, którzy są inni, nie lubi krytyki, wierzy, że „Bóg jest z nami”. Uważa, że należy do narodu wybranego, kulturowo tym sposobem pogrobowe echa mesjanizmu. Jest nietolerancyjny, powierzchowny, hastowy”.

Kiedy czytam te słowa napisane dwadzieścia lat temu — trudno mi się oprzeć skojarzeniom. Przecież tak niedawno grupka zadufanych w sobie Mejaszy głosiła kropka w kropkę to samo. Autokratycznie dzieliła polską społeczność na „dobrych” i „złych” Polaków. Ci „dobrzy” byli — o paradoksie — tacy sami jak ci, których opisał w swojej złośliwej charakterystyce Aleksander Janta-Polczyński.

Jeszcze raz potwierdziła się stara prawda, że nic nowego pod słońcem, że to co zostało dwadzieścia lat temu ośmieszona — wkroczyło w sam środek społeczeństwa w aureoli napuszonej powagi — i oczywiście zyskało aplauz przeciwności.

Wracając do Retingera; określał on siebie jako człowieka kompromisu. Janta píše: „Nie znajdował w tym ani poparcia, ani zrozumienia większości rodaków”. I czyż można się dziwić, że i ta refleksja także mi się kojarzy z czymś bardzo bliskim?

Retinger nie widział rozsądnych rozwiązań w całopaleniu i samozagładzie do czego prowadziła naród większość jego ówczesnych przywódców. Szukał więc szerszych sposobów zapewnienia Polsce, nie tylko miejsca, ale i spokoju — wypracowania pierwszeństwa i ważności w europejskich stosunkach.

Jestem jak ów rekrut z anegdoty, bowiem i ta refleksja o pohanu narodu do całopalenia także mi się kojarzy... A może po prostu jest tak, że cała nasza historia podlega owym natrętnym powracającym skojarzeniom?

JERZY WILMAŃSKI

3 Zmajowego notatnika

Dystrybucja pór roku, która zapowiadała, hasła postępujące się zaimkami dzierżawczymi

„nasza — wasza”, pod koniec kwietnia mogła wydawać się jakąś grudniową marą ze zlego snu. Wprawdzie wiele jeszcze nieuregulowanych rachunków czekało na kasowy dzwonek, a także paręnaście weksli (sporo z nich bez pokrycia, zatem z założonym protestem) domagało się ostatecznego wyjaśnienia, jednak wszystko to — wydawało się — jest tylko sprawą czasu. Czasu rozważ, spókoju i pełnej świadomości realiów. Tym bardziej, iż w informacyjnym tygliku, zwłaszcza zachodnich, boleściwie nastrojonych, środków przekazu, sprawy polskie wyparte zostały stukotem dalekopisów z innych obszarów. Dyplomatyczne komentarze, polityczne naciski i ekonomiczne embarga, wraz z Royal Navy, odpłynęły na południowy Atlantyk. Inne stolicy zawiadły uwagą światowych agencji informacyjnych. Ze w Warszawie zapowiedziano znaczne złagodzenie rygorów stanu wojennego? Ze Sejm uchwalił kolejne znaczące dla naszych realiów dokumenty? Takie wiadomości mogłyby wpłynąć na zachodniego odbiorcę dezorientująco: jak to właściwie jest w tej Polsce? Mogłyby zwłaszcza rozpaść się puzzle jakie zestawiała każdego wieczoru redakторы wyspecjalizowanych rozgłośni. Takie elementy nie pasują przecież do tych paru układank, zatykanych „junta”, „terror”, „czasy stalinowskie”, „okupacja” itp., ilustrowanych głosami „patriotów” z Paryża, Nowego Jorku i Londynu. Uprawiam propagandę i szkoluje dobre imię bojowników na emigracji? A jak nazwać tych, którzy z pieśnią „Boże coś Polskę” na ustach domagają się dalszych restrykcji ekonomicznych, pikietują polskie imprezy artystyczne i licytują się giupstwami na temat sytuacji w kraju? Jeszcze niedawno slyszalem jakiegoś domorosłego polityka na prozonym chlebie, który żalił się w mikrofon, że trzeba coś zrobić, bo Amerykanie przestają interesować się polskimi sprawami (w domyśle: tym samym akcją ekonomiczną pięć! — dopomina się inny — a my, bojownicy zadbamy już o to, aby każdy kto ustawi się w kolejce po filantropijne wsparcie — tam w kraju — dostał swoją zupkę w proszku.

Tam w kraju, czyli u nas, pod koniec kwietnia codzienność zwyczajnych spraw mitygowała wciąż nie całkiem uregulowane rytmy. Zamiast wymienić znaczące i bogate w podteksty spojrzenia (na stronie jakiś dowcip) nasi rozmówcy przeliczali na złotówki transferowe setki tysięcy dolarów za Bońka, a już ekstratematem dnia były domniemania, ileż to on sam zainkasował. Czytelnicy tygodników emocjonowali się polemiką Janusza Roszko z Danielem Passentem. Ów pierwszy, felietonowy magnat na kilku łamach, rozbucał się tak dalece, iż zaglądnął pod kcieckę temu drugiemu, a co dojrzał opisał w „Przeglądzie Tygodniowym”. Passent postanowił ogolić kolana, aby Roszko miał to co lubi. „Walka o byt polskiej prasy tygodniowej przybrała niepokojące rozmiary” — píše kto inny. Nic zatem dziwnego, że dziennikarze stają na głowie, aby coś interesującego zobaczyć. Sama „Polityka” mogła niejednego zbić z pantajuku. Oto jej niedawny numer poprzetykano tytułami „Notatki peronowego”, „Przekładanie zwrotnic”, „Wsteczny bieg”. Wielu zatem nerwowo poszukiwało informacji o zmianie tygodnikowego sponsora. Może rzeczywistość „Polityka” została przejęta przez PKP? W sytuacji reformy gospodarczej wszystko jest możliwe. Zapomnieliśmy o procesie Macieja Szczepańskiego (gdzieś przewinie się jeszcze jakaś notatka, bo oto zeznał Hańbowski), a byli wojewoda poznański Cozaś (ach te nazwiska — jak z oświeceniowej komedii) został właśnie uniewinniony, bo hojnie rozdawałowo talańców samochodowych „nie zawierało w sobie cech przestępstwa”.

Tymczasem bohaterami tygodnikowych rozkładówek stali się prominenecy z dwudziestolecia, a to Rydz-Śmigły a to Witos, a to sam Marszałek. Wróciła na łamy Michałina Wiślicka — tu już jednakowoż ma konkurencję: ileż możliwości komparatystycznych studiów nad przemianami alkoholowych obyczajów naszych rodaków!

Pierwsze dni maja nakazały powrót do rzeczywistości. Demonstracji i zbiegowisk skoja-

rzonych z oficjalnym manifestacją państwowymi, a także religijnymi (tłumy wiernych wychodzących z kościołów — chcąc nie chcąc — poddano próbie manipulacji) nie można w żadnym wypadku uznać za działania o racjonalnym i przemysłowym efekcie politycznym, tym bardziej nie można uznać za coś, co mogłoby stanowić pragmatycznie zarysowany program. Nie jest to odpowiedź na żadne pytanie, ani propozycja rozwiązania żadnego problemu. Po prostu bezsens. I nie muszę tej opinii podpierać argumentami i oceanami jakie pojawiły się w wydawczym Prymasa udzielonym gazecie „Washington Post”. „Jesteśmy świadomi, że za tymi zajęciami kryją się ekstremiści. Zajęcia te w żadnym stopniu nie sprzyjają poprawie sytuacji, gdyż opóźniają zniesienie stanu wojennego” — powiedział arcybiskup Józef Glemp (cytuje wg „Życia Warszawy”). A „demokratyczne” rozgłoszenie znów rozkładają swoje puzzle, podpowiadając jak to jeszcze potrzebne byłoby elementy, aby łamigłówka złożyła się na powrót w obrazek „junta”, „terror”, itd.

GRZEGORZ GAZDA

4 Sport Matematyka na rowerze

Na początku chciałabym sobie westchnąć: ech, gdzie te czasy, gdzie to Stanisław Królak walczył w pelotonie, kiedy to Ryszard Szurkowski, lub Stanisław Szozda zwyciężali na kolejnych etapach! Kiedy jeszcze nie było telewizji ludzie zbierali się przed głośnikami radiowymi i słuchali ochryplego głosu sprawozdawcy, który dał się do mikrofonu, aby wszystko jak najdokładniej opowiedzieć. Ludzie wtedy godzinami stali na trasie, aby tylko zobaczyć kolarzy. A oni zgrzani, zakurzeni, mokrzy od potu miganli w kolorowych koszulkach i tyle było ich widać. Szczęśliwcy zasiadali już od rana na stadionie, aby być świadkiem walki na ostatnich metrach. Trwało to kilkadziesiąt sekund, ale się to czekanie opłacało, bo toż to była emocja.

Dziś nikt nie przerywa swoich zajęć, nie sięga nerwowo po zegarek, nie mówi: — przepraszam, ale kolarze jadą... Jeśli nie zobaczy się bezpośrednio sprawozdania, to później ostatnie metry trasy pokażą w DTV, a potem jeszcze jest dokładne sprawozdanie z przebiegu walki na całym etapie. Taka to zresztą i walka. Żadnej emocji, wszyscy się pilnują i tylko czasem skorzysta z tej okazji jakiś mało

znany kolarz z Zachodu, wyskoczy do przodu, pilnujący się wzajemnie kolarze oczywiście go zignorują, a on spokojnie, przez nikogo nie zagrożony zwycięzca do mety i zostanie zwycięzcą. Później cała grupa pilnujących wpada w ogromnym ścisisku, ktoś się przewróci, poturbuje się, ktoś wypchnie szybkiej rower o te kilkanaście centymetrów i na ekranie, na zatrzymanym obrazie można będzie zobaczyć, jak jego rower dotyka linii mety. — Zacięta walka toczyła się o drugie miejsce — powie komentator telewizyjny. — Jaka tam walka — powie znużony telewizyjny kibic i pójdzie spać.

Coś podobnego zdarzyło się już na pierwszym etapie — proszę nie mylić z prologiem, bo to była tylko jazda na czas — kiedy z 29-osobowej grupy, która uciekła reszcie, odjechał holenderski kolarz Jos Lammerts i przez nikogo nie zagrożony pierwszy dojechał do mety. Rywale go po prostu zlekceważyli, rywale pilnowali siebie, zamiast pilnować uciekającego. Ta taktyka, jeśli to jest taktyka, denerwuje mnie już od dawna.

Stanisław Szozda, który tym razem występuje w telewizji jako komentator — i słusznie, bo dobrze to robi, a na kolarstwie się zna — dawał 90 procent za to, że reszta nie będzie gonila Holendra, bo będzie się wzajemnie pilnowała. I tak się stało. Stanisławowi Szozdzie nie trudno było przewidzieć, co zrobią jego następcy, bo już za jego czasów robiono „takie numery”.

Co się stało z Wyciągiem Pokoju?

Po prostu — a jest to impreza amatorska, gdzie można się wykazać umiejętnościami i błysnąć przed przejeźdem do zawodstwa — stał się ten Wyciąg periferijnym dla większości kolarzy Europy i rozgrywa się w zasadzie między czterema zespołami: polskim, czeskim, NRD i ZSRR, tyle, że w Innej kolejności. I te zespoły pilnują się, ciulają sekundy, minuty, punkty, bawią się w rachunki zamiast szaleć na szosie. Maluczko, a Polski Związek Kolarzy wyposażył kolarzy w minikomputerki oraz radiotelefony, żeby mogli dalej bawić się w rachunki nie zszadając z rowerów. Do głosu zresztą już doszli technicy NRD i drużyna kolarzy zza Odry dysponuje specjalnie skonstruowanymi rowerami, które inni nazywają złośliwie „kozami”. Z zardrości pewnie.

Ech, iza się w oku kręci. Gdzie te czasy, kiedy Stasio Królak lał w rowie pompką rywali, o czym szeptała cała Polska, a czemu on stanowczo zaprzeczał. Inne się też skandale działy na trasie i poza trasą. Bywało i tak, że wszyscy martwili się o stan zdrowia kolarzy, a oni z chorymi żołądkami pieli się gdzieś po górach w majowej śnieży. — Pani, ni chybi struli ich — mówiły w kraju zatkoskane kobiety — bo to gdzieś na świecie ugotują tak smacznie jak u nas! A dziś, czy kogo obchodzi co i kiedy jadają kolarze, jakie mają trawienie, sen?

Zresztą i specjalnych powodów do niepokoju nie ma, bo od kilku lat nie wieździe się nam w Wyciągu Pokoju. Odmładzamy zespół, szukamy nowych talentów, zmieniamy trenerów, przeprowadzamy wielkie operacje strategiczno-taktyczne, z których wychodzi, że pilnujemy wszystkich i wszędzie, łapiemy kilka srok za ogon, a sędziowie łapia, czas naszych bohaterów kolarzy już po tym, jak inni przejechali linię mety. A mnie się wydaje, że my po prostu nie mamy indywidualności. Ot, choćby takiej, jaką był Ryszard Szurkowski, czy Stanisław Szozda, czy kilku innych, którzy się nieźle zapowiadali lub z powodzeniem pełnili odpowiednią rolę w zespole. Do mety jada przecież poszczególne kolarze, ale i jedzie zespół, w którym każdy ma do spełnienia jakąś rolę. Tak mu nakazał trener, to mu nakazuje również doświadczenie. Trener może się pomylić przed startem, doświadczony kolarz nie może pomylić się przed metą, bo dojeżdża do niej daleko po zwycięzcy.

BOGDA MADEJ

Opowieść Anglika Ha - leluja brother.

Jest to fragment powieści jugosłowiańskiego pisarza, RATKO ADAMOVIĆA, pt. „SZNUR”. Powieść przełożyła z serbsko-chorwackiego JOLANTA KLASNINOVSKA. Całość przygotowuje do druku Wydawnictwo Łódzkie. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

— Któregoś dnia — skrzyknął Anglik — zaprowadziłem pewnego ważnego gościa, człowieka teatru, do muzeum figur woskowych. Podczas zwiedzania ogarnęła mnie gorączka. Wszystko wydało mi się, a i było, w jednej chwili załatwione. I pomysły, i tekst, i plan, który błyskawicznie rozwijał się, ścigał w powstawaniu z replikami przyszłej sztuki. Zupełnie, jakbym dostał porażenia słonecznego. A jak mogłem go uniknąć po tylu nocach i dniach, i przekleństwach wieczorach w teatrze, mękach. Ten mądry człowiek zrozumiał wszystko z paru moich słów i niemalże nakazał mi złapać taksówkę, nalegał, bym zostawił go i podążył do swego gabinetu, życzył mi szczęścia i powodzenia w pracy. To są chyba jedne chwile i stany, kiedy twórca może zrozumieć twórcę. Chciałem, śpiesząc niby ważką ku miłosnej ekstazie, jak najszybciej zrealizować tę sztukę. Wszystko w istocie zaczęło się już w taksówce. Oto, co wtedy zaległo się w mojej głowie. Zdecydowałem, że napiszę nową sztukę. Niektóre dialogi już od wielu dni plątały mi się po głowie, ale ponieważ nie przypadły mi żadnej określonej całości i celowi, zostawiałem je, żeby po prostu rozwijały się i kształtowały, nawet nie śniąc, że oto rodzą się dialogi sztuki ostatniej, jaką kiedykolwiek napiszę. Pisałem jak szalony. Jak wściekły dwudziestolatek. Może jest to najlepsza sztuka, jaką kiedykolwiek napisałem. Role miały grać lalki.

— Jak to, lalki? Lalki?
— Tak, Torze, lalki.
Ha-leluja brother po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

— Tekst mieli mówić aktorzy, ale ukryci za parawanem. Na scenie miały być tylko lalki. Moi w teatrze byli zachwyceni pomysłem. Prawdę mówiąc, zrobiłem wszystko, by ich jak najbardziej zapalić do projektu. Żeby wszystko udało się, musieli być absolutnie, absolutnie zachwyceni i rwać się niecierpliwie do rozpoczęcia pracy. Tylko w ten sposób mogłem urzeczywistnić tę przeklętą „Madame Tussaud” — tak nazwałem sztukę, która miała zawoocować albo odcięciem głowy człowiekowi teatru, albo zupełnym rozwianiem wpatliwości. Bałem się reakcji aktorów. Ale i tutaj pomyliłem się tak samo jak nieskończoną ilość razy dotąd.

Jeszcze tego samego dnia rozmówił się po teatrze, że szef (tak mnie nazywano) pisze sztukę, która ostatecznie wykaże, kto gra za pomocą głosu i talentu, a kto tylko biustem. Było to wspaniałe! Kottlowało się ze zniecierpliwienia, a aktorzy bili się o role. Biedacy! Robili wszystko, by udowodnić, że mogą utrzymać publiczność w napięciu, nie pokazując się na scenie. Lepiej być nie mogło. Jakby ich sam diabeł podkusił do tego przedstawienia. Zaczęła się zabawa w „orzeł czy reszka”. Mówiła sobie wyobrazić, jaka to była graćka dla prasy, dla całej brudnej maszynery reklamy i przygotowań do premiery. Nikomu się nawet nie śniło, że przygotowuję wyrok na wszystkich, że aktorzy zagrają siebie. „Madame Tussaud” miała dwa ostrza. Pierwsze było oczywiście lepsze. Jeśli sztuka nie będzie miała powodzenia, to okaże się, że moje wątpliwości były bezpodstawne, że zrodziły się tylko z chwilowej niewiary. Jeśli „Madame Tussaud” będzie sukcesem albo zgoła triumfem, będzie to zarazem triumfalnym upadkiem, mój krach całkowity.

Kupiono manekiny. Nalegałem, by kupować je w domach towarowych, te same, które publiczność codziennie ogląda na wystawach, rozpoznaje i chyba lubi. Gdy tylko przyniesiono je do teatru, zostały ochrzczone i podczas wszystkich prób musiały tkwić obok aktorów, obecne do końca. Wiezy błyskawicznie się zacisnęły — aktorzy polubili wycich sobowótów, spieszczyli ich imiona, rozmawiali z nimi, uczyli ich roli.

Mimo to dręczył mnie pewien problem, niemal nie do rozwiązania. W drugim akcie dwie lalki, kobieta i mężczyzna, siedzą jedna naprzeciw drugiej i wlepiają w siebie oczy, zaś za parawanem aktor i aktorka muszą słowami symulować grę miłosną i stosunek, najpierw cicho, potem coraz głośniejszy, coraz głośniejszy, coraz mocniejszymi i frywolniejszymi określeniami, okrzykami, aż do rozpalenia ich samych i publiczności. Na końcu cała sala powinna uwierzyć, że to właśnie one, nieruchome manekiny, przeżywają orgazm.

Takiej aktorki nie miałem w teatrze. Nawet na lekarstwo. Zdecydowałem, że nie musi być nawet aktorką. Musiała jednak być jedną z tych kobiet, które w objęciach kochanka są przede wszystkim głośne, które wiedzą, jak to się krzyczy przed orgazmem, wrzeszczy, przypochlebia, podtrzymuje krople miłosnego potu krzykami i przekleństwami. Wszyscy mężczyźni z teatru przeddefiniowali przez mój pokój, by odpowiedzieć mi na jedno tylko, bardzo intymne pytanie. Czy podczas swoich, nie tylko bogatych, ale wręcz niezliczonych przygód, napotkali taką właśnie damę i czy, jeśli tak, mogliby ją zaangażować. Naraz okazało się, że wszystkie te niby-ogiere teatru miały mało przygód, a już szczególnie w wściekłych, ognistych histerycznie nienasyconymi kobietami. Wyglądało na to, że ja, chociaż stary, jestem największym lajdakiem w teatrze. Przepraszam za te słowa, ale bez nich nie będę mógł skończyć opowiadania. Miejsce to na względzie i w przyszłości.

Nie było wyjścia. Choć właściwie istniało. Wiedziałem o tym już od pierwszej linijki „Madame Tussaud” — to właśnie inspirowało mnie przy pisaniu przeklętego drugiego aktu, ale nie chciałem się sam przed sobą przyznać i od razu zabrać do rzeczy. Bo moja miłość, moja naprawdę wielka miłość, ukochana żona, co prawda dużo młodsza ode mnie, była w łóżku nie tylko najbardziej szkodliwą kobietą, ale także najbardziej głośną, i to jak głośna była, doskonałym małym seksualnym recytatorem. Czemu się zastanawiasz, daj rolę tej, dla której została pisana. Daj jej, od której lepszej w tych rzeczach nie znajdziesz.

Mówiąc o swej miłości, Ha-leluja brother coraz częściej chwycił za kieliszek i ciągnął whisky, aż strach było patrzeć. Vid, choć młodszy od Anglika co najmniej o jakieś pięćnaście lat, lubił go na sposób ojcowski i był przerażony tym piciem do upadłego.

— Ech, wysiła się ten nasz nauczyciel, wysiła — powiedział by go choć trochę powstrzymać. — Źródło moje, źródło, nie przestawaj tryskać.

Prawdę mówiąc, jeśli już zmusiliśmy człowieka, by otworzył duszę, a czyni to tak rzad-

ko (albo jeśli chodzi o te rzeczy — nigdy) i z takim trudem, jeśli rozegraliśmy go do gątek, zmusiliśmy, by pokazał głęboko schowane zdjęcia krostowatej niegdyś twarzy gimnazjalisty, to należałoby mu pozwolić, aby sobie po ludzku popił, żeby przynajmniej, dopóki trwa rozbieganie, nie oglądał ospowatego tyłka. Może dopiero jutro. Dopiero jutro.

Było oczywiście, że Anglika nie interesuje już „Madame Tussaud”, więc zaczął o czym innym.

— Och, jaka była głośna. Tak słodko wykrzykiwała najsprawniejsze wyrazy, wymyślała niemożliwe i nieoczekiwane słowa, podlizywała mu się, wysławiała go, zachęcała go, ośmielała, dopingowała, aż się iskrzyło. A przy tym wszystkim, jeśli nie byłoby dobrym jeźdźcem, Bóg mi świadkiem, za chwilę spadłbyś z diabelskich strzemieli.

— Na litost boską, profesorze — zasnął snowu Vid, próbując go trochę uspokoić i nie dopuścić do tego, by całkowicie oddał się wspomnieniom i popadł w ekstazę. — Nam jest po prostu nieprzyjemnie na tej pańskiej lekcji zoologii.

I nagłe Vid, jakby rezygnując z jakiegokolwiek uspokajania, nalał wszystkim i zawołał:

— Hopa, hopa, hopa, hopa, pedź koniku mój galopem, pedź koniku przez dąbrowę, bo dla ciebie tracę głowę, szybko, szybko, szybko do laseczka, do laseczka, ogródeczka, pedź koniku mój skrzydlaty, pozrywamy małej kwiaty.

Pekaliśmy ze śmiechu. Anglikowi to bardzo się spodobało. Ale nie tylko spodobało. Jakby otworzył jakieś izby tortur. Nieuważnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że zdycha ze śmiechu, gdy jego, niestety, pod wpływem wspomnień, które uderzały mu do głowy, ogarniała histeria. Zataczał się, chichotał, rechotał na cale gardło, i mówił dalej, jeszcze długo przez duszący go śmiech.

— Kiedy zaproponowałem jej rolę, śmiertelnie się obraziła. Uderzyła mnie mówiąc, że takie pornograficzne płyty mogą kupować na pecku w Soho. Na próżno tłumaczyłem jej, że to nie pornografia, że to w ogóle nie pornografia, tylko próba śmielszego wyjścia z teatru klasycznego. A ona nie jest ani prosta, ani łatwa. Mówiłem jej o eksperymencie, o nowym teatrze, o przełomowej chwili mojej twórczości i zajmowania się sztuką. Mówiłem, że nie musimy wymieniać jej nazwiska, i — znając jej najczulsze miejsce — że jest to główna rola. W pewnym sensie było tak naprawdę. Nic nie pomagało. Jednak wyczułem, jeszcze tego samego wieczoru, że zaintrzygotałem ją i że istnieje pewna szansa. Później okazało się, że od pierwszej chwili zapaliła się do tej roli, zresztą jak każda kobieta, której ukazałaby się możliwość zupełnie anonimowego pokazania młastu swej namiętności i szatańskich.

Bez ustanku twierdziła, że wymyśliłem sobie tę jej głośną miłość, że jestem mistyfikatorem. Nie było innego wyjścia. Pewnej nocy włączyłem magnetofon i udało mi się wszystko nagrać. Kiedy usłyszała taśmę, twierdziła, że w gruzach, problem drugiego aktu był rozwiązany. Jej warunek — sama wybierze partnera. Bo, jak powiedziała, nie mogłaby przed byle ktm, otoczona jakimś parawanem, zapomnieć o skrępowaniu, pokazać, co potrafi. Zgodziłem się oczywiście.

Wszystko poszło błyskawicznie. Błyskawicznie i na złamanie karku pisałem sztukę, błyskawicznie ją przygotowywałem, w piekielnym tempie, kocił wrzał i jeszcze tylko brakowało mojej głowy, żeby ta zasnana kasza była gotowa. W tych dniach, mimo nieustannej pracy, chyba ustawicznie dygotałem, dosłownie dygotałem, trząsiałem się, szczerkałem nerwowo zębami i gryziem wargi.

Próba generalna spadła jak bomba na krytyków i dziennikarzy. Akt pierwszy składał się z trzech obrazów. W pierwszym lalki młode, stare i w średnim wieku siedzą, stoją, robią coś, wszystkie ukłowane w typowo drobnomieszczanckim salonie. Publiczność powoli włączyła się. Jak na turnieju tenisowym widzowie obracali głową od lalki do lalki chcąc zgadnąć, jaka część dialogu do której należy. Publiczność w pierwszym akcie była w ogóle strasznie zapracowana. Wszystkie te szczyry teatralne były pewne, że ich podział na role jest najtrafniejszy. W istocie warianty nie istniały — każdy monolog mógł pochodzić od każdej lalki. Między pierwszym a drugim obrazem, w zupełnym mroku, błyskawicznie zdejmoowano z lalek wszystko i w drugim obrazie zjawiały się nagie. Strasznie wyglądała nagość manekinów. Bywa ona gorsząca, a czasem jesteście na nią zupełnie nieczuli, jeśli zdolacie na stałe zapamiętać, że to jednak tylko lalki, plastik o ludzkim kształcie. Ale w teatrze, w jego poważnej atmosferze, na scenie, z dobrą scenografią, wszystko to wygląda zupełnie inaczej, bardziej gorsząco, choć nawet zmysłowo. Dla mnie w każdym razie strasznie.

Publiczność szepce, oklaskami i docinkami reagowała wspaniale. Właściwie na ulicy przed wystawami, które właśnie urządzają i na których stoją sztywne, nagie manekiny, tyle razy widywałem jak masy przechodniów gapią się na kształty z plastyku, a nawet podglądają, jeśli wystawa jest niezupełnie odsoniata.

Paru znanych krytyków już w trakcie drugiego obrazu przyszło do mojej łóżki szepnąć, że to, co do tej pory obejrzałem, jest wspaniałe i rewelacyjne, strzał w dziesiątkę. Na takie dictum zwątpienie wyszło ze mnie jak chory koń i rozciągnęło się po całej sali, oparto głowę o scenę, przychając końskimi nozdrzami na biednych aktorów, którzy za parawanem wrzeszczyli i krzyknęli, usiłując swoimi głosami dokonać cudu.

Anglik wstał. Spowaźniał, a śmiech i chichot zastąpił tak przerażający wyraz twarzy, że odwróciłem nieco głowę, nie mogąc dłużej na niego patrzeć.

— Właściwie, panowie mili moi — powiedział cicho Ha-leluja brother — przecież ja was bezgranicznie maltretuję. Wynijmy do dna i rozejdźmy się czym prędzej. To nieuczciwie.

Teraz już ani Vid, ani ja nie chcieliśmy zrezygnować, choćby nawet świtało, choćby opowiadanie trwało tylko trzy dni i noc.

— Ha-leluja brother — powiedziałem — nie możesz teraz przerwać. Jedynie, co mi się nie podoba: nie przytaczasz nam, bracie, ani słowa tekstu. Co mówią te twoje lalki?

— Oj, Torze, Torze — powiedział Anglik. — Wygląda na to, że dla ciebie jesteście tylko amatorami.

— Co się z wami dzieje? — zapytał kapitan. — Przecież dopiero co, przeszła północ. Ech, bracie, zjedźmy tę „Madame Tussaud” za jednym zamachem i niech się dzieje, co chce. Hee, hee... konsumowałem i gorsze damy w życiu. Dobrze mówię? Tylko, że mi się ten bóg pod stołem rozpiędził. Nawet w wosku biedaka nie ma. Jesteśmy na morzu czy nie? Opowiadaj, nieszczęśliku, trzeba i morzu złożyć ofiarę.

Urwalimy głowę nowej butelce. — No, to macie, diabły rogate. Posune się teraz tak daleko, że będę wam deklamował tekst. Podajnijcie Johnnie'a za mokry rękaw, przedstawienie się zaczyna.

Ha-leluja brother wstał, wyszedł na środek kabiny i doprawdy zaczął recytować. Bardziej szalonego odtwórcy nigdy nie widziałem. Głosem zastępował przynajmniej pięciu aktorów. Nigdy nie było chyba lepszego arlekina.

Mama: Siedźcie, siedźcie. Obwiesie! Boże, Boże, Petre, co ty mi zrobisz?

Znowu mama: Gdzie Srna? Boże, Boże, Petre, co ty nam zrobisz? (A nikt nie) Mili moi szaleńcy, słyszcicie? Gdzie jest Srna? Petre, Petre, co mi zrobisz?

Ktoś śpiewa: Srno, Srnecko, sercem żeś i duszą, jesteś moją wspaniałą i rumianą różą. Mama: Petreeeee!

Ktoś: Wyrwały mi się, mamo, konie, oto leca przez pole, kolorowe modre pole, przez zoraną czarną morze, mamo, mamo, mateczko, wyrwały się konie. Mama: Petre!

Ktoś śpiewa: Dzień dobry, dzieci. Mama: Boże, Boże, Petre, co ty nam zrobisz.

Głos: Srno, Srnecko. Głos: Dzień dobry, dzieci.

Mama: Srno! Petre, no gdzie jest nasza Srna? Ty w ogóle nie troszczysz się o nasze dzieci. Erno! Boże, Petre, co ty nam zrobisz.

Głos: Proszę usiąść, przecież pan jest gościem, proszę usiąść.

Gość: Nie, nie mogę. Czy nie widzicie, że nie mogę?

Głos: Proszę usiąść tutaj, niech pan nie zwraca uwagi na mamę.

Gość: Nieee! Nie mogę. Głos: Mamo, wolaj już ojca, nie słyszę człowieka.

Mama (cicho): Boże, Boże, Petre, co ty nam zrobisz.

Między drugim, a trzecim obrazem pierwszego aktu znów mrok i w trzecim obrazie lalki ubrane w stroje prawie wszystkich narodów świata, wszystkich czasów i wieków. Tego tekstu naprawdę nie umiem na pamięć. Jest to bardzo skomplikowany. Koniec pierwszego aktu — ogłuszające oklaski. Ludzie spieszą do salonów i foyer, by czym prędzej podzielić się wrażeniami.

Pchają się do mnie. Ale dopiero drugi akt budzi autentyczny zachwyt. Dwie lalki, jak już powiedziałem, siedzą jedna naprzeciw drugiej, i nie spuszczają z siebie oka. Boże, nie spuszczają oka! Jakże by inaczej patrzyły lalki. Wykonują ruchy imitujące picie herbaty. Domagalem się od techników, by do rąk lalek włożyć prawdziwe filiżanki z herbatą, żeby na początku drugiego aktu herbata niemalże wylewała się z filiżanek, a potem kapiała na kolana zapartzonej pary. Nameczyli się, ale się udało.

